

POCAŁUNKI NA MANHATTANIE

David Schickler

Kissing in Manhattan

Z podziękowaniami i miłością dedykuję tę książkę moim rodzicom Jackowi i Peggy Schicklerom oraz moim trzem siostram Annę Marie, Pameli i Jeanne.

Kiedy dwa pocałunki się całują, to jakby dwa tygrysy zębami rozmawiały o nieskończoności.

TESS GALLAGHER długo się nie zgłasza po następną. Kiedy ostatnim razem wrócił z amerykańskiego uniwersytetu, nie czekałem, aż się namyśli, tylko od razu wprowadziłem go do Preemption: przyniosłem mu tę książkę i powiedziałem: „Przeczytaj to, będziesz zachwycony”. Zaufał mi i zaczął ją czytać następnego dnia. Skończył ją po czterech godzinach i natychmiast napisał do swojej dziewczyny, że musi kupić sobie egzemplarz tej książki, bo on koniecznie chce o niej porozmawiać. Pocałunki na Manhattanie to zabawna, niesamowita, ogromnie seksowna, tajemnicza książka, miejscami czarodziejska jak alchemia. Z każdym, kto ją przeczyta i jej nie polubi, coś jest zdecydowanie nie tak.

Jonathan Carroll

CHECKERS I DONNA

Donna nie chciała się spotkać z Checkersem. Uważała, że to nie jest dobry pomysł.

- Checkers? - powiedziała Donna. - Co to za imię dla mężczyzny... Checkers?
- Jest dziwny - przyznała Lee.

Lee i Donna, obie trochę po trzydziestce, sprzedawały nieruchomości na Manhattanie. Zajmowały wspólnie biuro przy Bleecker Street.

- Checkers. - Donna posmakowała ten wyraz językiem. - Checkers, Checkers.
- Jest atrakcyjny - zapewniła Lee.
- Checkers to imię dla psa. Albo dla bandziora. - Donna utkwiała wzrok w ekranie komputera. Była na nim lista cen z SoHo.
- Jest dziwny, ale atrakcyjny - powtórzyła Lee.
- Bandzior w jakimś filmie - prychnęła Donna. Miała na sobie kostium i eleganckie buty.
- Nie siła, której nie można się oprzeć. Nie ktoś tak słodki. Po prostu bandzior.
- To nie jest film - powiedziała Lee. - To prawdziwe życie.
- Skąd znasz tego całego Checkersa? - zapytała Donna.

Był czwartek, dziesięć minut przed piątą. Biuro Donny i Lee znajdowało się na dwudziestym piętrze. Wykuszone okno wychodziło na południe i tuż przed piątą każdego popołudnia Donna i Lee stawały w nim, aby oglądać blask słońca na rzekach. Lee, która była lesbijką, pokochała East River. Donna uwielbiała Hudson.

- Nie pamiętam. - Lee wzruszyła ramionami. - To po prostu jeden z tych facetów, których się spotyka.

Patrzyły na Nowy Jork, który zawodowo dzieliły na kawałki, tasowały i sprzedawały.

Donna natomiast wytrwała u pani Vivian do czasu, gdy miała szesnaście lat. Właściwie to zaledwie dwa dni po szesnastych urodzinach Donny pani Vivian wezwała ją do biura.

- Należysz do mężczyzny - oświadczyła nauczycielka. Donna wstrzymała oddech. Trzy miesiące wcześniej całowała się z brzydkim chłopcem o imieniu Harold. Był z Queensu.
- Twoje ciało niechybnie będzie należało do mężczyzny. Takie jest twoje powołanie. Oczy Donny zasły łzami.
- Harold to tylko kolega, pani Vivian. Nauczycielka wpatrywała się w ścianę.
- Nie będziesz tańczyć.
- On... on nawet nie podniósł mi koszulki - szlochała Donna.
- Żegnam - powiedziała pani Vivian.

Donna uważała, że dowiodła nieprawdziwości słów swojej instruktorki. Jako studentka NYU spała z dwoma mężczyznami - jeden był nieśmiały, drugi był Libijczykiem - ale żaden z nich nie zawładnął jej duszą. Mając dwadzieścia sześć lat, kiedy zakładała firmę z Lee, mieszkała z mężczyzną o imieniu Charles, który palił fajkę i pracował na Strandzie. Charles był miły, ale miał chroniczny łupież i podczas stosunków płciowych z upodobaniem przypinał

Donnę kajdankami do większych sprzętów kuchennych. Znużona tymi okolicznościami Donna zostawiła Charlesa. Od tego czasu była samotna, jeśli nie liczyć przygodnych

- Wyglądasz seksownie - odezwał się do Donny starszy mężczyzna.

Siedział ze starszą kobietą, zapewne swoją żoną. Kobieta czytała gazetę i nie zwracała na niego uwagi. - O Boże - zdumiała się Donna.

- Moim zdaniem przypominasz dziewczynę z reklamy džinsów. - Mężczyzna uśmiechnął się pokornie.

Donna wskazała gazetę, którą trzymała jego żona, i powiedziała:

- O Boże, znam tę kobietę.

Żona spojrzała na Donnę, potem na gazetę. Na pierwszej stronie widniało zdjęcie z Gape Canaveral. Przedstawiało czterech mężczyzn i kobietę w pufiastych kosmicznych skafandrach.

Mężczyzna odchrząknął.

- Nie z reklamy papierosów, rozumiesz. Dżinsów.

- To Jezebel Hutch - oznajmiła Donna. - Jest z Germantown. Wychowaliśmy się razem.

Żona wpatrywała się w zdjęcie.

- Jezebel jest astronautką - wyszeptła Donna. - Udało jej się. Mężczyzna odchrząknął jeszcze raz, głośniej.

- Cholera - oświadczył - papierosy w ogóle nie są seksowne. Kiedy Donna dotarła do Fiat Michaels, tylko jeden mężczyzna siedział sam, przy stoliku koło okna, które wychodziło na Wschodnią Czwartą Ulicę. Na stoliku stała świeca.

- Checkers? - Donna wyciągnęła rękę. - Jestem Donna. Checkers wstał. Z uśmiechem uścisnął jej dłoń i pomógł usiąść.

- Myślałem, że będziesz Murzynką - powiedział, siadając znów na swoim miejscu.

Checkers miał trzydzieści trzy lata, metr osiemdziesiąt wzrostu, niebieskie oczy i cienkie brązowe włosy, które niedbale opadały mu na ramiona. Ubrany był w czarny sweter irlandzkiego rybaka, białe malarskie spodnie i sandały. Trzymał w ręku szklanekę ciemnego piwa beczkowego.

- Słucham? - zapytała Donna.

- Myślałem, że będziesz Murzynką - powtórzył Checkers. - Donna. Donna. To imię ma afroamerykańskie brzmienie. - Wzruszył ramionami. - Po prostu myślałem, że będziesz czarna. Popatrzyła ze zdziwieniem na tego faceta.

- Nie martw się - rzucił Checkers. - Wyglądasz wspaniale. Donna zaczerpnęła powietrza.

- Czy Lee nic ci o mnie nie mówiła?

- Powiedziała mi, że będziesz miała na imię Donna i że będziesz świetnie wyglądać. Mówiła prawdę.

Przyjrzała się uważnie Checkersowi. Patrzył na nią jak mężczyzna, któremu wystarcza do szczęścia trzymanie szklanki piwa i patrzenie na kobietę. Nie jest zboczony, pomyślała Donna, jest po prostu zadowolony.

- Potrzebujesz drinka - uznał Checkers.

- Pewnie - zgodziła się Donna. - Pewnie, w porządku.

- Nasz kelner pochodzi z Ekwadoru. - Checkers skinął w stronę baru. - Nazywa się Juan.

Niski, tęgi mężczyzna wyszedł zza lady i przycłapał do nich. Miał jasnobrązową skórę, tego samego koloru oczy i promienny uśmiech.

- Tak, psze pani - odezwał się Juan. Dotknął ramienia Donny. - Dla pani jeden drink, dokładnie. - Miał silny akcent. - Drink, dla przyjemności. Zgadza się?

Donna zamówiła wódkę z lodem i cytryną. Juan przyniósł drinka, postawił przed nią szklanke.

- Przyjemność, zgadza się? - stwierdził i zniknął.

- Dużo tu ludzi - powiedziała Donna, rozglądając się. Nigdy nie jadła w Fiat Michaels. Raz wypiła drinka w holu, gdzie nie było telewizorów, tylko drewniany bar i krzesła. Wszystko tutaj było zwyczajne. Właściciele sami warzyli piwo, i na kurkach kranów na beczkach było napisane po prostu: Lager, Pilsner, Porter. Wino sprowadzano z winnicy o nie ujawnionej lokalizacji, a alkohole wysokoprocentowe z nieznanymi gorzelniami. Na półkach za barem stały nie ozdobione w żaden sposób butelki z nalepkami: Wódka, Dżin, Żytnia, albo Chardonnay, Chianti, Porto. Z reguły klienci nie narzekali na taki wybór trunków. Jeśli ktoś doświadczył się markowego sherry albo szampana z określonego rocznika, Checkers utkwiał w niej wzrok.

- Flirtujesz w tradycyjny sposób.

- Słucham?

- Słuchasz? - przedrzeźniał ją Checkers. - Słuchasz? Słuchasz?

- Przepraszam - bąknęła Donna, ale zaraz tego pożałowała.

- Flirtujesz tak tradycyjnie - ciągnął Checkers. - Wiesz, mówię, że masz sprytnie wyglądające uszy jak elf albo wydra, a ty uważasz, że koniecznie musisz zapytać, czy lubię elfy i wydry. Jakby wszystkie elfy i wydry były śliczne, co w domyśle znaczy, że ty też jesteś śliczna. Cóż, na wydry mogę się zgodzić, ale w bajkach, które czytałem, były różne paskudne elfy, wiesz? Świrnięte elfy, z powykręcanyimi stopami. Ale to nieważne. To znaczy, już ci mówiłem, że świetnie wyglądasz. Co jeszcze mogę powiedzieć?

Brwi Donny były oficjalnie uniesione.

- Wydaje mi się, że masz zamiar powiedzieć dużo więcej. Checkers się zaśmiał.

- Wiedziałem, że jesteś sprytna.

Donna usłyszała trochę konkretów. Checkers urodził się w Niemczech, jego rodzice byli amerykańskimi wojskowymi. Mieszkali w Waszyngtonie, w Minneapolis, potem w San Diego i w Wheeling w Wirginii Zachodniej. Miał niezwykle elastyczne stawy, pracował jako łowca głów, jeździł podrasowanym plymouthem dusterem.

- Po Manhattanie? - zapytała Donna.

Checkers mrugnął. Jego oczy poświęciły trochę czasu szyi i piersiom Donny, co w jej odczuciu było dobrym znakiem. Niepokoiła ją za to nieprzyjemna blizna biegnąca wzdłuż jego lewej szczęki; wyglądała, jakby została wycięta nożem.

- Pewnie sądzisz że podrasowany plymouth duster lepiej czułby się na podwórku jakiegoś wieśniaka w Wirginii Zachodniej?

Donna odchrząknęła.

- Nie wiem.

- Nie wiesz też, że podrasowany silnik mojego plymoutha mruży jak kotek. Ma osiem cylindrów, wygodną tapicerkę i nie dalej jak w zeszłym tygodniu jedna bardzo dojrzała klientka zachwycała się moim podkreślonym plymouthem, mówiła, że jest wielkim wytchnieniem pośród taksówek i limuzyn tej metropolii. Takiego właśnie słowa użyła moja klientka. Wytchnienie.

- Nie lubię samochodów - wyznała Donna.

- Nie jeżdżę samochodem. Jeżdżę dojrzałym, podrasowanym wytchnieniem.

Donna zastanawiała się, kim była ta klientka. Checkers odchylił się na krześle. Jak dotąd jego Pstrąg i Cielęcina Donny się nie zmateriałizowały.

- Założę się, że jesteś dziewczyną pewnego rodzaju - stwierdził Checkers.

- Wszystkie takie jesteśmy - odparła Donna.

- Na pewno gdybyś szła ulicą i jakiś gość by podjechał w swoim naprawdę męskim samochodzie, i powiedział: „Hej, ślicznotko”, nawet byś się nie uśmiechnęła.

- Prawdopodobnie nie - przyznała.

- Założę się, że gdyby ten facet stał się prostacki i powiedział, że może dasz się namówić na małe co nieco, i tak byś się do niego nie uśmiechnęła. Nie zniżyłabyś się do jego poziomu.

- Znów masz rację.

Checkers uderzył dłonią w stół. Wyglądał na rozgniewanego.

- Cholera - zaklął głośno.

Donna była zaskoczona. Wydawało jej się, że zwyczajnie rozmawiają.

- Cholera - wybuchnął Checkers. - Do diabła, kobiety, myślicie, że kim jesteście?

Donna zmarszczyła brwi.

- Myślicie, że mężczyźni są subtelni? Myślicie, że wszyscy jesteśmy po prostu uszczęśliwieni, kiedy flirtujemy? Kiedy zapraszamy dziewczynę na obiad i z nią rozmawiamy? Jezu!

Diwa i skinheadzi obrócili się w stronę Checkersa.

- Nie rozumiesz? - Checkers wbił wzrok w Donnę. - Nie rozumiesz, jakie to doskonałe, kiedy facet mówi do dziewczyny: „Hej, ślicznotko”, bo to wszystko, co potrafi powiedzieć?

Jego twarz, która wcześniej z taką łatwością rozjaśniała się uśmiechem, miała teraz poważny wyraz. Donna nie wiedziała, co powiedzieć. Zastanawiała się, czy nie wyjść z restauracji, ale pojawił się Juan z tacą.

- Przyjemność - wyjaśnił. - Obiad.
- Skąd się wzięła ta blizna na twojej szczęce?

Checkers szybko i sprawnie jadł Pstrąga, manipulując sztuczkami jak chirurg.

- To była bójka na noże - wyjaśnił - z wieśniakiem z Wirginii Zachodniej.
- Bójka na noże, pomyślała Donna. W żadnym razie nie pójdę do domu z tym facetem.
- A twoje imię? Skąd się wzięło? Checkers popatrzył na zegarek.
- Nieźle. Zapytałaś dopiero po sześćdziesięciu siedmiu minutach.
- Przepraszam. A jednak to niezwykle imię.

W sali jadalnej Fiat Michaels puszczano muzykę, jakiś kawałek na gitarze basowej.

- Mam na imię Checkers. To nie ma nic wspólnego z czekami. Takie imię rodzice podali w moim świadectwie urodzenia.

- Czy wyjaśnili kiedyś dlaczego?-spytała Donna.

- Tak mnie chcieli nazwać. To coś, czego nie mogę kontrolować. Donna wzięła do ust kęs Cielęciny.

- A jednak są inne rzeczy, które mogę kontrolować - dodał Checkers.

- Na przykład?

- Na przykład chcę być szczęśliwy. Nie chcę pogrążyć się w rozpacz. Chcę być z kobietą.

Nie do wiary, pomyślała Donna.

- Dlatego właśnie chciałem się z tobą spotkać - podjął. - Lee powiedziała, że jesteś piękną kobietą. „Świetnie”, mówię do niej, „tego właśnie szukam, pięknej kobiety”. Rozumiesz?

- Czy z wszystkimi tak rozmawiasz? - zapytała Donna.

- Och, przestań. Mógłbym flirtować tradycyjnie, ale na rany Chrystusa, popatrz na siebie. Popatrz na swoje wargi i na swoje kości policzkowe.

- Checkers, proszę.

- Popatrz na maleńkie mechate wąsiki wokół twoich ust. Donna zaczerwieniła się. Kobietom nie wypadało mieć wąsików.

- Są prawie niewidoczne - ciągnął Checkers. - Wyglądają bardzo... Nie wiem. Delikatnie.

- To prawda - wtrącił jeden ze skinheadów. Donna schyliła głowę. Odłożyła sztucce.

- Proszę, przestań - wyszeptała. - Przestań mówić o... mojej twarzy., Checkers spojrział jej w oczy.

- Powiedz więc coś. Takimi ustami mogłabyś mówić wszelkiego rodzaju piękne rzeczy.

Donna nadal siedziała ze spuszczoną głową.

- Muszę iść do toalety - powiedziała.

W toalecie Donna wyobrażała sobie, jakiego rodzaju kobiety miał wcześniej Checkers. Wyobrażała sobie kelnerki, panienki, studentki filozofii. Była ciekawa, czy jego usta mają smak dymu.

- Spróbuj - nakazała swojemu odbiciu w lustrze. - Masz trzydzieści dwa lata. No, dalej.

Kiedy miała dziewiętnaście lat, spotykała się z mężczyzną przed trzydziestką, którego pasją było spadochroniarstwo. Donna kochała go gorąco. Nie rozumiała jego zmagania z grawitacją ani jego muzyki country. A jednak przywiązała się do niego, a on pierwszego dnia każdego miesiąca dawał jej irysy. Donna myślała, że to on jest mężczyzną z proroctwa pani Vivian, mężczyzną, do którego będzie należeć. Ale zmarł w jej ramionach - straszną śmiercią, po skoku spadochronowym. Wgniół się w ziemię, a nie w Donnę.

- No, dalej - powiedziała Donna do lustra. - Podobają mi się twoje wargi - wyszeptała. - No, dziewczyno.

Kiedy wróciła do stolika, zorientowała się, że coś ją ominęło. Checkers śmiał się. Rozmawiał z Juanem i śmiał się jak zwierzak.

- O co chodzi? - spytała.

- Posłuchaj - wydyszał Checkers. Był tak rozbawiony, że brakowało mu tchu. - Powiedz to, Juan.

- Obukać w nie malowane - powiedział Juan.

Checkers znów wybuchnął śmiechem.

- Dokładnie - potwierdził Juan. - Obukać w nie malowane. Checkers otarł łzę z oka.

- Odpukać w nie malowane. Próbuje powiedzieć: „Odpukać w nie malowane”, Donna.

- Tak - przyznał Juan. - Obukać w nie malowane.

- Nie potrafi wymówić słowa „odpukać” - zachichotał Checkers. - Wciąż mówi „obukać”.

To przez ten jego akcent.

Donna usiadła. Próbowwała skupić uwagę na Checkersie, z którym miała randkę, próbowała się do niego uśmiechnąć. Ale Checkersa interesował tylko Juan.

- Spróbuj powiedzieć to wolno, Juan - poradził Checkers. - Skoncentruj się.

- Tak - zgodził się Juan.

- Oddppukać. - Checkers popatrzył wesoło na Juana. - Odd-ppukać. Oddppppukać.

- Obukać - powiedział Juan.

- W porządku, Checkers - wtrąciła się Donna. Chciała przez to powiedzieć: „Wystarczy”.

- Oddppppukać - demonstrował Checkers.

- Obukać - powtórzył Juan.

Checkers stracił panowanie nad sobą. Walnął dłonią w stół, jego śmiech zaczął przypominać skowyt. Donna widziała, jak pracuje jego przepona. Ludzie się im przypatrywali.

- Przestań - błagała Donna. Była przestraszona. Śmiech, tak jak samochody, nieraz budził w niej strach.

- O Boże! - zawył Checkers.

- Przestań. - Donna podniosła głos. Wszystko psujesz, pomyślała. Przestań.

Juan uśmiechnął się do nich szeroko. Najwyraźniej wcale się nie przejął i był gotów do dalszej rozmowy.

- O Boże - prosił o litość Checkers, odganiając ręką Juana. - O Boże.

Juan odszedł.

- On nie mógł tego zrozumieć. - Checkers odetchnął, wziął się w garść. - Odpukać i obukać. Nie słyszał różnicy.

- To było okrutne z twojej strony - uznała Donna. - To, że się z niego śmiałeś.

Checkers się uspokoił. Wypił do dna swoje piwo, już drugie. Talerze zniknęły.

- Musiałabyś tu być, kiedy się to zaczęło - powiedział., Patrzyła na niego gniewnie.

- Takie rzeczy się czasami zdarzają - próbował się tłumaczyć.

Nie było deseru. Świeca wypaliła się w połowie.

- O czym myślisz? - zapytał Checkers.

- O niczym.

Donna dokończyła swoją wódkę. Myślała o tym, jakie to było uczucie, kiedy leżała pod mężczyzną, kiedy czuła jego ciężar. Myślała o Charlesie, o jego książkach i kajdankach. Myślała o swoim spadochroniarzu, o tym, w jaki sposób naciągał koszulę.

- Myślisz, że robię dziwne rzeczy - powiedział Checkers. - Myślisz, że jestem dziwny.

Donna skinęła głową.

- Nie zamierzasz się ze mną spotkać jeszcze raz. Tym razem pokręciła przecząco głową.

- Dlaczego? Bo śmiałem się z Juana?

Małżeństwo, skinheadzi i diwa już wyszli. Dźwięki gitary basowej cichły. Pozostał tylko młody księgowy, który wciąż wpatrywał się w kolczyki z opalami spoczywające w jego dłoni. Na dworze, na Wschodniej Czwartej Ulicy, kończył się październik.

- Nie tylko o to chodzi - powiedziała Donna.

- Więc dlaczego? Chcesz, żebym pogrążył się w rozpacz? Naprawdę chcesz, żebym był zrozpaczony?

Donna westchnęła z rezygnacją; znała to uczucie aż za dobrze. Mężczyźni są drzwiami, pomyślała. Zamykają mi się przed nosem.

- Po prostu... wydaje mi się, że nie umiem z tobą rozmawiać.

- No i co z tego? - Checkers wyglądał na zdumionego. - Ja umiem z tobą rozmawiać. Ja mogę mówić.

- Przykro mi. Chcę po prostu wrócić do domu. Fiat Michael's pustoszał.

- Jestem łowcą głów - zauważył cicho Checkers. - Spędzam cały dzień na dobieraniu ludziom życia. Nie uważasz...

- Nie potrafię tego wyjaśnić. - Donna prawie się trzęsła. - Chcę jechać do domu.

Na ulicy było zimno, wiatr rozwiewał liście i śmieci. Checkers i Donna szli razem w milczeniu.

- Nie musisz iść ze mną - odezwała się Donna.

Checkers popatrzył na niebo. Myślał o tym, co się dzieje, kiedy jest sam w swoim mieszkaniu w nocy i śpi. Wiedział, że w pewnym momencie zwija się w kłębek, bo w takiej właśnie pozycji budził się każdego ranka: mocno skulony, jakby zapadł w zimowy sen.

- Tam jest przystanek metra. - Donna wskazała dłonią.

- Mój samochód jest obok następnego - poinformował ją Checkers. - Broadway-Lafayette. Chodź. Jeszcze tylko pięć przecznic twojego życia. Potem znikam.

Szli dalej. Przyglądał im się przycupnięty na okapie biały kot ze zmierzwioną sierścią. Skądś niósł się zapach gumy. „W drzwiach jednego z budynków przygarbiony, wychudły włóczęga o czarnych oczach stroił gitarę.

- Święta już niedługo - stwierdził Checkers.

- Chyba tak.

Donna słuchała, jak jej pantofle stukają o chodnik. Stacja metra zamajaczyła w oddali.

- Cóż - powiedziała - dzięki za obiad. Checkers wskazał ruchem głowy wschód.

- Zaparkowałem za rogiem.

Widzieli swoje oddechy. Donna wyciągnęła dłoń.

- Miło było cię poznać.

- Sześćdziesiąt sekund - poprosił Checkers. - Po prostu stój tam, gdzie jesteś, przez sześćdziesiąt sekund.

Donnę brzydziły jej własne odczucia.

- Checkers, wieczór się skończył.

On jednak już truchtał do samochodu.

- Sześćdziesiąt sekund! - odrzyknął, znikając za rogiem. Zapomnij o tym, pomyślała Donna. Ruszyła w kierunku metra, ale po chwili się zatrzymała.

Nie ma czego próbować, powiedziała sobie. A jednak nie poszła dalej. Stała bez ruchu i patrzyła na gwiazdy, blade plamy gazu.

Jezebel jest tam wysoko, pomyślała. Jezebel, ze swoimi doskonałymi łydkami, unosi się tam jak imbecyl. Ja też jestem imbecylem, pomyślała jeszcze, dygocząc. Imbecylem bez płaszcz.

- Pieprzę to - powiedziała głośno.

Doszła do szczytu schodów metra. Jakiś samochód zahamował za nią i usłyszała klakson.

- Ja cię kręcę, co za laska! - krzyknął ktoś.

Donna odwróciła się. Przy krawężniku, kilka metrów od niej, zatrzymał się granatowy plymouth duster. Szyba od strony pasażera była opuszczona i Donna dostrzegła za kierownicą gapiącego się na nią Checkersa.

- Hej, ślicznotko! - krzyknął.

- Nie jadę z tobą - powiedziała.

Checkers opuścił przednią lewą szybę, wychylił się i pomachał przechodniom.

- Hej. - Wskazał wyprostowanym kciukiem Donnę. - Czy ktoś jeszcze widzi ten towar, o tam? Jest zarezerwowana czy co?

- Skończ już, Checkers. - Donna skrzyżowała ręce na piersiach. - Wiem, że to ty. Wiem, o co chodzi.

- Czy ona jest bombą? - wrzeszczał Checkers. - Czy ona jest słowem? Czy ona jest ruchem?

Dwa samochody tkwiły za dusterem, nie mogąc przejechać: taksówka i honda.

- Rusz tego grata! - wydarł się taksówkarz.

- Checkers - powiedziała Donna.

Uwagę Checkersa znów przykuła Donna. Popatrzył na nią rozszerzonymi oczami, uniół brwi, nacisnął klakson. Rozruszał silnik, krzycząc radośnie jak uczeń. Przesunął się na miejsce pasażera.

- No powiedz, laluniu. - Checkers wywiesił język jak pies. - Masz te oczy i masz te uda. Wiesz, o czym mówię, kociaku?

Donna nachmurzyła się. Pokazała mu środkowy palec.

- Rusz tę pieprzoną furę! - wrzeszczał taksówkarz. Położył rękę na klaksonie i już jej nie zdjął.

Checkers polizał swój mały palec, przywołał Donnę gestem.

- Chodź tutaj, kobieto - warknął. - Chodź tutaj i pofigluj-ze starym Checkerssem.

Donna wywróciła oczami. Odrzuciła do tyłu włosy. Na szyi miała gęsią skórę.

- No, chodź tu zaraz - nakazał Checkers.

- Za tobą są samochody - ostrzegła Donna.

Ziemią wstrząsnął pęd i łoskot. Na stację wjeżdżał pociąg. Checkers uderzył się pięściami w pierś.

- Chodź, wejdź do maszyny miłości. Papa Checkers zrobi z ciebie kobietę.

- Jesteś chory na głowę - powiedziała Donna.

Kierowca hondy wysiadł z samochodu. Był to wściekły facet w muszce.

- Co jest grane? - chciał wiedzieć.

- Papa Checkers wydyma cię tak, że dostaniesz zeza! - wrzasnął Checkers.

Donna dyszała ciężko. Miała trzydzieści dwa lata, była w obcisłej sukience, dostała gęsiej skórki, umalowała się przed randką dobrą szminką. Sprzedawała nieruchomości, uwielbiała dzieci, głosowała. N - No, chodź już - powiedział spokojnie Checkers, wyciągając rękę do Donny. - Aż się palisz, żeby zrobić to, o co cię prosi Papa, prawda? Chodź tutaj zaraz, mała.

Mężczyzna w muszce wetknął głowę w okno dusteru od strony kierowcy.

- O co tu chodzi?! - ryknął do Checkersa.

Checkers nawet nie drgnął. Jego ręka pozostała na zewnątrz, sięgając po tę kobietę.

- No już - wyszeptał i Donna się uśmiechnęła.

KĄPIEL JACOBA

Legenda o kąpieli Jacoba zaczęła powstawać pierwszego maja 1948 roku, w dniu, w którym Jacob Wolf ożenił się z Rachel Cohen.

Ślub odbył się w synagodze na Zachodniej Osiemdziesiątej Dziewiątej Ulicy, a przyjęcie weselne w hotelu Plaža. Uroczystości zorganizowały matki Jacoba i Rachel; obie miały na imię Amy. Rodziny nowożeńców od dawna mieszkały na Manhattanie i cieszyły się powszechnym szacunkiem. Parę wieków wcześniej Wolfowie byli rumuńskimi krawcami. Teraz byli właścicielami Wolfs Big and Tali, sklepu dla osób o nietypowych wymiarach na Zachodniej Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy, gdzie maskowali wypukłości i skracali to, co zbyt długie. Krążyły plotki, że Sherman Wolf, ojciec Jacoba, był kiedyś osobistym krawcem burmistrza i bossów mafijnych z klanu Scapallettich. Faktyczna klientela Wolfs Big and Tali nie była nigdy ujawniana. Wiedzano jednak powszechnie, że Wolfowie zawarli przymierze z olbrzymimi facetami, których łapy strach było ścisnąć. To dlatego spadła na nich taka hańba, kiedy latem czterdziestego trzeciego dwudziestoczteroletni Jacob Wolf, jedyny syn Shermana, podjął pracę jako autor piosenek reklamowych.

- Jako kto? - Sherman Wolf wpatrywał się ze zdumieniem w swojego chłopaka. - Co ty mi tu wciskasz?

- Będę pisał piosenki reklamowe-powtórzył Jacob.-Piosenki o towarach.

- Piosenki o towarach? - Sherman Wolf był o pół głowy wyższy od syna. - Jakie piosenki? - chciał wiedzieć. - O jakich towarach? Co ty mi tu wciskasz?

- Dla radia, tato. - Jacob westchnął. - Dla konglomeratu. - A to co znowu? Co mi tu wciskasz? Koncentrat?

Jacob znów westchnął. Konglomerat był grupą przedsiębiorstw, Mogło chodzić o dokładny wzrost Benita Mussoliniego, szybkość, z jaką porusza skrzydłami koliber, albo listę składników zimnej zupy ziemniaczano-cebulowej podawanej w Duranigans na Madison Avenue. Rachel była właśnie w Duranigan's i kłóciła się z szefem kuchni - który zgodził się przez telefon ujawnić kilka przepisów, ale teraz był małomówny i wyniosły - kiedy zauważyła Jacoba Wolfa, samotnie jedzącego lunch przy narożnym stoliku. W dzieciństwie widywała Jacoba w synagodze na Osiemdziesiątej Dziewiątej Ulicy, ale nigdy go nie zauważała. Nigdy nie zauważała wyjątkowo silnego zarysu jego szczęki ani delikatności jego palców. Nigdy nie miała okazji się dowiedzieć, z jakim smutkiem, z jaką nie skrywaną melancholią Jacob jadł sandwicza Reubena, kiedy sądził, że nikt na niego nie patrzy.

- Mój Boże - szepnęła Rachel. - Jacob Wolf?

- Nic nie powiem. - Szef kuchni pokręcił triumfalnie głową. - Ta zupa to nasz sekret.

Rachel wysunęła się z kuchni i podeszła do przygnębionego mężczyzny, który miał stać się jej ukochanym, a ten spojrzał w górę i napotkał jej wzrok.

- Sekret! - wrzeszczał szef kuchni za Rachel. - Słyszysz pani? Cztery miesiące później Jacob i Rachel się pobrali. Ślub i wesele urządzone z królewskim rozmachem. Krewni tłumnie napłynęli z Long Island i z Waszyngtonu. Na podłodze synagogi rozsypano śnieżnobiałe róże z długimi łodygami. Susan March, przyjaciółka Rachel, także trudniąca się sprawdzaniem faktów, była druhną. Suknia odsłaniała jej wspaniałe łydki i wielu gości uważało skrycie, że Susan jest piękniejsza od Rachel.

Na przyjęciu w Plaży pod rozważnym dowództwem obu Amy podano befsztyk po tatarsku i szampana, potem lody cytrynowe, a następnie obiad. Obecni byli wszyscy najznamienitsi ludzie z Manhattanu, między innymi June Madagascar, sopranistka z Broadwayu, Jacqueline Hive, która kierowała sierocińcem, oraz złowieszczo wysocy mężczyźni w kamizelkach. Wykorzystując chwilę, gdy radosny gwar nieco przycichł, Robby Jax, sławny komik, uśmiechnął się szeroko i stwierdził, że przyszedł czas na toast.

- Panie i panowie - powiedział, unosząc szklanekę szkockiej - wypijmy za lato, za miłość mężów i żon, za Cutty Sark i taniec, za zdumiewający biust Jacqueline Hive, za wasze matki i waszych ojców, za Żydów, za blask gwiazd i za dobrze uszyte wełniane garnitury, i ale przede wszystkim za szczęście Jacoba i Rachel Wolfów. Niech ich Bóg błogosławi... na zdrowie!

Rozległo się gromkie „hura”, brzęknęło szkło. Zezwolono na tańce, dzieci się uśmiechnęły, młodych małżonków obdarowano mnóstwem prezentów. Wszystkie podarunki były idealne. Dostali srebrne noże i złotą biżuterię, butelki wina i dzieła sztuki. Nie było tam niczego nieprzyzwoitego, groteskowego, komicznego ani osobistego: żadnej bielizny, gotówki, nagrań jazzowych czy książek. Każdy prezent wskazywał pożyteczne, dostatnie życie.

Dominującą rolę odgrywał tego wieczoru rosły Sherman Wolf. To prawda, że Alex Cohen podpisał rachunek, ale nie wynikało to z jego wielkoduszności. To Sherman pokazał klasę: zatopił zęby w befsztyku, tańczył z paniami, podał rękę swojej kuzynce Idzie, aby zakończyć zadawniony spór rodzinny. Przede wszystkim jednak Sherman był szczęśliwy. Nie zjawili się żadni głupekowaci autorzy piosenek reklamowych - Sherman obawiał się, że istnieje jakieś ich zrzeszenie - którzy śpiewaliby bzdurne piosenki i parskałoby śmiechem. Na zakończenie wieczoru wypożyczona limuzyna miała podjechać pod drzwi frontowe hotelu Plaża, aby niepostrzeżenie porwać nowożeńców do jednej z miejscowości wypoczynkowych w górach Adirondack. Wreszcie, jako gwóźdź programu, sam gubernator wstąpił na piętnaście minut. Pocałował pannę młodą, walnął pana młodego po plecach, a potem poprosił Shermana o rozmowę na osobności.

Pośród tych wszystkich cudowności dwudziestoosmioletni Jacob Wolf, od paru godzin dopiero żonaty i kompletnie przerażony, siedział przy głównym stole koło Rachel i patrzył, jak mija nieudany wieczór. Hotel Plaża był oczywiście wspaniały. Fantastyczne było jedzenie, rześiste oświetlenie i rzewna muzyka grana na skrzypcach, i nawet zarozumiała

kuzynka Jacoba Lucy z New Haven pozbyła się jakoś dziecinnej puciołowatości i wulgarnego języka i też była wspaniała.

Ale Jacob nie był stworzony do splendoru. Wiedział to przez całe życie. Uśmiechał się do swoich gości i do gości Rachel, gdyż dobrze mu życzyli, ale w głębi serca panicznie bał się tych ludzi. Wbrew mitom nie było w nich żadnej pretensjonalności ani fałszu. Byli tacy, za jakich się uważali. Byli bogaci, wytworni, inteligentni, i jak domyślał się Jacob, odnosili moralne zwycięstwa w zmaganiach z wszelkimi przeciwnościami. To właśnie ich dobroć mroziła serce Jacoba, wiedział bowiem, że jest prostym człowiekiem pełnym niedoskonałości. Pisał dla zarobku wesołe, niemądre teksty piosenek i to mu wystarczało. Odbywał długie spacerunki po Central Parku, nie żeby podziwiać przyrodę czy poprawić kondycję, na dobrą sprawę zupełnie bez powodu. Wybrał Rachel na żonę, ponieważ łatwo było ją zdobyć. Podeszła do niego w Duranigans i za pomocą języka ciała i języka angielskiego powiadomiła go, że jest do wzięcia. Umawiali się przez miesiąc i Rachel opowiadała zabawne historyjki. Miała sprawne ciało, tak jak Jacob - chociaż nie spali ze sobą przed miesiącem miodowym - i nie czuła ani podziwu, ani pogardy dla jego tekstów. Może z radością, ale na pewno z ulgą Jacob poprosił Rachel, żeby została jego żoną. Zgodziła się od razu i sprawa była załatwiona.

A może nie, myślał Jacob, patrząc na swoje przyjęcie weselne. Może moc i energia, tak promieniujące od gości, drzemią także w Rachel. Jacob mieszkał w kamienicy Preemption na Zachodniej Osiemdziesiątej Drugiej Ulicy i planował, że po miesiącu miodowym Rachel wprowadzi się do niego. Ale jak długo będzie tam szczęśliwa? Może po miesiącu małżeństwa będzie domagała się magii: przenosin na Upper East Side, biletów na Carmen, papai na śniadanie. A gdyby nagle uznała, że Kalifornia jest ważnym miejscem? Albo zapragnęłyby ostrzyg? Albo chciałyby porozmawiać o Churchillu?

Rachel ścisnęła dłoń Jacoba.

- Widzę, że coś cię gryzie.

- Ależ nie - zapewnił Jacob.

- Kłamiesz. Przestań się martwić.

Jacob popatrzył na swoją właśnie zaślubioną żonę. Patrzył na jej roziskrzoną suknię, na dołek między jej piersiami, na jej dość brzydkie brwi.

Rachel wzruszyła ramionami.

- Jestem tylko dziewczyną. A ty jesteś tylko facetem. Dzięki Bogu, pomyślał.

Legenda o kąpieli Jacob'a zaczęła powstawać tej samej nocy, w górach.

Wiejski dom, w którym Jacob i Rachel mieli spędzić miesiąc miodowy - Blackberry House - stanowił coś pośredniego między azylem milionera a współczesnym rodzinnym hotelikiem. Dom był przestronny, drewniany i znajdował się tylko godzinę drogi na południe od Kanady. Wyłożony boazerią pokój dzienny na parterze miał poważny wystrój. Najciekawiej prezentowały się chodniki ze skór niedźwiedzi, stojaki z porożami jeleni i szachownica z figurami z kości słoniowej. Sypialnie za to były ciepłe i przytulne, z kołdrami

na łózkach i zapalonymi świecami, a w łazienkach stały wanny na mosiężnych lwich łapach. W pokoju Jacoba i Rachel - Blackberry - Room - znajdował się starodawny warsztat tkacki, olbrzymie okno mansardowe wychodziło na jezioro Raquette. Za tym oknem, na dachu w świetle księżycy siedział skunks.

- Tam jest skunks - stwierdziła Rachel. Wciąż miała na sobie suknię ślubną. Wskazała na dach, wpatrując się w noc. W górach Adirondack trwała wiosna, ale szyby były zimne. - Jest druga w nocy. Za naszym oknem siedzi skunks - powtórzyła.

Jacob powinien może myśleć o skonsumowaniu małżeństwa. Zamiast tego zastanawiał się, w jaki sposób skunks zdołał się wdrapać na szczyt dwupiętrowego budynku.

- Mephitis mephitis - dodała Rachel. Kiedyś wyszukiwała dla „Timesa” informacje o zwierzętach. - To łacińska nazwa skunka zwyczajnego. N<

- Jak tu wlaź? - dziwił się Jacob.

Nowożeńcy przyglądali się zwierzątku. Było czarno-białe i w tej chwili nie wydzielalo nieprzyjemnego zapachu. Rachel zdjęła buty, roztarła stopy.

- Nie wiem, jak bardzo to jest romantyczne. Mephitis mephitis za naszym oknem w noc poślubną.

Jacob nie odpowiedział.

- Wykąpię się - oznajmiła Rachel.

Weszła do łazienki i zamknęła drzwi. Jacob patrzył na gryzonia. Skunks się nie poruszał. Tkwił półtora metra od okna, wyraźnie widoczny z małżeńskiego łóża.

Jacob słyszał szum wody płynącej w rurach. Wiedział, że jego żona zajęła się jakimiś kobiecymi sprawami. Gdy o tym pomyślał, postanowił pozbyć się skunka.

- Kochanie? - zawołała Rachel. - Co robisz?

Przez szczelinę pod drzwiami łazienki sączyła się para.

- Nic - odparł Jacob.

Zdjął swój but z dobrej skóry, naciągnął go na lewą dłoń jak tarczę. Prawą ręką otworzył okno, powoli, tylko na kilka centymetrów, po czym wysunął lewą dłoń.

- Odejdź, skunksie - szepnął, machając butem. - Spadaj. Skunks popatrzył na Jacoba. Wydawał się okropnie znudzony.

- Spieprzaj - syknął Jacob. - Zjeżdżaj.

Wpatrywał się z wściekłością w zwierzaka, potrząsając ostrożnie swą bronią.

- Sio, no już - nakazał.

Nie chodziło mu koniecznie o to, żeby skunks spadł i się zabił. Chciał tylko, żeby przeszedł na inną część dachu, żeby podsłuchiwał kogoś innego. Skunks jednak obrócił się tylko o sto osiemdziesiąt stopni i spryskał but Jacoba.

- O, cholera.

Jacob wyciągnął dłoń z buta, cofnął się gwałtownie i zamknął okno, zostawiając but na zewnątrz. Ale było już za późno.

- Ooch - jęknęła Rachel z łazienki.

- Przykro mi! - zawołał Jacob, zatykając nos..Smród był nieznośny.

- Lepiej wejdź tutaj - zaproponowała Rachel. Zniszczyłem wszystko, pomyślał Jacob. Zniszczyłem nasz miesiąc miodowy.

- No, chodź - powtórzyła jego żona.

Stała owinięta w grube białe ręczniki. Jeden zakrywał jej włosy jak turban, drugi spowijał ją od piersi do ud, tak że widać było strup na kolanie.

- Lepiej uszczelnijmy drzwi. - Rachel wzięła dodatkowy ręcznik z półki i ułożyła go wzdłuż szczeliny pod drzwiami.

- Próbowałem się pozbyć tego cholernego zwierzaka - wyjaśnił Jacob. - Opryskał mi but.

Rachel pod ręcznikami miała jeszcze mokrą skórę.

- Przykro mi - powiedział Jacob.

- W porządku.

W powietrzu unosiła się mgielka pary. Wannę wciąż wypełniała woda. Jacob patrzył na swoją kobietę, patrzył, w jaki sposób owinęła się ręcznikami. Kobiety często używają tak ręczników: jeden zakrywa włosy, drugi ciało. Nie jest to oryginalne, ale mężczyźni nigdy tak nie robią. Jacobowi się to podobało.

- Ehm. - Jacob zarumienił się. Przecież pod ręcznikami była jego żona. - Spryskał mi tylko but - zapewnił. - Nie trafił mnie.

Rachel zachichotała. Zmarszczyła nos.

- Trafił cię - orzekła.

Roześmieli się. Po chwili zamilkli i przyglądali się sobie.

- Może powinienes wejść do wanny - zaproponowała Rachel. Jacob wpadł w popłoch. Słyszał o kobietach, które kochają się w wannie.

- No, nie wiem - zawahał się.

- Brzydko pachniesz. Rozbierz się i wejdź do wanny. Rachel uśmiechnęła się. Dla Jacoba oznaczało to, że nie zacznie świntuszyć, więc się rozluźnił. Rozebrał się powoli, pozwalając, by zobaczyła go nagiego, i wszedł do wanny.

Rachel podniosła jego ubranie, wyrzuciła je do pokoju, zamknęła drzwi i uklękła przy wannie.

- Masz... ehm. - Oczy Jacoba były na poziomie jej piersi. - Masz zamiar...

- Nie wejdę z tobą - powiedziała Rachel.

- Och, świetnie - rzucił szybko Jacob.

- Już się wykapalam.

- Właśnie.

- Nie biorę długich kąpieli. - Tak. Nie ma sprawy.

Rachel oparła policzek o brzeg wanny. Patrzyła na ciało Jacoba zanurzone w gorącej, czystej wodzie. Widziała go całego.

- Rachel. - Jacob był zakłopotany, siedząc w wannie po szyję w wodzie. Czuł się jak chłopiec.

Kilka kosmyków wysunęło się jej spod ręcznika do wody. Wyciągnęła rękę, pogłaskała Jacoba po szyi.

- Kocham twoją szyję. Twoją szyję i twoją szczękę. Jacob pozwalał jej dotykać swojej twarzy. Była jego żoną.

- Kocham cię - zapewnił. Rachel westchnęła radośnie.

- Naprawdę - powiedział Jacob.'

Przestała pocierać jego szczękę. Co teraz? - pomyślał. Rachel wzięła białą bawełnianą myjkę i przytknęła ją do kawałka mydła, które pachniało wrzosem.

- Co robisz? - zapytał Jacob.

Rachel pocierała nią o mydło, aż powstała piana. Rozłożyła myjkę na całej swojej dłoni, zanurzyła rękę pod wodę i pomasowała pierś swojego męża.

- Spokojnie, chcę cię wykąpać.

Jacob zachował spokój, a ona wykąpała swojego mężczyznę.

Na początku Jacob się śmiał. Miał łaskotki pod pachami i był skrepowany nagością swojego ciała. Ale gdy Rachel przystąpiła do mycia go od stóp do głów, przestał się śmiać. Jego żona zaangażowała się w swoje zajęcie. Szorowała starannie swojego świeżo poślubionego męża. Była stanowcza wobec jego dłoni - splamionych przez skunksa - i twarda dla jego stóp. Dokładnie zajęła się jego tułowiem, ale obeszła się delikatnie z pachwinami. W końcu przytłoczony okazywaną mu troską Jacob zamknął oczy. Nagle ogarnął go łagodny zachwyt. Przez całe tygodnie planował tę noc - podbój ciała Rachel - ale teraz jego zamiary przestały się liczyć. Wciąż chciał się z nią kochać w łóżku, ale teraz akurat działo się coś prostsze. Wilgotne palce Rachel delikatnie oczyszczały jego skórę.

- Podoba ci się to? - zapytała półgłosem Rachel.

Jacob dalej miał zamknięte oczy. Na jego ciele pojawiła się gęsia skórka, a jego usta otworzyły się ze zdziwieniem. Nabrał nagle pewności, że Rachel nigdy nie kąpała innego mężczyzny.

- Hmm. - Z jej gardła wydobył się pomruk zadowolenia. - Podoba ci się to - szepnęła.

To, jak nowożeńcy spędzili miesiąc miodowy, to ich prywatna sprawa. Ale jeden sympatyczny fakt jest znany: każdego wieczoru, po posiłku i spacerze w lesie, Rachel kąpała Jacoba. Już po trzech dniach mąż i żona uzależnili się od tego rytuału. Zaczął im sprawiać przyjemność nie jako luksus, symbol jakiegoś nowego, landrynkowego życia, ale jako konieczność. Było to tak, jakby Jacob przez całe życie wspinał się na górę i dotarł teraz na przyzwoity szczyt, gdzie była kobieta i studnia z wodą. Kobieta miała wzmacniać mężczyznę i gasić jego pragnienie, a mężczyzna kochał kobietę i był jej wdzięczny. Nie chodziło w tym o równość: Jacob nigdy nie kąpał Rachel. Był gotów wykonywać dla niej przez całe życie codzienne obowiązki, ale nie o tym tutaj mowa. Mowa o kąpielach: o legendzie.

Jacob i Rachel wrócili na Manhattan. Ona zajęła się znów sprawdzaniem faktów, a on pisanie tekstów piosenek reklamowych. Przeprowadzili się do mieszkania Jacoba w kamienicy Preemption, u zbiegu Zachodniej Osiemdziesiątej Drugiej Ulicy i Riverside Drive. Tajemniczy stary dom z piaskowca, z gargulcami na dachu, wznosił się ponuro nad rzeką Hudson jak wieża strażnicza. W środku Preemption wyróżniał się z trzech powodów. Znajdowała się tam najstarsza działająca na Manhattanie winda firmy Otis, ręcznie obsługiwany antyk z mahoniowymi drzwiami na każdym piętrze. W budynku urzędował także niezwykle portier, Murzyn o nazwisku Sender. Wysoki, żylasty i dostojny nosił niebieski uniform jak konduktor z pociągu i wydawało się, że w ogóle się nie starzeje ani nie opuszcza swojego posterunku. Niektórzy mieszkańcy Preemption sądzili, że Sender nie ma jeszcze pięćdziesięciu lat, inni, że ma ich ponad sto, ale nikt nie mógł go pokonać w siłowaniu się na rękę. Na czole, pomiędzy oczami, miał owalną bliznę. Co roku w październiku szeptano sobie, że Sender urodził się z trzecim okiem i że lekarze usunęli je, kiedy odcinali mu pępownię.

Trzecią i najistotniejszą wyjątkową cechą Preemption było to, że Elias Rook, projektant i pierwszy właściciel budynku, w każdym mieszkaniu zainstalował wolno stojące wanny. Rook ukończył budowę w 1890 roku, ale był majątnym, głęboko wierzącym prez-biterianinem i nadawał kształt Preemption z myślą o wieczności. W rezultacie podłogi i ściany mieszkań wyłożono najtwardszym dębem. Szkło w każdym sklepionym oknie miało kilka centymetrów grubości. Prawdziwe arcydzieła jednak stanowiły wanny. Były żeliwne, powleczone białą emalią, z mosiężnymi rurami i mosiężną baterią. Gdyby ktoś taki jak Rachel zadał sobie kiedyś trud zbadania historii Preemption, mógłby odkryć coś niewiarygodnego: ani jeden mieszkaniec, przez pół wieku, nie cierpiał z powodu cuchnącej wody w wannie, uszkodzonych rur ani nawet kruszącej się emalii. Oczywiście z biegiem lat większość wanien przerobiono na prysznic, również tę, która przypadła Jacobowi. Zasady najmu w Preemption wykluczały usuwanie oryginalnych wanien - które i tak były przymocowane do podłogi - większość mieszkańców więc wynajmowała hydraulików, żeby ustawili rurę jak maszt i zamontowali na niej sitko. Potem ogradzano wanny plastikowymi zasłonami, brano szybko prysznic i powracano do świata. Ale kilkoro mieszkańców Preemption nigdy nie wprowadziło natrysków. Dusili się wolno w swoich wannach, staroświeckich kotłach, myśleli o Senderze albo o windzie w Preemption, która także nigdy się nie psuła, i nie bali się.

W dniu, w którym Jacob i Rachel Wolfowie wrócili z gór Ad-irondack, Jacob rozebrał swój prysznic. Odtąd każdego wieczoru ich małżeństwa Rachel kąpała męża. Kąpała go 20 listopada 1953 roku, w dniu, w którym urodziło się ich pierwsze dziecko, syn Elias. Rachel nie powiedziała o tym swojej rodzinie ani lekarzom w szpitalu Świętego Łukasza. Po prostu to zrobiła: zgłosiła się do szpitala rano, urodziła Eliasa i była w domu przed zmrokiem, żeby wykąpać swojego męża.

Także 8 kwietnia 1956 roku - w dniu, w którym jej matka umarła na tętniaka mózgu - Rachel zdążyła wrócić do domu, żeby wykąpać Jacoba. Robiła to w każdy szabat i w żydowskie święta. W czasie pełni księżyca i finałów rozgrywek baseballowych. Kąpała go, kiedy była rozgniewana i kiedy on był okrutny. Jacob zaś niezmiennie zjawiał się w domu każdego wieczoru, aby dopełnić rytuału. 30 lipca 1958 roku, kiedy wieczorem w Centrum Rockefellera odebrał nagrodę za swoją piosenkę reklamową o Musztardzie Jeremiah, nie zgodził się wypić piątego piwa w Duranigans i pojechał taksówką do domu, żeby wziąć kąpiel. 23 sierpnia 1969 roku w jednym z pokoi hotelu Plaża pięćdziesięcioletni Jacob Wolf zakończył romans z broadwayowską pianistką Melodie „Trzy Czwarte” Sykes. Pognął do domu, szlochając spazmatycznie, i wszedł do wanny, by żona mogła go umyć.

. Przez całe dziesięciolecie nikt nie znał tej tajemnicy, nikt nie wiedział o skrywanym ożywym źródle małżeństwa Jacoba i Ra-’chel, ani ich rodzice, ani sąsiedzi, ani ich dzieci. Elias i Sarah, gdy już podrośli, sądzili, że ich rodzice po prostu są na siebie napaleni. Patrzyli, jak Jacob i Rachel każdego wieczoru znikają w głównej sypialni, która przylegała do łazienki. Kiedy Elias i Sarah słyszeli szum wody płynącej do wanny, przypuszczali, że dochodzi do stosunku i że oni sami zostali poczęci w ciepłej wodzie. Wywołało to lekki zamęt w umyśle nastoletniego Eliasa, który wydedukował, że młode kobiety najbardziej są podatne na namowy i lubieżne, kiedy zapędy się je pod prysznic. Sarah oczywiście myślała tak samo, aż do czasów college’u. Jeśli za ścianą, a nawet dwa pomieszczenia od niej chłopak puszczał gorącą wodę, nie mogła powstrzymać chichotu, a czasem zmykała przerażona.

Legenda o kąpielu Jacoba stała się własnością publiczną w styczniu 1991 roku. Jacob miał siedemdziesiąt dwa lata, Rachel sześćdziesiąt pięć, i trwała wojna w Zatoce. Matka Jacoba umarła pięć lat wcześniej, a jego ojciec, potężny Sherman Wolf, miał dziewięćdziesiąt lat. Sherman skurczył się prawie o trzydzieści centymetrów. Mieszkał teraz w Benjamin Home, luksusowo urządzonego domu dla rekonwalescentów na Upper East Side. Stały tam mocne drewniane łóżka, korytarze wyłożono dywanami, pielęgniarki były miłe. Sherman Wolf powarkiwał na staruszki grające w holu w kanastę. Sumiennie śledził sprawozdania wojenne w telewizji i w gazetach. W głębi serca jednak Sherman był niespokojny. Świat wciąż należał do olbrzymów, ale on nie był już jednym z nich. Gdy głębiej oddychał, bolały go płuca. Cierpiał z powodu artretyzmu, kiepskiego słuchu i okresów chłodu, gdyż wtedy trzęsły mu się ręce i nogi. Do tego dochodził jeszcze szalaniec z Iraku i Sherman był przekonany, że ten wariat wkrótce zaatakuje Benjamin Home, a właściwie jęgb samego.

- Tato, nikt cię nie zaatakuję - uspokajał go Jacob.

- Co takiego? - Sherman wbił oczy w swojego chłopaka, niczego nie rozumiejąc. - Co ty mi tu wciskasz?

Jacob odwiedzał Benjamin Home w każdą niedzielę, często też w dni powszednie.

- Nikt cię nie skrzywdzi, tato. Nie pozwolę im. Sherman wpatrywał się sceptycznie w Jacoba.

- Ty? - wymamrotał. - Ty nie możesz powstrzymać szaleńca.

- Nie przejmuj się nim. - Jacob poprawił kołdrę na ramionach ojca. Zrobiła ją matka Jacoba, Amy.

- Ty. - Sherman odwrócił głowę i westchnął. - Ty tekściarzu. Kąpiel Jacoba stała się sławna za sprawą Susan March, druhny i dawnej koleżanki z pracy Rachel, Razem zaczęły karierę od sprawdzania faktów w „Tirnesle”. Rachel zrezygnowała później z tego zajęcia, żeby wychować Eliasa i Sarah, natomiast Susan March wciąż zajmowała się dziennikarstwem. Pracowała w „Timesie” przez pięć dekad, pisząc między innymi o Watergate, breakdance, walkach ulicznych w Belfaście. W późnych latach siedemdziesiątych Susan miała już własny felieton, „Marchowe szaleństwo”, który ukazywał się co dwa tygodnie. Poruszała tam najróżniejsze tematy, zamieszczała zarówno satyry polityczne, jak i doniesienia o modzie. Najczęściej Susan ukazywała w krzywym zwierciadle kogoś groteskowego: znaną w świecie postać o dziwnym charakterze albo przypadkowego człowieka o zaskakujących poglądach. W „Marchowym szaleństwie” właśnie Ameryka przeczytała pierwszy wywiad z Daną Smith, kochanką oskarżonego o seryjne morderstwa Bobby ego Bobbingtona.

- Zgodzę się porozmawiać tylko z Susan - zapowiedziała ze szlochem Dana i nie były to czcze słowa.

Susan March wzburzyła też w 1986 roku sprawa duńskich dzieci chorych na zespół Downa, i dziennikarka rozpoczęła napastliwą kampanię - tak skuteczną, jak twierdzili niektórzy, że zmieniła wynik głosowania Senatu w tej sprawie. Ogólnie, kariera Susan świadczyła o tym, że potrafiła ona dojrzeć kwestie istotne dla świata, a przynajmniej dla Ameryki. Susan miała najwidoczniej rozważne serce, mądre pióro i chęć poruszania moralnie elektryzujących tematów.

Zwątpienie pojawiło się w pierwszy styczniowy poranek 1991 roku. Była czwarta rano. Susan wracała do domu z przyjęcia i była pijana. Po alkoholu stawała się spostrzegawcza i przygnębiona, więc teraz przyglądała się miastu z pędzącej taksówki z poczuciem osamotnienia. Padał śnieg. Było bardzo mało innych samochodów. Kierowca uznał ją za turystkę i wyliczał atrakcje znajdujące się przy Piątej Alei.

- Tam jest Tramp Tower - powiedział. - Tam katedra Świętego Patryka. Tam dwoje ludzi się pieprzy.

Susan drgnęła, mrugnęła, popatrzyła uważnie. Rzeczywiście, ‘na schodach katedry w śniegu dostrzegła parę nastolatków. Taksówkarz zwolnił, żeby dobrze im się przypatrzeć. Susan wolałaby powiedzieć, że nastolatki kochają się, ze zdrową żywiołowością świętując nadejście Nowego Roku, ale taksówkarz miał rację. Oni się pieprzyli. Dziewczyna wykrzywiła ‘twarz. Chłopak przytrzymał podciągniętą sukienkę i płaszcz na jej szyi, ale sam opuścił spodnie tylko do ud. Nagość, śnieg i ból - wszystko to było udziałem dziewczyny, i Susan miała już opuścić swoją szybę, żeby krzyknąć: „Gwałt!”, kiedy rzekoma

ofiara się uśmiechnęła. Ohydny uśmiech, pomyślała Susan: przyzwalający, opryskliwy, zachłanny, nie mówiąc już o tym, że świętokradczy.

Taksówkarz wzruszył ramionami.

- Jedziemy dalej - powiedział.

Susan nie mogła zasnąć, kiedy dotarła do domu. Ciągle myślała o tych nastolatkach. W czasach, gdy była młodsza i zuchwalsza, machnęłaby gniewny felieton o publicznej moralności, seksie, prywatności, przyzwoitości. Teraz miałaby z tym kłopot, bo poczuła nagle, że sama jest zupełnie nieprzyzwoita. Cały miniony wieczór był niezdrowy: nie tylko nastolatki, ale też przyjęcie, na które się wybrała. Zgromadziły się tam ważne osobistości: prezenterzy telewizyjni, modelki, aktorzy, kilku szanowanych dziennikarzy, a nawet domniemany płatny morderca, pan Bruce. Susan była zdegowana nie z powodu ginu i cygar, obecności zabójcy ani nawet entuzjazmu spółkującej dziewczyny. Niechęć budziło w niej to, że uczyniła te rzeczy treścią swojego życia, że podkreślała ich znaczenie w swoich felietonach. Miała już dobrze po sześćdziesiątce i nie wyszła za mąż, nie była w Disneylandzie ani nie nauczyła się śpiewać. Zamiast tego wzięła na muszkę barbarzyńskie zwyczaje rozpowszechnione na kuli ziemskiej: morderstwa, wymuszenia, nienawiść, zbrodnie przeciwko kobietom i Ziemi. Wpatrywała się długo w te straszliwe prawdy. Cały szkopał w tym, że - jak powiedział Nietzsche - kiedy patrzysz długo w otchłań, ona zagląda też w ciebie. W ten noworoczny poranek Susan March uświadomiła sobie coś przerażającego: tęskniła za nikczemnością. Jakieś włókno jej duszy pragnęło zabijać, tak jak pan Bruce, albo oczyszczać całe kraje napalmem, albo oddać się występnie mężczyźnie na schodach kościoła. Susan nie tylko pożałowała tych potworności; pożałowała ich tak mocno, że nigdy nie zbudowała psychicznych barykad pozwalających im się oprzeć. Nie miała męża ani dzieci, żadnego balsamu, który na co dzień przynosiłby jej ulgę. I w ten noworoczny poranek jej wyniosłość, duma z zachowywanej przez całe życie rozważnej niezależności gasła, choć z oporami: tak w każdym razie sądziła.

Zwymiotowała. Trzęsa się i płakała. Próbowwała sobie przypomnieć słowa pewnej irlandzkiej kołysanki. Wpatrywała się przez godzinę w lustro w swojej łazience, czując odrazę do zmarszczek na swojej twarzy - znaków tego, co wcześniej uważała za mądrość. W końcu położyła się na kanapie; pochlipywała, przytulając się do Bitera i Beatera, swoich dwóch kotów, aż wreszcie o dziewiątej rano zadzwonił telefon. Susan nie była zdolna rozmawiać, ale kiedy posłuchała głosu nagranych sekretarce, odetchnęła z ulgą.

Dzwoniła Rachel Wolf, aby jej przypomnieć, że jak co roku mają się spotkać na późnym śniadaniu w Duranigan's. Zachowywały ten rytuał od dwudziestu lat.

- Do zobaczenia o jedenastej - powiedziała pogodnym głosem Rachel.

Urządzenie wyłączyło się z lekkim trzaskiem.

Susan otarła łzy. Pozostała na kanapie i powoli dochodziła do siebie.

Późne śniadanie, pomyślała. Późne śniadanie, jaka cudowna nazwa.

To takie proste, stwierdziła nagle olśniona.

Późne śniadanie, powtórzyła w myślach Susan. Późne śniadanie, tradycja i rozmowa z przyjaciółką. Czy skacowana sześćdziesięcio-pięcioletnia kobieta nie mogłaby pisać o takich rzeczach, zamiast pomstować na źródła ludzkich nieszczęść?

Susan uściskała Bitera i Beatera i wzięła prysznic.

- Co robiłaś wczoraj wieczorem? - zapytała Rachel. Jadła jajka i ziemniaki z czosnkiem i pietruszką.

Susan wzięła grzanki z cynamonem.

- Przyjęcie. Na przedmieściach. Rachel uśmiechnęła się.

Ma ładną twarz, pomyślała Susan, Ciepłą i rumianą jak grzanka.

- Eleganckie towarzystwo? - zapytała Rachel. Susan skinęła głową.

- A ty co robiłaś, Raych?

Włosy Rachel były zupełnie siwe, ale wystarczająco długie, by wciąż mogła je zaczesywać do tyłu. Jak włosy młodej dziewczyny, pomyślała Susan.

- To, co zwykle - powiedziała Rachel. Susan pochyliła się do przodu.

- A co robisz zwykle? Rachel uśmiechnęła się.

- Och, no wiesz. Susan pokręciła głową.

<brak str 46-47>

ludzie muszą tylko wybrać prostą, przyzwoitą□

że obecnie odprawiają oni podobne obrządki ze swoimi ukochanymi. Najbardziej oburzony był Sherman Wolf.

- Co ty mi tu wciskasz? - Owinięty kołdrą Sherman przeszył Jacoba gniewnym wzrokiem.

- Tato - zaczął Jacob.

- Nie. - Sherman zacisnął kościstą pięść. - W Iraku jest szaleniec, a mój syn kąpie się ze swoją żoną. Czytałem o tym w gazecie.

- Nie kąpie się z Rachel - wyjaśnił Jacob. Zaczerwienił się jednak, a w środku wszystko się w nim gotowało z wściekłości. Kilka pielęgniarek uśmiechnęło się dziś do niego. Wiedziały. - To ona mnie kąpie - powiedział cicho.

- Zamknij się - nakazał Sherman.

- W porządku, tato.

Sherman zagrzebał się w kołdrze, kaszłąc słabo.

- Nigdy nie byłeś mężczyzną - zaskrzeczał.

Jacob zacisnął zęby. Pomyślał o piosence reklamowej, którą napisał kiedyś dla firmy produkującej kartki z życzeniami. Pomyślał o micie Pandory, o tym, jak Rachel zawsze pilnowała, żeby mydło nie szczypało go w oczy.

- Przepraszam, tato - powiedział...

Ten atak utkwiał Jacobowi w pamięci, dał początek paranoi. Dalej każdego wieczoru wchodził nagi do wanny i Rachel za każdym razem go myła. Śpiewała mu kawałki piosenek, które uwielbiał, i pieszczotliwie odgarniała mu włosy. Ale coś zniknęło. Jacob to czuł. Niektórzy mieszkańcy wyspy, nie tylko ci, którzy wysłali do niego listy, uważali teraz, że on i Rachel robią coś podniosłego. Jacob myślał o tym, że dziwne pary, których w ogóle nie znali, na pewno właśnie w tej chwili ich naśladują. Mężczyźni zanurzają się w gorącej wodzie, a kobiety, które ich kochają, myją ich. Gdyby takie kąpiele były bezmyślne, przypadkowe - po prostu mężczyzna i kobieta, mydło i woda - Jacob mógłby to wytrzymać. Ale wiedział, czego chce świat. Chce chwały. Chce, aby kąpanie męża przez żonę pozwalało rozprawić się z cudzołóstwem, zażegnać impotencję, nudę.

- Nie mogę tego znieść. - Jacob gwałtownie wstał i wyszedł z wanny.

- O co chodzi? - Rachel okryła męża płaszczem kąpielowym, próbując go uspokoić.

Jacob chodził tam i z powrotem. Nie mógł wyśłowić swoich uczuć.

- O ludzi - powiedział. - Nie mogę znieść ludzi. Rachel objęła, męża od tyłu, przerwała jego wędrówkę.

Kark Jacoba pokrywała szalona płatanina siwych włosów. Ukryła w nich twarz.

- Kocham cię - powiedziała.

Jacob nie miał zamiaru poddać się tak łatwo.

CZWARTA GNIEWNA MYSZ

Jeremy Jax chciał być zabawny, tak jak jego dziadek.

Dziadkiem Jeremy'ego był Robby Jax, sławny komik. Po siedemdziesiątce - co przypadkiem zbiegło się z latami siedemdziesiątymi dwudziestego wieku - Robby Jax wciąż jeszcze występował w Cherrywood's Lounge przy Czterdziestej Drugiej Ulicy i Jeremy chodził tam z rodzicami na przedstawienia. Miał dziesięć lat i kiedy siedział na kanapie w Cherrywood's, spodziewał się, że może ktoś przeczyta mu na głos fragmenty Kronik Narnii. Wzdłuż całej sali biegły regały z książkami. W ściany powbijane były ozdobne gwoździe, na których mężczyźni wieszali kapelusze. Dym unoszący się w powietrzu miał błękitny poblask i wydawało się, że pozostaje w sali bez przerwy, w dzień i w nocy, nawet kiedy nie palono fajek. W Cherrywood's kobiety piły kawę z amaretto, a mężczyźni ciemne piwo. Kiedy ktoś celnie trafił, bila na stole bilardowym miękko wpadała do jednej z sześciu skórzanych kieszeni.

W jednym z narożników, pomiędzy dwoma regałami, znajdowała się mała drewniana scena, a na niej stało wyściełane krzesło. Siedział tam Robby Jax i pił stuletnią szkocką whisky. Około ósmej w sobotni wieczór zajmował swoje miejsce, pił w milczeniu do dziewiątej, a potem zaczynał mówić. Jeśli nie byłeś nigdy przedtem w Cherrywoods, z początku nawet byś nie wiedział, że trwa występ. Docierałoby do ciebie stopniowo, że kobieta, której wzrok zamierzałeś przyciągnąć, nie zwraca na ciebie uwagi. Wpatrywała się w starszego pana w kącie, tego z krzaczastymi brwiami. Wszyscy utkwili spojrzenie w starszym panu i zaczęli się uśmiechać, a światła na sali przygasły.

- A więc - Robby Jax westchnął - powiedziałem Emmie Je-an Bryce z Yassar College" że przypomina mi selera. I Emma Jean Bryce z Yassar College popatrzyła na mnie zupełnie poważnie i powiedziała: „Robercie, nie wiem, co to znaczy. Wierz mi, nie wiem”. - Wypił łyk szkockiej. Rozejrzał się powoli po słuchaczach i poprawił kamizelkę na swoim grubym tułowiu. - A ja powiedziałem jej... powiedziałem... „Emmo Jean. Mężczyzna może robić wiele rzeczy z selerem. Ale jest jedna rzecz, której mężczyzna nie może robić z selerem. Nie może się z nim kochać, Emmo Jean”.

Publiczność zaśmiała się.

Komik pokręcił głową.

- Kobiety z Yassar College - stwierdził ze smutkiem - są dziewiczymi selerami.

Publiczność nie przestawała się śmiać.

- Jestem na pierwszym roku w Yassar i nie jestem dziewicą! - krzyknęła jakaś dziewczyna.

- Na razie jeszcze jesteś - powiedział Robby Jax. Publiczność szalała.

Jeremy nie rozumiał, jak to się dzieje. Jego dziadek nie zabawiał ludzi typowymi żartami. Opowiadał po prostu historyjki wzięte z życia, które brzmiały prawdziwie. Z tego, co

wiedział Jeremy, jego dziadek wymyślał je w trakcie mówienia. Ale w jakiś sposób szkocka, dym i tweedowy garnitur jego dziadka ożywiały ludzi, pobudzały ich do śmiechu.

- Jaka jest tajemnica? - zapytał Jeremy pewnego wieczoru, kiedy miał dwanaście lat.

Jego dziadek skończył właśnie prezentować zestaw anegdot w Cherrywoods. Pił szkocką przy barze i mówił coś szeptem do młodej kobiety w czarnej aksamitnej sukni. Kobieta odpowiadała z południowym akcentem.

- No więc? - rzucił Jeremy.

- Tajemnica czego?

- Jak rozśmieszasz ludzi? - chciał wiedzieć Jeremy.

Robby Jax nachmurzył się. Kochał wnuka, ale był wdowcem, a młode kobiety w aksamitach trafiały mu się rzadko.

- Jaka jest tajemnica? - nalegał Jeremy. Robby Jax nachylił się do wnuka.

- Rozluźnij się, chłopcze - szepnął.

- Jaka jest tajemnica? - nie dawał za wygraną Jeremy. Robby mrugnął do niego.

- Właśnie ci powiedziałem. Rozluźnij się. - Wstał i wskazał otwartą dłonią kobietę. - A teraz, Jeremy, chciałbym ci przedstawić jedną z najwspanialszych istot, jakie nasz Pan kiedykolwiek postawił na Ziemi. Nazywa się brunetka.

Młoda kobieta zachichotała.

- Cicho, Robby.

Rozluźnij się, pomyślał Jeremy. Rozluźnij się, rozluźnij się.

Myślał o tym przez całą szkołę średnią. Zaprzętało to jego myśli, kiedy pracował w ekipie technicznej przy przedstawieniach licealnego kółka teatralnego, które nazywało się Uśmiech i Mars. Jeremy starałby się o jakąś rolę, ale kiedy się denerwował, głos załamywał mu się i przechodził w falset. Sądził, że kiedy już skończy osiemnaście lat i oficjalnie stanie się mężczyzną, jego głos nabierze mocy. W dodatku będzie studiował, daleko od Manhattanu. Może uda mu się rozluźnić i zostać znakomitym aktorem komediowym.

Szansa pojawiła się na pierwszym roku w Hobart College, już w październiku. Jeremy w całym miasteczku studenckim widział ogłoszenia reklamujące doroczny występ studenckich talentów nazywany Rewią i postanowił zgłosić się na przesłuchanie. Były miejsca dla piosenkarzy, muzyków i artystów performance, ale najgorętsze pragnienia wiązały się ze stanowiskiem mistrza ceremonii. Jeremy zamierzał zadebiutować jako komik w tej właśnie roli.

Przesłuchania odbywały się w czwartkowy wieczór w Norze, pubie studenckim działającym na terenie kampusu. Nora była ciemna i zatłoczona. Zazwyczaj studenci przychodzili tutaj, żeby się napić i pośmiać. Tym razem jednak miała to być zachwycająca, zaczarowana jaskinia tętniąca sztuką.

- Nie skop sprawy - powiedział Patrick Rigg, współlokator Jeremy'ego, który przyszedł z nim, żeby wspierać go duchowo.

- Będzie dobrze - obiecał Jeremy.

Siedzieli w kącie sali. Jeremy miał na sobie czarny garnitur, harmonizujący z kolorem jego włosów. Uważał, że kiedy jest tak ubrany, jego zielone oczy wydają się zarazem pogodne i groźne, 54.

jakby był zabawnym, ale niebezpiecznym człowiekiem, kimś w rodzaju Lenny'ego Bruce'a. Jeremy nosił się z myślą wyzyskania tego ponurego rysu własnego charakteru, tej odrobiny tkwiącej w nim złośliwości jako znaku firmowego swojego stylu występów. Niemniej jednak z szacunku dla dziadka, bardziej tradycyjnego gawędziarza, Jeremy zamówił szkocką przy barze.

- Nie ma szkockiej - powiedział barman.

- Może jest Crown Royal? - zapytał Jeremy. Barman prychnął niecierpliwie. - Może piwo - zaproponował. - Jagermeister.

Jeremy otrzymał piwo w plastikowym kubku i wrócił na miejsce, żeby oglądać konkurs.

Szybkooci zongler pokazał na scenie parę sztuczek. Zaprezentowała się jakaś tancerka. Trzej chłopcy z bractwa w strojach braci Marx gadali jak nakręceni i zebrali oklaski. Żalosa piosenkarka o imieniu Freida zapomniała tekstu, popłakała się i uciekła.

- Jeremy Jax - zapowiedzieli jurorzy. - Stara się o rolę mistrza. Jeremy wszedł na scenę. Usadowił się na krześle w światłach rampy. Uśmiechał się ze znużeniem do publiczności, tak jak zawsze robił to jego dziadek, i popijał piwo. Przed nim, przy stoliku, siedziało trzyosobowe jury.

- Proszę coś powiedzieć - zachęcił go jeden z sędziów. Jeremy skinął głową. Rozumiał, czego od niego wymagają. Nie przygotował jednak żadnego materiału. Zakładał, że zrodzi się w jego umyśle doskonała, spontaniczna anegdota, ale tak się nie stało. Upłynęła minuta. Jeremy znowu pociągnął łyk.

Rozluźnij się, powiedział sobie.

Jeden z jurorów coś zapisał.

- Em - zająknął się Jeremy.

Serce podeszło mu do gardła. Zobaczył niezadowoloną minę Patricka. Ludzie wiercili się na swoich miejscach, szeptali. Jeremy wpatrywał się w kubek z piwem.

- Co takiego jest w piwie słodowym? - zaczęła. Łagodna jurorka uśmiechnęła się.

- Nie wiemy! - zawołała. - Co takiego jest w piwie słodowym?

<brak str 56-57>

torem sztuki, którą zdecydował się niedawno wystawić. Jeremy Jax siedział w swojej klitce obok gabinetu Michaela i podsłuchiwał.

- No, więc tak - powiedział Michael. - O myszach i myszach ma pewne niedociągnięcia.

Jeremy westchnął. Premierę nowego przedstawienia planowano za miesiąc. Odbiegało ono od propozycji, które tradycyjnie serwowano widzom w teatrze Lucas. W tej sztuce wszyscy aktorzy byli przebrani za olbrzymie myszy.

- Pierwszy akt jest w porządku - ciągnął Michael. - Chodzi o drugi. Co kieruje myszami w drugim akcie?

Jeremy znów westchnął. Od początku Lucas był własnością Hye'ów, słynnej rodziny z Manhattanu od pokoleń związanej z teatrem. Hye'owie zawsze pełnili funkcje dyrektorów teatrów i reżyserów przedstawień, a czasami nawet redagowali teksty sztuk. Lucas Hye, który otworzył ten teatr w 1890 roku, był niezwykle zamożny i mógł sobie pozwolić na apodyktyczność. Współczesnych Hye'ów zresztą też było na to stać.

- Świetnie. Chcę mieć poprawiony tekst na jutro - zakończył rozmowę Michael Hye i odłożył słuchawkę.

Jeremy westchnął po raz ostatni.

- Słyszałem to! - zawołał Michael. - O co ci chodzi?

- O nic - wymamrotał Jeremy.

Michael stanął w drzwiach. Był wysoki, tak jak Jeremy, ale tęższy i liczył sobie pięćdziesiąt lat. Miał baczki i cuchnący oddech.

- Posłuchajmy tego, Jax - powiedział. - Jeremy nie darzył go sympatią. Michael płacił mu jednak dobrze i wyznaczał przyzwoite godziny pracy, a kiedy Jeremy siadał na widowni podczas prób, szef często pytał go o idahie.

- Wydaje się tylko - zauważył Jeremy - że próbujesz zrobić z O myszami i myszami coś zabawnego, a to nie ma być zabawne.

- Pytanie - rzucił Michael. - Czy Jeremy Jax jest ekspertem od komizmu?

- Nie - odparł Jeremy.

- Pytanie - powiedział Michael. - Czy Nosorożec lonesco był zabawny?

- Cóż...-zaczął Jeremy.

- Nie - upierał się Michael. - Widziałem to w Londynie w siedemdziesiątym dziewiątym. Na scenie było tam dwadzieścia osób przebranych za nosorożce i nie usłyszałem ani jednego chichotu na sali. - Michael podparł się pod boki. - Myszy nie są zabawne. Myszy są straszne.

- Może i tak - przyznał Jeremy. - Nie mówmy o tym.

W college'u, po nieszczęsnym przesłuchaniu, Jeremy odwrócił się plecami od humoru. Znalazł schronienie w książkach Dostojewskiego i Czechowa. Czuł, że rosyjscy pisarze rozumieli melancholię. Bywali ironiczni, ale wierzyli w diabła i nie trzeba było lubić czarnych ubrań albo kawy, żeby ogarnąć ich mrok. Jeremy uznał, że rosyjska dusza jest mu bliska, i został wyznawcą ciemności, którą odkrył w sobie tego wieczoru sprzed wielu lat, jego jedyne wieczoru z Freidą.

Jeremy i Freidą nie związali się ze sobą. Zetknęli się raz jako przegrani i pieprzyli się jako przegrani, a potem unikali się nawzajem. Jeremy zapamiętał dziewczynę jako

zaniedbaną, tragiczną postać, skazaną na zgubę jak Karamazow albo Faust. Myślał o niej czasami po pracy, kiedy szedł Broadwayem do Cherrywood's Lounge, matecznika jego nieżyjącego już dziadka.

Jeremy siadał w Cherrywood's przy barze i pił Cutty Sark, krytycznie wpatrując się w monologujących komików, którzy próbowali zająć na scenie miejsce Robby'ego Jaxa. Byli to mężczyźni w wieku około trzydziestu pięciu lat, z rzednącymi włosami, w porządnym garniturach. Wywracali oczami i narzekali na kobiety.

- Komicy nie są mężczyznami - zwrócił się Jeremy do swojego dawnego współlokatora Patricka Rigga.

Patrick był teraz na Wall Street. Mieszkał w katnienicy Preemp-tion, słynął ze swojej zgrabnej sylwetki i nosił pistolet.

- Rosjanie to mężczyźni - stwierdził Jeremy. Patrick wzruszył ramionami.

- Popatrz na tego faceta. - Jeremy wskazał ruchem głowy scenę, na której komik gaworzył jak niemowlę do mikrofonu.

- Opowiada kawałek o randkach - wyjaśnił Patrick.

torem sztuki, którą zdecydował się niedawno wystawić. Jeremy Jax siedział w swojej klitce obok gabinetu Michaela i podsłuchiwał.

- No, więc tak - powiedział Michael. - O myszach i myszach ma pewne niedociągnięcia.

Jeremy westchnął. Premierę nowego przedstawienia planowano za miesiąc. Odbiegało ono od propozycji, które tradycyjnie serwowano widzom w teatrze Lucas. W tej sztuce wszyscy aktorzy byli przebrani za olbrzymie myszy.

- Pierwszy akt jest w porządku - ciągnął Michael. - Chodzi o drugi. Co kieruje myszami w drugim akcie?

Jeremy znów westchnął. Od początku Lucas był własnością Hye'ów, słynnej rodziny z Manhattanu od pokoleń związanej z teatrem. Hye'owie zawsze pełnili funkcje dyrektorów teatrów i reżyserów przedstawień, a czasami nawet redagowali teksty sztuk. Lucas Hye, który otworzył ten teatr w 1890 roku, był niezwykle zamożny i mógł sobie pozwolić na apodyktyczność. Współczesnych Hye'ów zresztą też było na to stać.

- Świetnie. Chcę mieć poprawiony tekst na jutro - zakończył rozmowę Michael Hye i odłożył słuchawkę.

Jeremy westchnął po raz ostatni.

- Słyszałem to! - zawołał Michael. - O co ci chodzi?

- O nic - wymamrotał Jeremy.

Michael stanął w drzwiach. Był wysoki, tak jak Jeremy, ale tęższy i liczył sobie pięćdziesiąt lat. Miał baczki i cuchnący oddech.

- Posłuchajmy tego, Jax - powiedział.

Jeremy nie darzył go sympatią. Michael płacił mu jednak dobrze i wyznaczał przyzwoite godziny pracy, a kiedy Jeremy siadał na widowni podczas prób, szef często pytał go o zdanie.

- Wydaje się tylko - zauważył Jeremy - że próbujesz zrobić z O myszach i myszach coś zabawnego, a to nie ma być zabawne.

- Pytanie - rzucił Michael. - Czy Jeremy Jax jest ekspertem od komizmu?

- Nie - odparł Jeremy.

- Pytanie - powiedział Michael. - Czy Nosorożec lonesco był zabawny?

_ Cóż...-zaczął Jeremy.

- Nie - upierał się Michael. - Widziałem to w Londynie w sie-Jerndziesiątym dziewiątym. Na scenie było tam dwadzieścia osób przebranych za nosorożce i nie usłyszałem ani jednego chichotu na sali. - Michael podparł się pod boki. - Myszy nie są zabawne. Myszy są straszne.

- Może i tak - przyznał Jeremy. - Nie mówmy o tym.

W college'u, po nieszczęsnym przesłuchaniu, Jeremy odwrócił się plecami od humoru. Znalazł schronienie w książkach Dostojewskiego i Czechowa. Czuł, że rosyjscy pisarze rozumieli melancholię. Bywali ironiczni, ale wierzyli w diabła i nie trzeba było lubić czarnych ubrań albo kawy, żeby ogarnąć ich mrok. Jeremy uznał, że rosyjska dusza jest mu bliska, i został wyznawcą ciemności, którą odkrył w sobie tego wieczoru sprzed wielu lat, jego jedyne go wieczoru z Freidą.

Jeremy i Freidą nie związali się ze sobą. Zetknęli się raz jako przegrani i pieprzyli się jako przegrani, a potem unikali się nawzajem. Jeremy zapamiętał dziewczynę jako zaniedbaną, tragiczną postać, skazaną na zgubę jak Karamazow albo Faust. Myślał o niej czasami po pracy, kiedy szedł Broadwayem do Cherrywoods Lounge, matecznika jego nieżyjącego już dziadka.

Jeremy siadał w Cherrywood's przy barze i pił Cutty Sark, krytycznie wpatrując się w monologujących komików, którzy próbowali zająć na scenie miejsce Robby'ego Jaxa. Byli to mężczyźni w wieku około trzydziestu pięciu lat, z rzednącymi włosami, w porządnym garniturach. Wywracali oczami i narzekali na kobiety.

- Komicy nie są mężczyznami - zwrócił się Jeremy do swojego dawnego współlokatora Patricka Rigga.

Patrick był teraz na Wall Street. Mieszkał w kamienicy Preemp-tion, słynął ze swojej zgrabnej sylwetki i nosił pistolet.

- Rosjanie to mężczyźni - stwierdził Jeremy. Patrick wzruszył ramionami.

- Popatrz na tego faceta. - Jeremy wskazał ruchem głowy scenę, na której komik gaworzył jak niemowlę do mikrofonu.

- Opowiada kawałek o randkach - wyjaśnił Patrick.

Jeremy ssał lód i szkocką, aż od zimna rozboleły go zęby.

- Wyśmiewa idylliczny romans - dodał Patrick. Rosjanie, pomyślał Jeremy, nie opowiadają kawałów.

W całkiem zwyczajną środę Jeremy Jax został Czwartą Gniewną Myszą. Stało się to tak szybko, że gdyby Jeremy zdążył się poradzić swej wewnętrznej ciemności, prawdopodobnie nie przyjąłby tej roli. Ale był ocieężały po lunchu, kiedy Michael Hye wpadł do biura.

- Zadzwoń po karetkę - wysapał Michael. - Czwarta Gniewna Mysz upadła i straciła przytomność.

- Co się stało? - zapytał Jeremy. Michael pokręcił głową.

- Zwymyślał Pierwszą Łagodną Mysza i się przewrócił. Hiper-wentylacja czy coś takiego.

W O myszach i myszach było osiem postaci, cztery Łagodne Myszy i cztery Gniewne Myszy. Cała ósemka aktorów nosiła mysie stroje identycznej wielkości, ale poszczególne myszy można było poznać po kolorze spodni i sposobie, w jaki się poruszały. Na przykład Druga Łagodna Mysz miała słabość do stepowania. Trzecia Gniewna Mysz jeździła na innych myszach na barana.

Okazało się, że, sytuacja jest poważna. U Czwartej Gniewnej Myszy, nałogowej palaczki, wystąpiła niedodma płuc.

- Jeremy. - Michael wciągnął go do biura.

- Była czwarta, wciąż w środę. Baretka już odjechała.

- Jeremy - zaczął Michael. Mówił cicho, z powagą. - Lucas cię potrzebuje.

- Co masz na myśli? - zapytał Jeremy. Szef chwycił go za ramię.

- Musisz być Czwartą Gniewną Myszą.

- Akurat, do cholery.

- Nie mamy dublera. Premiera w piątek - przypomniał Michael z poważnym wyrazem twarzy.

- Zadzwoń do związku - doradził Jeremy. Michael zmarszczył brwi.

- Kiedy to możliwe, Lucas obywatel się bez pomocy z zewnątrz,.

- Kiedy to możliwe, nie gram gryzoni.

- Nie żartuj sobie, Jeremy. - Michael postukał w klawisze kalkulatora. - Dam ci sto pięćdziesiąt dolarów za wieczór, dopóki nie uda nam się przygotować zawodowca, jeśli to będzie konieczne. To właściwie rola bez słów, sztuka będzie szła tylko przez dwa miesiące, a ty znasz przedstawienie na wylot. W dodatku...

- Co w dodatku?

- W dodatku mam wrażenie, że rozumiesz wrażliwość Czwartej Gniewnej.

- Ona nie ma wrażliwości, Michael. To pieprzona mysz. Dyrektor pstryknął palcami.

- O! O! O! Proszę bardzo! Sposób, w jaki właśnie się do mnie odezwałeś. To ton Czwartej Gniewnej. Jej światopogląd.

- Zapomnij o tym.

- Trzysta za wieczór.

- Zgoda.

Próby zaczęły się dwadzieścia minut później. Jeremy ubrał się w strój olbrzymiej myszy i wszedł na scenę. Pozostali aktorzy zebrali się wokół niego.

- Co to za facet? - pytali.

- To ja - powiedział Jeremy. Czuł swój ciepły oddech wewnątrz mysiej głowy, przymocowanej do głównej części kostiumu za pomocą zawiasów. Na szczęście mógł patrzeć przez kratkę w mysich ustach. - Jestem Jeremy Jax.

Trzecia Łagodna Mysz oparła łapy na biodrach.

- Michael. To absurd.

- Taak - przyznała Pierwsza Gniewna Mysz. - Jesteśmy zawodowcami. Nie możesz tak po prostu wstawić jakiegoś przypadkowego pracownika do...

- Dzieciak zna rolę - tłumaczył Michael Hye. - Poza tym Czwarta Gniewna mówi tylko jedną linijkę.

Czwarta Łagodna Mysz poklepała Jeremy ego po ramieniu.

- Dajmy mu szansę.

- Skąd pochodzi? - zapytała Trzecia Gniewna Mysz.

- To wnuk Robbyego Jaxa - poinformował Michael.

nie zdecyduje, czy nie przynosi mu ona wstydu. Gdyby był czło-, wiekiem religijnym, mógłby się zwrócić bezpośrednio do ducha swojego nieżyjącego dziadka, aby uzyskać jakieś zapewnienie, że jest rzeczywiście zabawny. Zamiast tego stał w holu Preemption, wpatrując się w cztery portrety, które wisiały na ścianie nad biurkiem Sendera. Przedstawiały one Rooków - Eliasa, Hattera, Josepha i Jo-hanna - którzy byli kolejno właścicielami Preemption od czasu, gdy Elias Rook zbudował tę kamienicę w 1890 roku. Czterej mężczyźni pochodzili z niemieckiego rodu nie ceniącego uśmiechu. Jeremy szanował wspólne im poważne oblicze oraz to, że wszyscy wyglądali jak szczuplejsze wersje jego dziadka Robby'ego. Każdy z Rooków miał na sobie ciemny garnitur albo smoking, pod imieniem i nazwiskiem każdego - z wyjątkiem Johanna - wygrawerowana była data jego narodzin i śmierci.

Jeremy'ego szczególnie interesował portret Johanna Rooka, obecnego właściciela Preemption. Mężczyzna ten słynął z tajemniczości i oszałamiającego bogactwa. Z portretu spoglądała surowa twarz okolona gęstwiną rozwichrzonych mlecznobiałych włosów. Krążyły plotki, że Johann Rook podróżuje po świecie pod różnymi przybranymi nazwiskami, raz pracując jako lekarz w Paryżu, innym razem kopiąc diamenty w Johannesburgu, a czasami pomaga rozwiązać życiowe problemy swoim lokatorom z Preemption. Jeremy jednak przyglądał się portretowi Johanna tak badawczo tylko dlatego, że spośród czterech Rooków ten mężczyzna, najbardziej przypominał Robby'ego Jaxa, duszę, której aprobaty Jeremy pragnął najgoręcej. Czy jestem zabawny? - myślał Jeremy, wpatrując się w portret, kiedy hol był pusty. Czy w istocie jestem zabawny?

Oczywiście nie otrzymał żadnej odpowiedzi od Johanna Rooka. Rozczarowany upił się więc w Cherrywood's z Patrickiem Riggim.

- Już nie jesteś do niczego - powiedział Patrick. - Czemu nie chcesz ujawnić swojego nazwiska?

- Bo... - syknął Jeremy - bo jestem pieprzoną myszą.

Jego towarzysz wzruszył ramionami. Poza Michaeliem Hyeem i członkami obsady - których dyrektor zobowiązał w umowach do dyskrecji - tylko on wiedział o drugim „ja” Jeremy ego.

- Może jesteś myszą - stwierdził Patrick - ale zdecydowanie jesteś teraz najpopularniejszym mężczyzną. Wszyscy cię kochają.

Jeremy nachmurzył się. Gdybym był mężczyzną, pomyślał, piłbym teraz wódkę na Syberii. Mieszkałbym w tundrze, z umiejętną żoną.

Aby pocieszyć kumpla, Patrick zaciągnął Jeremy’ego do Mino-taura, podziemnego nocnego klubu w dzielnicy rzeźni. Minotaur był labiryntem korytarzy i ciemnych kątów. Niektóre z drzwi rozmieszczonych wzdłuż korytarzy prowadziły do pokojów rozkoszy, inne donikąd. Jeśli rozdzieliłeś się z kimś w Minotaurze, mogłeś tego człowieka nie zobaczyć do rana albo już nigdy więcej. Chodziło jednak o to, żeby poszperać w jak najliczniejszych zakamarkach, a potem pójść labiryntem do jego centrum, rozległej polany nazywanej Forum. W sali tej było kilka barów, wysoki sufit, parkiet taneczny i scena, na której powtarzały się rozrywki: house w poniedziałki, blues we wtorki, swing w czwartki, ska w piątki. Patrick przyprowadził Jeremy ego do Forum w środę. Środa była „wieczorem, kiedy wszystko może się zdarzyć”.

Jeremy znów jęknął.

- Dlaczego tu jestem?

Patrick zachichotał cienko, niesamowicie. Wskazał na scenę.

- Patrz - powiedział.

Jeremy spojrzał. Jakiś facet o imieniu Harold czytał teksty erotyczne, a dziewczyna o imieniu Tsunami tańczyła.

- Są do niczego - uznał Jeremy.

- Patrz - upierał się Patrick.

- Panie i panowie - powiedział mistrz ceremonii - proszę, przywitajcie znów w Minotaurze zespół Motłoch.

Rozległy się radosne okrzyki. Światła przygasły. Na scenie pojawiły się trzy młode kobiety, perkusistka i dwie gitarzystki. Jedna z nich, liderka, miała długie czarne włosy zaczesane na jedno oko, tak że czarny sierp zakrywał większą część jej twarzy. Parę sekund później zespół dawał już ostro. Grał prostą, pulsującą muzykę, ale Jeremy przysłuchiwał się uważnie tylko wokalistce, dziewczynie z gitarą prowadzącą. Jej twarz była schowana za sierpem; głos miała okropny, ale frapujący, jak głos Lou Reeda. Mówiła teksty zwyczajnie, jednostajnie, potem jej słowa stawały się głośniejsze, aż w końcu opadały i łamały serce. Jeremy czuł, że włosy jeżą mu się na karku. Obrócił się w stronę Patricka.

- Ona jest... Ona jest... - Chciał powiedzieć, że jest straszna. Chciał, żeby to był komplement.

- To Freida - stwierdził Patrick. - Freida z Hobartu. Jeremy aż otworzył usta. Patrick miał rację.

- Jest świetna - wyszeptał.

- Wiem. Widziałem ją tutaj w zeszłym miesiącu.

- Dlaczego mi nie powiedziałeś?

Patrick uśmiechnął się chytrze i beztrzesko. Wiedział o Manhattanie rzeczy, które tylko martwi powinni wiedzieć.

Jeremy znalazł Freidę po występie. Pamiętała go, podała mu rękę. Opuścili Forum, kupili parę drinków, przeszli przez następne drzwi i usiedli na kanapie.

- Nie mogę uwierzyć, że to ty - zaczął Jeremy. - Byłaś wspaniała na scenie.

Freida odgarnęła do tyłu swój sierp.

- Włosy ci posiwiały - powiedziała.

- Co teraz porabiasz? - zapytał Jeremy. Freida stuknęła w swoją gitarę.

- To właśnie robię, głuptasie, śpiewam.

- Żyjesz z tego?

- No cóż, jestem sprzedawczynią w Saks. Ale czy to ważne? Jeremy wpatrywał się w nią. Chciał jej powiedzieć, jak smukło wyglądają jej uda pod minispódniczką, jak to wspaniale, że czerpie korzyści ze swojego okropnego głosu.

- A ty, czym się zajmujesz? - spytała Freida. Jeremy wypił trochę ballantine'a.

- Jestem asystentem dyrektora... Cóż, pracuję w teatrze Lucas. Freida skinęła głową.

- Klub Myszkieterów.

- Ha - powiedział Jeremy.

Spojrzał jeszcze raz na uda Freidy, które, jeśli dobrze pamiętał, w górnej części, wokół bioder usiane były malutkimi piegami. Przypomniał sobie dziadka, który uwielbiał szeptać coś do ucha ślicznym dziewczętom. Jeremy rozejrzał się. Siedzieli w ciemnym, pustym pokoju.

- Freida - wyszeptał, kładąc dłoń na jej udzie. Freida natychmiast ją ściągnęła.

- Nie - powiedziała. Wygladziła spódniczkę i popatrzyła na niego z chłodną powagą.

Jeremy był zdziwiony. Słyszał, że wszystko jest dozwolone w pokojach na zapleczu Minotaura, a raz już wziął tę dziewczynę dosyć agresywnie. Znow sięgnął do ud Freidy. Z łatwością odepchnęła jego rękę. Wydała cichy dźwięk, który mógł być śmiechem, po czym wstała.

- Co jest nie tak? - dopytywał się Jeremy. Freida pokręciła głową.

- Nic nie jest nie tak, głuptasie. - Zabrała gitarę i wyszła.

Im więcej Jeremy myślał o Freidzie, tym bardziej się wściekał.

- Nazwała mnie głuptasem - mruknął. - Dwa razy tak mnie nazwała.

- Co tam mamrociesz? - zapytała Pierwsza Gniewna Mysz. Myszy były za kulisami, w garderobie. Przeciągały się i nakładały prosto swoje głowy. Kurtyna szła w górę za pięć minut; krążyły pogłoski, że w ten sobotni wieczór na widowni zasiada burmistrz Phillipone.

- Nic - rzucił sucho Jeremy.

- Hej, Jax - powiedział Benny Demarco - nie depcz mojego ogona w czasie maślanego tańca.

- Nie będę.

- Ale zrobiłeś to dziś po południu.

- Pieprzenie - warknął Jeremy. Michael Hye wsunął głowę w drzwi.

‘ - Zaczynamy - powiedział.

Jeremy westchnął ciężko.

- O co chodzi? - zapytał Michael.

- Czwarta Gniewna jest wkurzona - wyjaśnił Benny. Jeremy-pokazał Benny’emu środkowy palec.

- No, dobrze już - mitygował się Michael. - Rozluźnijcie się. Mamy tam burmistrza. Zaczynamy.

Myszy wybiegły z poczekalni.

Jeremy zajął miejsce za olbrzymią kratą z serem.

Kurtyna podniosła się. Widownia przywitała aktorów oklaskami. Myszy zaczęły swoją opowieść, stąpały dumnie po scenie i narzekały. Jeremy pozostawał ukryty w ciemnościach. Pokazywał się w pierwszym akcie dopiero po dwudziestu minutach. Zazwyczaj, kiedy tak stał i czekał, zerkał przez kratę z serem i omiatał wzrokiem widownię w poszukiwaniu sławnych ludzi. Tego wieczoru szukał burmistrza. Zamiast niego w dziesiątym rzędzie dostrzegł młodą kobietę z sierpem włosów na twarzy.

- Freida - szepnął Jeremy.

Miała na sobie szkarłatną suknię i rękawiczki, które okrywały częściowo jej przedramiona. Obok Freidy siedział przystojny mężczyzna w smokingu. Jedną ręką ścisnął jej nadgarstek, koniuszkami palców drugiej głąskał od niechcenia, zaborczo jej biceps.

Jeremy nachmurzył się. Rozluźnij się, mówił sobie. Rozluźnij się, rozluźnij się.

Ale nie mógł się rozluźnić. Freida nie tylko nazwała go głuptasem, ale także śmiała się z niego, śmiała się z bezgranicznego, seksualnego, rosyjskiego mroku w jego wnętrzu. A teraz siedziała sobie tutaj, ta wokalistka Motłochu, kryjąc swój straszny głos za szkarłatną sukienką i sierpem włosów. Freida najwyraźniej była gwiazdą, inteligentną manhattańską estetką, która wyszła wieczorem na miasto ze swoim kochankiem. Na ten widok Jeremy dostał szału.

Wpadł na środek sceny, całe dwie minuty przed wyznaczonym momentem. Siedem pozostałych myszy wpatrywało się w niego ze zdumieniem.

Michael Hye stał na drugim końcu sali.

- O, nie - szepnął.

Jeremy'ego ogarnęła panika. Zapiszczał głośno dwa razy, co było sygnałem do rozpoczęcia maślanego tańca, chociaż nie był on nawet częścią pierwszego aktu. Zapanował chaos. Połowa myszy posłuchała Jeremy'ego i zaimprovizowała taniec, a w tym czasie inne myszy wyrzucały w górę łapy na znak protestu. Widownia się śmiała.

Benny Demarco, grający Pierwszą Łagodną Mysz, nachylił się do Jeremyego.

- Wszystko psujesz - syknął.

Wściekły Benny kopnął Jeremy'ego w tyłek. W odpowiedzi Czwarta Gniewna Mysz wepchnęła Pierwszą Łagodną Mysz do maślnicy.

Widownia szalała. Autor sztuki, stojący obok Michaela Hye'a, wrzał ze złości i kłął.

Pierwsza Łagodna Mysz zaczęła gonić Czwartą Gniewną Mysz. Pościg toczył się na całej scenie. Przebiegli między maślanymi tancerzami, przeskoczyli kratę z serem, aż wreszcie znaleźli się na niskiej części dachu i Jeremy strącił stamtąd Bennyego. Demarco spadł na dwie inne myszy, przewracając je na podłogę.

Tłum zrywał boki, nawet ci, którzy byli na przedstawieniu wcześniej i wiedzieli, że coś jest nie tak.

Jeremy stał zasapany w swoim mysim stroju, a jego twarz - jego prawdziwa twarz - poczerwieniała jak burak.

Rozluźnij się, nakazał sobie. Rozluźnij się.

Ale gdy to pomyślał, dojrzał twarz Freidy w tłumie. Jej szeroko otwarte usta trzęsły się od śmiechu. Wydawało się, że jej zęby jedzą żarłocznie powietrze, kiedy rechotała. Usta jej kochanka także były rozedrgane.

Jeremy zamknął oczy, mocno, z nienawiścią myśląc o tym, że jest... zabawnym człowiekiem. Był zabawny w jakiś okropny, nerwowy sposób, który jego rozwścieczał, a innych zachwycał. Ci inni, widzowie, byli niezwykle uradowani. Śmiali się, wskazując na niego. Nie mógł tego znieść. Pobiegnął na szczyt dachu.

- Przybyłem - syknął Jeremy.

Położył dłonie na swojej mysiej głowie, próbował ją odkręcić. Tarmosił mysią twarz, tłukł uszy, szarpał głowę.

- Co on robi? - piszczały na dole inne myszy. Dyrektor teatru i autor sztuki wstrzymali oddech. - O Boże - szepnął Michael.

Widzowie uciszyli się. Czwarta Gniewna Mysz wpijała palce w swoje policzki, najwyraźniej próbując oderwać własną czaszkę. Pozostałe myszy popędziły na dach.

- Nie rób tego - błagała Trzecia Łagodna.

- Poczekaj - szczeknęła Trzecia Gniewna.

- Przybyłem - ostrzegł Jeremy. Uderzał się uparcie po szyi, poluźniając zawiasy.

Pierwsza Łagodna Mysz była tylko kilka stóp od niego.

- Rola - syknął Benny. - Odtwarzaj rolę.

- Przybyłem! - krzyknęła Czwarta Gniewna Mysz, odpinając ostatni zawias na swojej szyi.

Nie, modlił się Michael Hye, ale było już za późno. Jeremy Jax pozbawił się głowy, szokując: widzów, i ukazał się w całej swej słabości.

OPALE

James Branch odkrył opale na Manhattanie, w podziemiach. Natknął się na nie w sposób magiczny, być może za sprawą przeznaczenia. Oto jak do tego doszło:

James był samotnym i nieśmiałym dwudziestopięcioletkiem, miał senne niebieskie oczy i równe zęby. Pracował jako księgowy na Wall Street i mieszkał w kamienicy Preemption. Co wieczór po pracy, zanim wrócił metrem na północ, James brał taksówkę i odwiedzał Fiat Michael's, restaurację w East Yillage, gdzie jadł potrawy o nazwie Bizon albo Bekas, albo specjalność szefa kuchni, dziwną mieszankę znaną po prostu jako Prowiant.

Pora obiadu była jedyną zajmującą częścią dnia Jamesa. Od ósmej do szóstej przetwarzał w umyśle i dodawał liczby, a potem porzucał abstrakcję i folgował zmysłom. Nie był rozmowny, nie pił, nie chodził do klubów, nie uprawiał sportów, jego przyjemności więc obejmowały prawie wyłącznie posiłki, i James uwielbiał nieprzewidywalne propozycje z Fiat Michaels. W ciągu ostatniego roku delektował się tam Oposem, Doradą, Grzankami z Serem, Karczkiem i Grzechotni-kiem. Rozkoszował się tymi nazwami potraw prawie tak jak samymi daniami. James był bowiem miłośnikiem zwyczajnych szczegółów, wielbicielem płotów z kutego żelaza, i haiku. Czuł, że potrawy podawane w Fiat Michael's mają - w swoich składnikach i w swoich nazwach - żywiołową romantyczność Starego Świata, jakby jakiś średniowieczny błędny rycerz pojechał na polowanie i złożył łupy na jego stoliku. James walczył też z jękaniem i w przerwie między zamówieniem posiłku a jego otrzymaniem ćwiczył swoje umiejętności.

- Langostino. Langostino. - Każdego wieczoru James szeptał nazwę wyczekiwanego dania głównego, jakby to było zaklęcie albo imię kobiety, która, jak miał nadzieję, może się do niego przysiąść.

- Suvlaki - szeptał James. - Kałamarhica.

Ten spokojny zwyczaj dawał Jamesowi wiele zadowolenia i przynosił mu pociechę. Zaprowadzał ład w jego życiu, nadawał ton codzienności i zapewniał mu miejsce pośród stałych bywalców Fiat Michael's. Restauracja żywiła ekscentryków i samotnych, co wieczór więc krzesła zapelniały się szybko i James starał się zawsze zjawić tam przed szóstą. W pewien październikowy wieczór pracował do późna i dotarł do restauracji po siódmej.

- Czekać, godzinę, więc przykro - powiedział przy drzwiach Juan, ulubiony kelner Jamesa. - Mały czyściec - zaśmiał się cicho Juan. Był pobożnym cudzoziemcem. Umiał wymawiać słowo „czyściec”.

- Nawet dla stałego klienta? - zapytał szeptem James. Juan westchnął ze smutkiem.

- Godzinę czyściec, panie James. Więc przykro.

James miał swoje rytuały i nie interesowały go inne jadłodajnie, postanowił więc dla zabicia czasu pospacerować przez godzinę. Na jednym rogu ulic słuchał włączki, którego znał z metra, chudego, czarnookiego ulicznego pieśniarza i gitarzysty o pseudonimie Mo-

rality John. Poszedł dalej, zaglądał w szklane okna, przypatrywał się z uwagą fretkom w Tandy s Pets, wyrobom cukiernicznym w Let Them Eat Cake, skórzanym bokserkom w Barby s Bondage. James nigdy nie wstępował do tego ostatniego sklepu, ale teraz przystanął przed otwartymi drzwiami i rumieniąc się, oglądał staniki z metalowych kółek wystawione w środku na wieszaku. James domyślał się, że takie sklepy być może często odwiedza jego współlokator Patrick Rigg.

- Coś podać?

James obrócił się gwałtownie. Obok niego, paląc papierosa, stała rudowłosa kobieta w skąnym srebrnym bikini z chromowanej stali i czarnych bojówkach. Miała gęsią skórę na nagich ramionach i udach, a na jej wyszczerzonych w uśmiechu przednich zębach naklejone były złote litery B-A-R-B-Y.

- Em... ja-wybełkotał James.

- Zrobiłam sobie przerwę na papierosa. - Barby upuściła niedopałek, zgmiotła go obcasem.

- Cóż, jasne - odparł James.

Barby zatańczyła figlarnie w jego kierunku, kołysząc biodrami, aż James zachwiał się i wycofał do sklepu. Barby też wkroczyła do środka. Szarpnięciem zamknęła za sobą drzwi.

- Zimno na dworze.

- Em... - odezwał się James.

Barby zagradała mu drogę do drzwi. Wykręciła piruet, klepnęła się po chromowanych majtkach.

- Dostyc chłodno, co? Mamy wyprzedaż. Hasło jest takie: „Szczyt przedświątecznych zakupów”.

Policzki Jamesa zapłonęły.

- Ja... tak naprawdę nie miałem zamiaru niczego kupować.

- Ceny kulek i łańcuchów są obniżone - wyjaśniła Barby. - Klamerek do sutków też.

James rozglądał się nerwowo. Ściany były pokryte maskami, kneblami i groźnie wyglądającymi biczami.

- Potrzebuję tylko toalety - skłamał.

- Pewnie. Jeśli coś kupisz. - Barby ziewnęła i pokazała coś ręką. - Widzisz tę półkę z napisem: „Jebawki do otworów”?

Z ust Jamesa wyrwał się pisk.

- Wszystko w porządku? - zapytała Barby.

- Tylko... połknąłem gumę.

- W każdym razie dalej jest klatka schodowa. Toaleta jest piętro niżej.

James popędził do schodów, pospiesznie zszedł pod ziemię. U podstawy stopni złapał oddech, otarł pot ze skroni.

- Jezu Chryste - wyszeptał. Stłumił odruchową chęć wyśmiania samego siebie, swojego pruderyjnego skrepowania. Spojrzał dokoła i ze zdziwieniem stwierdził, że znajduje się w

dość długim, wilgotnym betonowym korytarzu, od którego odchodziło kilkoro drzwi. Były różowe i na każdym wymalowano starannie czarną farbą słowo albo dłuższy napis: na jednych BARBY, na drugich DO SPANIA, na trzecich KLO, na czwartych NIE WCHODZIĆ. Na końcu korytarza, naprzeciw Jamesa, znajdowały się zamknięte czarne drzwi pożarowe zamocowane na szynie. Nagryzmołono na nich ociekającymi zaschłą farbą różowymi literami słowa JOHN CASTLE NOMADA.

James rzucił okiem za siebie, na szczyt schodów. Barby nie pokazywała się w zasięgu wzroku, nie było też w pobliżu innych klientów. James nie był na ogół żadnym przygód facetem - o tej porze zwykle popijał herbatę z żeń-szenia i płacił rachunek w Fiat Michaels - ale coś kazało mu teraz podejść na czubkach palców do każdego drzwi i przyłożyć do nich ucho. Nie usłyszał niczego. Wydawało mu się tylko, że za ostatnimi, drzwiami pożarowymi, coś szczęka, że stykają się ze sobą metale, jakby wykuwano miecze. Poza tym im bliżej stał tych drzwi, tym wyraźniej wyczuwał ciepło - może rzeczywistego pożaru - bijące po drugiej stronie.

James cofnął się o krok. Drzwi ze stali i żelaza, były prymitywne, grube i stare. Przywodziły Jamesowi na myśl archaiczną, ale działającą windę firmy Otis w Preemption. Sądziłby, że tych podwoi nie otwierano od dziesięcioleci, gdyby różowe litery na ich powierzchni nie wyglądały na świeżo namalowane.

- John Castle Nomada - przeczytał James. - John Castle Nomada.

Wpatrywał się w te słowa, szepcząc je w kółko. Nie mógł odgadnąć ich znaczenia, ale rytm ich zgłosek w jego ustach oraz świst i brzęk towarzyszące niewiadomego rodzaju obróbce metalu, która trwała za drzwiami, zadziały jak magnes. James złapał haczykowany uchwyt na drzwiach i napał na niego całym ciężarem. Drzwi z łatwością przesunęły się po szynie na bok.

To, L.O za nimi zobaczył, wyglądało w połowie na kuźnię, a w połowie na piwnicę z dojrzewającymi trunkami. Było to duże pomieszczenie, w większej części pozostające w cieniu, z rozżarzoną pomarańczowym piecykiem kowalskim i małym piecem przy przeciwległej ścianie. Obok piecyka stał wysoki regał, dwa taborety i drewniany stół. Podłoga była betonowa. Długą na trzydzieści jardów przestrzeń między Jamesem a piecykiem całkowicie zastawiono podniszczonymi kuframi do przenoszenia towarów. Pośród nich, od wyjścia awaryjnego do piecyka wiodła ścieżka, jak przejście między ławkami w kościele prowadzące do ołtarza. Gdy tylko James otworzył drzwi, z pieca uniosła się wonna para, ogień w piecyku zaczął migotać nisko jak płomień wielkiej, spokojnej świecy, a szcęknięcie ustało.

- Halo? - zawołał.

Gdy jego oczy przyzwyczyły się do półmroku, przystanął pośród sfatygowanych kufrów. Były otwarte i obrócone przodem w stronę przejścia jak gabloty wystawowe. W nich, na poduszećkach z czarnego aksamitu, leżała najbardziej zdumiewająca, największa kolekcja

klejnotów, jaką James kiedykolwiek widział. Były tam diamenty o rozmiarach pięści, calowej grubości szmaragdy pocięte na kwadraty podobne do porcji jakiegoś słodkiego, galaretowatego deseru. Były tam bursztyny cienkie jak mika, ale szerokie jak naleśniki, ułożone na złotych spodkach. W lśniącej w świetle paleniska piecyka fasacie rubinu James ujrzał przelotnie cały swój profil.

- O rany - szepnął.

- Kto cię przysłał? - zagrział męski głos. James podskoczył w miejscu.

- O rany - powtórzył.

- Kto cię przysłał?

James zrobił pełny obrót, szukając w ciemnościach mówiącego.

- Ni... nikt mnie nie przysłał. Po prostu... przypadkiem tu wszedłem.

- Nikt tu nie wchodzi przypadkiem. Ludzie są tutaj przysyłani. James usłyszał skrobanie za regałem.

- Gdzie pan jest? - zapytał.

Zza półek pełnych książek wyłonił się mężczyzna o surowym wyglądzie. Miał gęstwinę rozwichrzonych mlecznobiałych włosów, ale tak sprężystą sylwetkę, że James nie mógł go nazwać w myślach starszym człowiekiem. Do tego był ubrany w czarny smoking z podwiniętymi do łokci rękawami, jakby zajmował się przedtem jakąś pracą fizyczną. Zresztą w jednej ręce trzymał ogromny młot, a w drugiej cienki złoty naszyjnik, i James domyślał się, że niedawne odgłosy były dziełem młota.

- Prz... przepraszam, że panu przeszkodziłem. Czy to pan jest John Castle?

- To nieważne. Podejdź tutaj.

Głos mężczyzny brzmiał tubalnie, jakby dochodził z jaskini. James zbliżył się do piecyka, w którego wnętrzu widział rozgrzane do białości kamienie albo żarzące się węgle. Widział teraz także wyraźnie oczy białowłosego mężczyzny. Były brązowe i lśniące jak ziemia po deszczu i przypatrywały mu się uważnie.

- Hm. - Mężczyzna położył młot i naszyjnik na stole, ujął prawą rękę Jamesa i obejrzał jego dłoń.

- Och - powiedział James. - Cóż. Witam.

Mężczyzna puścił jego rękę. Wciągnął nosem powietrze, jakby próbował ustalić, gdzie wcześniej mógł wąchać Jamesa.

- Hm - mruknął mężczyzna. - Powiedziałeś, że kto cię przysłał?

- Nikt. Nie wiem. Barby?

Mężczyzna potrząsnął głową. Zajął miejsce na taborecie, głową wskazał drugi.

- Może zechciałbyś usiąść - zaproponował.

- Cóż... - zaczął James.

- Usiądź - polecił tamten.

James usiadł. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

- Barby nie przysyła tu ludzi. I ludzie nie wchodzą tu przypadkiem. - Mężczyzna postukał palcami w stół. - A więc kto cię przysłał?

James spojrział za siebie, na drzwi pożarowe. Widział przez nie kwadrat normalnego światła, kawałek klatki schodowej. Nie czuł jednak strachu, będąc w tym dziwnym pokoju z tym nieznanym. James lubił przypadkiem odkrywać niezwykle zakątki Manhattanu. Lubiał tę piwnicę, tak jak lubił Fiat Michaels, Cloisters albo windę firmy Otis w swojej kamienicy. Poza tym siedzący obok niego białowłosy mężczyzna wykiwał się spokojny, choć pewny siebie, jak sędzia Sądu Najwyższego.

- Nie przypominam sobie, żeby ktoś mnie przysłał - powiedział szczerze James. - Po prostu czekałem, aż będę mógł zjeść obiad. Rozglądałem się. - Popatrzył na kufer pełen diamentów. - Myślę, że może sam siebie wysłałem.

- Dobra odpowiedź - uznał mężczyzna. - Brawo.

76..

Trzaskał ogień. Stołki nie miały oparcia, a jednak mężczyzna siedział naprzeciw Jamesa z wyprostowanymi plecami, trzymając dłonie na kolanach. James czekał na dalszy rozwój wypadków. Najwyraźniej on i nieznanemu mieli posiedzieć trochę na tych stołkach obok tego pieca.

- Ehm. Nazywam się James Branch.

- Tak, wiem. To dobre imię i nazwisko.

- Dziękuję. Ehm. Skąd pan wie, kim jestem?

- Nieważne.

James spodziewał się, że mężczyzna poda mu swoje nazwisko, ale tak się nie stało. Spoglądał ukradkiem na białe włosy i mocno zarysowaną szczękę nieznanego. Jego twarz wyrażała surowe dostojenie, które wydało się Jamesowi znajome, jakby ten mężczyzna był doświadczonym gwiazdorem filmowym, do którego zdjęć James przywykł.

- Czy spotkaliśmy się gdzieś wcześniej? - zapytał James.

- Hm - powiedział mężczyzna.

James potarł kark. Rzucił spojrzenia na lśniące wokół bogactwa, na skrzynie ze szlachetnymi kamieniami. Zastanawiał się, czy mężczyzna zgromadził ten skarb w jakiś imponujący sposób, rzucając wyzwanie śmierci. A może, pomyślał James, po prostu wykuł to wszystko z powietrza w swoim piecyku.

- A napis na pana drzwiach? - zapytał. - John Castle Nomada. Co to właściwie znaczy?

Mężczyzna nie uśmiechnął się.

- To znaczy, że dużo podróżuję.

- Och. Czy ma pan filie?

- Można tak powiedzieć.

James postanowił na próbę zażartować.

- I wszystkie pana punkty są w piwnicach sex shopów? Nieznajomy wzruszył ramionami.

- Jestem tam, gdzie jestem. - Wstał i klasnął w dłonie, jakby zakończyli jakieś wstępne negocjacje. Pokazał Jamesowi gestem, żeby podszedł do jednego z kufrów. - A więc, czym mogę pana zainteresować dziś wieczorem, panie Branch?

James westchnął. Był zadowolony, kiedy po prostu siedział na taborecie.

- Cóż. Dziękuję, ale nie wydaje mi się, żebym potrzebował jakichś... wie pan, diamentów czy czegoś takiego.

- Może już niedługo to się zmieni. Może powinienes tu popatrzeć.

- Nie sądzę, żebym...

- Popatrz - powiedział surowo mężczyzna.

James posłuchał. Choć nie wiedział dlaczego, czuł, że musi się stosować do wskazówek starszego mężczyzny. Zbliżył się więc do kufra i obejrzał jego zawartość. Tu akurat znajdowały się klejnoty przerobione na biżuterię. Wzdłuż wewnętrznych krawędzi skrzyni leżał długi jak łąso sznur pereł. Nawet gdyby owinać dwukrotnie szyję jakiegokolwiek kobiety tymi perłami, stwierdził James, nadal sięgałyby jej do pasa. Poza naszyjnikami były tam broszki z ametystu, pierścionki z kamieniem księżycowym i błyskotki, których pochodzenia ani zastosowania James nie potrafił odgadnąć. Na przykład bransoletę na kostkę stanowił gruby złoty łańcuch wysadzany tak dużymi kawałkami topazów, że może miał służyć jako kajdany i pozbawić swobody królową - albo sprawić jej rozkosz.

- Możesz ich dotknąć - powiedział białowłosy mężczyzna. James znów go posłuchał. Opuścił koniuszki palców, przesuwał je nieśmiało po gładkich, chłodnych powierzchniach.

- Ten to heliotrop - wyjaśnił mężczyzna.. - To są granaty.

- Ale... Nie mam dziewczyny - zauważył James.

- To jest onyks.

James wciąż gładził klejnoty. Mężczyzna w smokingu obrócił kufer w stronę piecyka, tak że więcej światła odbijało się od kosztowności.

- Beryl - ciągnął, wskazując to, czego dotykał James. - Kocie oko. Agat.

James skinął głową. Po cichu, prawie niezauważalnie dla niego samego, jego wargi zaczęły powtarzać nazwy precjozów, jakby siedział w Fiat Michaels, szepcząc w oczekiwaniu na obiad.

- Jaspis - odpowiedział mężczyzna.

- Jaspis - potwierdził James.

- Hiacynt.

- Hiacynt.

Po chwili James zamilkł i po prostu dotykał kamieni, pozwalając, by ich migotanie w świetle paleniska obmywało go jak czar. Podziwiał koral, turkus, lazuryt. Nagle wydało mu się uzasadnione, że mężczyźni harowali przez całe wieki, wydobywając te drogocenne przedmioty z ziemi, żeby ofiarować je kobietom. Nabral przekonania, że bez względu na to, czy chodzi o młodą ekspedientkę noszącą staniki z metalowych kólek, czy o pannę młodą,

która ma na palcu obrączkę z diamentem, kobiety postępują właściwie i wspaniałomyślnie, pyszniąc się tym mocnym, twardym tworzywem wszechświata, gdyż mężczyznom nie przydawałoby to takiego blasku.

Od razu jednak wielki smutek wezbrał w sercu Jamesa. Wiedział, że nie stać go na rozłożone przed nim skarby, ale teraz uświadomił sobie z bólem, że nawet gdyby udało mu się zgromadzić garść rubinów albo kamieni słonecznych, nie ma komu ich dać.

- Nie mam dziewczyny - powiedział znów. To odkrywczyste stwierdzenie zabrzmiało niezbyt prawdziwie, spróbował więc jeszcze raz. - Nie mam kobiety - stwierdził dobitnie.

- Może już niedługo to się zmieni - powiedział białowłosy mężczyzna.

James mrugnął. Olśniony tą prostą myślą zapomniał o rozmówcy.

- Co takiego? - zapytał.

Mężczyzna w smokingu stał sztywno za kufrem.

- Wyobraźmy sobie, Jamesie Branch, że niebawem ma się pojawić w twoim życiu kobieta. Gdybyś ją kochał i mógł jej dać w prezencie którykolwiek przedmiot z tego kufra, co byś wybrał?

James zagryzł wargę. Rozejrzał się po piwnicy, popatrzył na piec, na drzwi.

- Skąd pan wie, jak się nazywam? - zapytał po raz drugi.

- Nieważne. Jaki przedmiot z tego kufra dałbyś kobiecie, którą byś pokochał?

James przyglądał się badawczo twarzy mężczyzny. Szukał znów. jakiegoś szczegółu, który by mu powiedział, skąd zna tę osobę. Próbował także dopatrzeć się cienia złośliwości w spojrzeniu nieznanego, lekkiego szyderczego uśmiešku na jego ustach, dowodu na to, że zabawia się nim, że poddaje go tylko próbie dla rozrywki. Ale mężczyzna, wydawał się szczerzy. James opuścił oczy zakłopotany.

- Ja... nie mógłbym sobie pozwolić na żadną z tych rzeczy. Nieznajomy westchnął cierpliwie.

- Powiedzmy jednak, że tak nie jest. Co byś jej dał?

James nie mógł się powstrzymać od obejrzenia klejnotów. Były śliczne. W porządku, powiedział sobie. W porządku, co mi tam.

- Ehm. - Badał wzrokiem wnętrze kufra. Nie wąż z pereł, pomyślał. Nie bransoleta z topazami. James widział takie ozdoby w barach na Madison Avenue, nagromadzone na szyjach, długich nogach i rękach modelek. Podobało mu się bardziej, kiedy kobieta nosiła tylko jedną sztukę biżuterii, coś zwyczajnego i eleganckiego. - Może to. - Podniósł małą srebrną bransoletkę okoloną małutkimi delfinami z jadeitu. 0

Białowłosy mężczyzna zabrał Jamesowi bransoletkę i wsunął ją do kieszeni.

- Przykro mi. Jest zarezerwowana dla pewnej osoby. Wybierz coś innego.

- Ehrn. Czy nie mówiliśmy o tym tylko hipotetycznie?

- Wybierz coś innego - nakazał mężczyzna.

James obejrzał klejnoty. Zastanawiał się nad rubinem o rozmiarach jajka, nad diamentem w kształcie piramidy. Wszystkie były zbyt ogromne, przytłaczająco wspaniałe, żeby pasowały jakiegokolwiek kobiecie, która mogłaby się spotykać z Jamesem. Ale w jednym z rogów kufra pomiędzy dwiema fałdkami aksamitu tkwiła para małych kolczyków. Oprawy były szczerolote, a klejnoty oszlifowane, białawe. James podniósł kolczyki.

- Co to za kamienie?

- Opale - wyjaśnił mężczyzna.

James obrócił dłoń w stronę piecyka. Kiedy blask paleniska uderzył w opale, wewnątrz nich ożyły małe pryzmaty. James przelotnie ujrzał w umyśle kobietę z ciepłą skórą i włosami o barwie miodu. Wyobraził sobie opale na tle jej skóry.

- Dałbym jej te kolczyki - oświadczył James. Białowłosa mężczyzna skinął krótko głową.

- Dobra odpowiedź. Brawo.

James wpatrywał się w małe białe światy w swojej dłoni.

- Są piękne - powiedział.

- Są twoje.

James podniósł oczy.

- Co to znaczy?, - Słyszałeś. Trzymaj je w jakimś bezpiecznym miejscu. Będiesz wiedział, kiedy je dać tej kobiecie.

James patrzył to na opale, to na mężczyznę.

- Pan... pan nie rozumie. Nie ma żadnej kobiety.

Choć raz twarz mężczyzny złagodniała. Uśmiechnął się jak rodzic znoszący szlaban.

- Niedługo się pojawi - zapewnił.

Przez chwilę James rozkoszował się stanowczym tonem nieznanego. Myślał o kobietach, z którymi pracował, o Barby, o kobiecie, która właśnie wskoczyła do jego umysłu, tej z włosami o barwie miodu. Potem pokręcił głową.

- A... ale - wyjąkał-nadal pan n... nie rozumie. Nawet gdybym kogoś miał, naprawdę nie mógłbym pozwolić sobie na kupno...

- Ta transakcja jest zakończona. - Nieznajomy zamknął zręcznym kopnięciem kufer z biżuterią, nad którym stał, ukląkł i przekręcił klucz w zamku. Opale dalej leżały w dłoni Jamesa.

- Ale nie było żadnej transakcji - skarżył się James. - Nie dostał pan ode mnie żadnych pieniędzy. Nie mogę. Nie powiedział mi pan nawet, ile one kosztują.

Mężczyzna westchnął. Jego twarz znów była surowa.

- Pieniądze, pieniądze. Posłuchaj, Jamesie Branch. Jeśli będę czegoś od ciebie potrzebował, poproszę o to. Na razie idź zjeść swoją Tilapię albo Dingo, czy co tam zamawiasz. Powinien się mniej więcej teraz zwolnić jeden stolik. Do widzenia i życzeń szczęścia. - Ruszył z powrotem w kierunku piecyka, aby wziąć młot, który zostawił na stole.

- < Hej! Proszę pana. - James głośno odchrząknął. Spojrzał na zamknięty kufer stojący przy jego stopach. Kolczyki leżały w jego wciąż otwartej dłoni. - Ehm - powiedział - to bardzo miłe z pana strony, że chce mi je pan podarować, ale czuję, że nie całkiem jestem w porządku, biorąc je bez...

Białowłosa mężczyzna odwrócił się 'gniewnie w stronę Jamesa. Znów trzymał w ręku młot i nagle jakiś zaciekły, straszliwy zamysł błysnął w jego oczach, jakby praca, którą miał wznowić, nie powinna obchodzić Jamesa.

- O rany - szepnęła James. Ciarki przeszły mu po plecach. Nie powiedział już ani słowa, tylko czując się jak złodziej, odwrócił się i uciekł.

Przez cały następny dzień James rozmyślał o tym, co się wydarzyło. o. Zabrał opale z sobą do pracy, wyjmował je ukradkiem z kieszeni, >rzypatrywał im się w czasie lunchu. Ale nikomu ich nie pokazywał i nikomu o nich nie mówił. Miał wrażenie, że sposób, w jaki kolczyki do niego trafiły, i mężczyznę, który je przekazał, otacza potężna, nieprzenikniona tajemnica. Słyszał raz historię o turyście na jakiejś górze, który został porażony piorunem pochodzącym z jedynej chmury na błękitnym poza tym niebie. Mężczyzna przeżył, poczuł tylko przez chwilę skwierczenie w mózgu i w palcach u nóg. James czuł się tak jak tamten mężczyzna.. Obawiał się, że gdyby mówił o opalach i pokazywał je wszystkim dookoła, mogłyby wyparować z jego dłoni.

A jednak tego dnia trochę śmieiej wpatrywał się w płatki uszu i fryzury pracujących z nim kobiet. Wyobrażał sobie opale na tle skóry każdej z nich, pytał samego siebie, czy mogłaby być tą, której szukał.

Wieczorem tego dnia zdobył się na drugi nieco zuchwały krok: powrót do Barby's Bondage. Coś mu mówiło, żeby nie przesadzać z brawurą i nie schodzić do piwnicy, ale zbliżył się do samej Barby, kiedy układała wibratory.

- Znowu ty. - Barby była teraz ubrana jak cywil, w dzinsy i bawełniany sweter, chociaż jej zęby ciągle podawały jej imię.

- Hej - powiedział James.

82 ‘

Barby miała skwaszoną minę. James pomyślał, że może wyprzedzić i iść kiepsko.

- Wczoraj wieczorem szybko stąd wypadłeś - prychnęła.

- Tak. Ehm,. Przepraszam za to. Słuchaj. Mam pytanie. - James zaczerpnął powietrza. Wiedział, jaką usłyszy odpowiedź. - Ehm, czy w twojej piwnicy jest sklep z biżuterią? Wiesz, za łazienką, za czarnymi drzwiami pożarowymi?

Barby popatrzyła na niego z gniewem. Dmuchinięciem odsunęła od swoich oczu kosmyk włosów.

- O czym, ty, do diabła, mówisz? James nie ustąpił.

- Jest tam coś takiego?

- Nie, nie ma na dole żadnego sklepu z biżuterią. Ale powiem ci, co tam jest. Moje prywatne miejsce do pieprzenia. Czy to właśnie robiłeś wczoraj wieczorem, grzebałeś w moich pokojach?

- I nigdy nie słyszałaś o mężczyźnie, który się nazywa John Castle?

- O kim? - Barby skrzyżowała ramiona na piersiach.

James skinął głową. Nie musiał sprawdzać. Wiedział, że mówi prawdę.

- Hej, panie Pytalski. A może by pan kupił trochę towaru albo zniknął stąd?

James cofnął się o krok, wskazał na ulicę.

- Uhm... już znikam.

- W tej chwili, do cholery. James ruszył w stronę drzwi.

- Zboczek! - wrzasnęła Barby.

Ale uśmiechnięty szeroko James Branch wychodził już na ulicę, przesuwając w palcach opale, które spoczywały bezpiecznie w jego kieszeni.

chwila, Raiły przycisnęłyby swoje wargi do jego ust, pocałowałyby go głęboko, próbowałyby spleść swoją i jego samotność.

Tak naprawdę Raiły rzadko rozmawiała z tymi nieznajomymi, a już na pewno ich nie całowała. Nie mówiła nikomu o swoich odruchowych pragnieniach, ponieważ wydawały się jej niemoralne i straszne. Wyobrażała sobie rozmowy z psychiatrą, zawsze mężczyzną.

Chcę pocałować dym, który jest w ustach tej Irlandki - wyznawała.

Dlaczego? - pytał psychiatra.

Ponieważ jest smutna - mówiła Raiły. - I jest zmęczona Dublinem. I nigdy nie będzie miała właśnie tego dymu w ustach po raz drugi.

Czy jest pani biseksualna? - pytał mężczyzna. - Rozwiązła?

Nie - odpowiadała Raiły. - Ale nie mogę pocałować dymu, nie całując kobiety. Czy pan tego nie rozumie? Oczywiście ów wymyślony psychiatra Raiły nigdy tego nie zrozumiał i w głębi duszy ona też uznała to za zagadkę. Zamiast więc próbować zrozumieć samą siebie, do relacji, które pisała dla „Pięciu Królestw”, włączała wspaniałość, którą wyczuwała wokół pewnych nieznajomych, a także swoje pragnienie, żeby ich pocałować. Kiedy opowiadała czytelnikom o Capri, myślała o starej kobiecie, której pomogła tam wejść po schodach. Opisując Lazurową Grotę, urwiska albo makaron z małżami, Raiły miała ciągle przed oczami obraz starej kobiety i układała każde zdanie tak, jakby to był pełen szacunku pocałunek złożony na czole tamtej. Takie pocałunki przechodziły jakoś w jej reportażach, bo Sabrina, szefowa Raiły i redaktorka, uwielbiała jej styl., - Masz talent - powiedziała Sabrina pewnego wieczoru. - Wybitny talent.

- Aha. - Kim podniosła rękę, jakby pomagała dzieciom przejść po pasach. - Raiły McWilliams ma talent. Ale czy kocha samą siebie?

- Pieprz się - zaśmiała się Raiły.

Raiły, Sabrina, Kim i Doktor Czarus byli w Minotaurze, podziemnym nocnym klubie. Kim i Raiły były tam dlatego, że był piątek i że Raiły znała Half Stacka, didżeja z Minotaura. Sabrina zaś znalazła się tam dlatego, że była samotna i ładna. Kim chciała tańczyć, więc zaciągnęła Doktora Czarusia przed scenę. Raiły i Sabrina stały przy barze, pijąc szampana i rozmawiając o Francji. Raiły leciała tam w listopadzie, żeby napisać kawałek o beaujolais nouveau.

- „Pięć Królestw” zapłaci za dziesięć dni - oznajmiła Sabrina. - Tylko żebyś nie spędziła całego czasu na picciu beaujolais za nasze pieniądze.

- Nie chcę go pić - odparła Raiły. - Chcę wiedzieć, czemu wszyscy wariują na jego punkcie. ‘

Zaczęła się piosenka, którą Raiły uwielbiała. Facet z różowymi włosami poprosił Sabrinę do tańca. Zgodziła się i porwał ją na parkiet. Raiły została sama przy barze.

- Powinnaś zmienić fryzurę - usłyszała czyjś męski głos. Raiły odwróciła się.

Mężczyzna w czarnej kurtce wsypywał łyżeczką cukier do szklanki z whisky. Miał krótkie, spiczaste czarne baki i niewielką wypukłość po lewej stronie kurtki na żebrach, w pobliżu serca. Raiły pomyślała, że to może być pistolet.

- Ja? - zapytała.

Obrzucił spojrzeniem jej ubranie. Miała na sobie dżinsowe ogrodniczki i biały T-shirt. Jej włosy były zaplecione w dwa warkoczyki, które wyrastały w górę, potem zakręcały do tyłu, a wreszcie opadały.

- Powinnaś nosić jeden długi warkocz na środku pleców. - Mężczyzna dalej słodził whisky. - To proste, klasyczne. Nie jakieś udawanie małej dziewczynki.

Raiły uniosła brwi. Sądząc po wyglądzie, mężczyzna niedawno przekroczył trzydziestkę. Miał ładne kości policzkowe i zielone jak dżungla oczy. Uśmiechnęła się.

- Myślałam, że faceci lubią takie niby to małe dziewczynki - powiedziała.

Mężczyzna zamieszał swojego drinka. Kiedy przestał mieszać, w płynie wciąż były kryształki.

- Jestem Patrick Rigg - przedstawił się.

Zerkała co chwila na wpatzonego w nią Patricka, który stał przy końcu lady Glorybrooka. Raiły widziała w jego oczach zaborczość, intensywne pragnienie.

On mnie pożre, pomyślała.

Wiedźmy dalej drapały i nacierały Raiły. Kiedy skończyły, Patrick dał każdej z nich sto dolarów napiwku, co tylko jeszcze bardziej podnieciło Raiły.

On mnie pożre, myślała, a ja mu na to pozwolę. Potem był obiad w sali na piętrze w Duranigan's. Raiły słyszą - « ła, że to ekskluzywny lokal często odwiedzany przez gangsterów i nowojorską elitę. Jedli przepiórki i sałatkę, mieszankę rukwi z bazylią, i Patrick zamówił dla Raiły szampana zrobionego przez mnichów. Sam pił to, co zawsze: drinka z

whisky Old Grand-dad, gorzkich ziół i cukru z plasterkiem cytryny i wisienką. Raiły znów zauważyła dyskretną wypukłość blisko serca Patricka. Skłoniło ją to do zadawania pytań.

- Opowiedz mi o swojej pracy - zaproponowała. - Nie - sprzeciwił się Patrick.

- A więc o swojej rodzinie.

Zęby Patricka były zajęte przepiórką, ale popatrzył na Raiły, jakby była obłąkana. Raiły zmarszczyła brwi.

- A może o studiach? To znaczy, studiowałaś, prawda?

- Przestań.

Raiły przełknęła głośno ślinę. Skrzyżowała, a po chwili rozprostowała nogi pod stolikiem.

- Przestań pytać o głupie rzeczy - wyjaśnił Patrick. Rozejrzała się dokoła. Kilku tęgich Włochów jadło makaron przy narożnym stoliku, ale nie mieli wypukłości pod marynarkami.

- Cóż. - Raiły znów spojrzała na Patricka, mrugnęła swoimi poczerwionymi rzęsami. - Musimy o czymś rozmawiać, prawda?

Patrick wykrzywił szyderczo usta. Miał doskonale dopasowany garnitur, był szeroki w ramionach i Raiły wydawało się, że jest całkowicie zadowolony ze swojej tajemniczości.

- Powiedz mi więc coś istotnego - poprosiła. - Powiedz coś istotnego.

Patrick popijał whisky. Jego spojrzenie przesuwano się po suficie.

- Raz - zaczął - kiedy miałem pięć lat, przekłułem szpikulcem do kebabu dłoń mojego brata Francisca.

- Naumyślnie? - zapytała z zapartym tchem Raiły.

- Bawiliśmy się w akupunkturę. Francis kazał mi to zrobić. Był starszy. Powiedział, że to go wyleczy. Raiły zastanowiła się.

- Przebiłeś mu rękę na wylot?

- Na wylot. Szpikulce było widać po obu stronach. Jak w filmie, kiedy strzała przebija nogę kowbojowi.

- Jezu - szepnęła Raiły.

Skończyła już jeść. Kelner zabrał talerz.

- Było dużo krwi? - zapytała.

- Właściwie to nie.

Kim jest ten facet? - myślała Raiły.

Po obiedzie pojechali do mieszkania Patricka. Mieszkał na Upper West Side, w wysokim, ponurym budynku z piaskowca o nazwie Pre-emption. Była tam wspaniała stara winda z mahoniowymi drzwiami, ale Patrick nie pocałował w niej Raiły, choć myślała, że może tak się stanie. Zabrał ją do swojego mieszkania, dał jej szklankę wody.

- Masz współlokatora? - zapytała Raiły.

- Tak - powiedział Patrick. - Pracuje ze mną. Nazywa się James Branch. Chodź zobaczyć moją sypialnię.

W sypialni Patricka rzucało się w oczy wielkie łóżko i owalne lustro w zdobionej drewnianej ramie, w którym stojący człowiek mógł się obejrzeć od stóp do głów. W drewnie wyrzeźbiono zachodzące na siebie pnącza z kolcami. Patrick ujął Raiły za ramiona, obrócił ją w stronę lustra.

- Stój nieruchomo - nakazał. - Skrzyżuj ręce za plecami. Raiły stała nieruchomo. Czekwała na pocałunki.

- Patrz na swoje odbicie w lustrze. Trzymaj skrzyżowane nadgarstki w dole pleców.

Raiły była zdenerwowana, ale zrobiła to. Pokój był ciemny, wpadało tam jednak dość światła księżyca, żeby mogła zobaczyć swoją smukłą sylwetkę, czerwoną kreskę swoich warg. Patrick stał za nią, wyższy o kilkanaście centymetrów, i teraz jego ręce przesunęły się wokół jej ramion i zbliżyły od przodu do jej szyi. W jednej z dłoni trzymał, ku zdziwieniu Raiły, mały, otwarty scyzoryk. Zamarła.

- Hej.

- Stój nieruchomo - powiedział Patrick.

Bardzo ostrożnie przytrzymał stanik sukienki Raiły, trochę pod jej szyją, i przeciął jedwab. Raiły podskoczyło serce.

- Patrick - protestowała - ta sukienka kosztowała cię parę tysięcy.

- Bądź cicho i patrz.

Patrick zamknął nóż, upuścił go do kieszeni. Chwycił sukienkę Raiły przy jej szyi, po obu stronach rozcięcia. Poczula, że jego łokcie napierają na jej ramiona. Potem jego dłonie rozdarły sukienkę na dwie części. Jedwab rozszedł się jak zasłony.

- Patrick - szepnęła Raiły. Oparła się o niego plecami, ale Patrick ustawił ją prosto.

- Patrz - powiedział.

Raiły zrobiła niezadowoloną minę, ale patrzyła, a w tym czasie Patrick owijał jej szyję strzępami sukienki, układając je w szal, który zwisał na jej piersi. Raiły miała teraz na sobie tylko swój biały stanik i białe majtki, czarne buty na obcasie i kosztowny szal.

- Patrick. - Raiły ścisnęła jego udo. - Patrick, pocałuj mnie. Patrick zdjął dłoń Raiły ze swojego uda. Skrzyżował z tyłu i mocno chwycił jej nadgarstki. Był silny i całkowicie ubrany.

- Teraz popatrz na siebie-powiedział jej.

Na skórze Raiły pojawiła się gęsia skórka. Chciała być pod Patrickiem, na jego łóżku.

- Patrick, czy nie możemy po prostu...

- Bądź cicho i patrz. - Jego ton był zdecydowany..

Raiły z niechęcią wpatrzyła się w lustro. Zobaczyła swoją pełną bladą figurę, osobę w czarno-białym stroju. Widziała swoje krzywe nogi, kolana, które nigdy się ze sobą nie stykały, bez względu na to, jak dokładnie dociskała do siebie pięty. Trener ze szkoły średniej powiedział jej kiedyś, że wygięte nogi dają jej równowagę na krótkich dystansach, ale tego wieczoru nie była sprinterką. Patrick wciąż trzymał ją za nadgarstki i Raiły wypełniła nagle

nienawiść do niego, zezłościło ją, że nie chce jej pocałować, że nie uwalnia jej dłoni, by mogła zerwać czarny jedwab ze swojej szyi.

- Czego chcesz? - dopytywała się.

Patrick mlasnął językiem.

- Popatrz na siebie. Chcę, żebyś zobaczyła to co ja. Raiły spróbowała się odwrócić.

- Czy masz zamiar mnie skrzywdzić?

Patrick ujął w dłoń podbródek Raiły, zmusił ją do spojrzenia w lustro.

- Tak właśnie cię widzę - powiedział. - Popatrz.

Raiły pomyślała, że mogłaby uwolnić jedną rękę, gdyby się szarpnęła, ale nie próbowała tego zrobić. Nie wyrwała ręki, nie sięgnęła do szala, nie zdarła go. Chciała wiedzieć, czy będą się całować i kochać. Chciała też wiedzieć, w czym wróci do domu, skoro jej ogrodniczki były własnością Saks na Piątej Alei, a resztki nowej sukienki wisiały na jej szyi. Z drugiej strony, kiedy Raiły wpatrywała się w lustro - w swoją półnągą osobę i w cień, który ją trzymał - miała przyspieszony oddech.

- Czy... chcesz mnie skrzywdzić? - szepnęła.

- Chcę, żebyś patrzyła na siebie, aż zobaczysz to, co ja widzę. Raiły zerknęła w lustro. Trafiała wyraźnie na zbrojeńca albo proroka. Obejrzała łuki swoich bioder, które według niej wyglądały imponująco, biegała przecież trzy razy w tygodniu. Pomyślała też, że ma przyzwoite bicepsy. Przypuszczała, że gdyby się odchyliła i trzasnęła Patricka w twarz, zostawiłaby porządną ślad, zanimby ją udusił. Zachichotała.

- Nie śmieję się. - Patrick ścisnął jej nadgarstki. - Po prostu patrz.

- W porządku.

Mruknął z zadowoleniem, wpatrując się w lustro. Raiły zaczerpnęła powietrza i zaraz wypuściła je z płuc.

- W porządku - obiecała. -. Nie będę się śmiała.

Następnego dnia rano oszołomiona Raiły miotała się po swoim poddaszu, nie mogąc się skupić na pisaniu. Poprzedniego wieczoru Patrick trzymał ją, półnągą, przez godzinę przed lustrem, potem ubrał ją w jakieś' swoje czyste spodnie dresowe i T-shirt i wysłał do domu w taksówce, nie cmoknąwszy jej nawet w policzek. Wieczór był wspaniały, później ostry, potem się skończył.

- Co za cholera? - powiedziała na głos Raiły, sama do siebie. Powtórzyła to kilka razy.

Wpatrywała się w ekran swojego komputera, który ukazywał wstępny plan jej listopadowej podróży po Francji na zlecenie „Pięciu Królestw”. Raiły zamierzała napisać reportaż nie o samym beaujolais nouveau, ale o atmosferze towarzyszącej corocznemu wypuszczeniu wina na rynek, o tym, że po radosnym przywitaniu wypijano je tak szybko, w ciągu jednego krótkiego tygodnia w listopadzie, a potem o nim zapominano. Akurat tego ranka jednak Raiły nie mogła się skoncentrować na winie. Myślała o poprzednim wieczorze,

kiedy była owinięta czterema tysiącami dolarów zainteresowanego nią Patricka, i o tym, że w ogóle nie było seksu.

- Co za cholera? - powiedziała Raiły. Zadzwoił telefon.

- I co? - dopytywała się Sabrina. - Jaki był?

Raiły zastanawiała się, co powiedzieć. Zazwyczaj dzieliła się pieprznymi szczegółami z Kim i Sabrina. Lecz tym razem, chociaż miała wielką ochotę wszystko wygadać - zwłaszcza cenę sukienki - coś ją powstrzymało.

- Nie pocałował mnie - stwierdziła.

- Ha - skomentowała Sabrina. - A jak przygotowania do wyjazdu? Załatwiłaś rezerwacje? Nastawiłaś się psychicznie?

- Nie całowaliśmy się - powtórzyła z roztargnieniem Raiły.

Raiły odwiedzała Patricka przez siedem piątków z rzędu. Patrick dzwonił do niej tylko raz w tygodniu, co piątek, spotykał się z nią w Saks, wydawał na nią tysiące, zabierał na obiad, a potem do domu, do swojej sypialni, rozcinał jej sukienkę i trzymał ją. Odkryła, że Patrick przestrzega niepisanych zasad tego rytuału i oczekuje od niej tego samego. Zawsze kupował proste sukienki z czystego jedwabiu, zaprojektowane przez firmę Badgley Mischka albo Pamelę Dennis. Były jednokolorowe - czarna, granatowa, kasztanowa - i opadały Raiły cnotliwie do kostek, dopóki nie zostawały w świetle księżycy rozszczępione na dwoje i okręcone wokół jej szyi. Patrick za każdym razem krzyżował nadgarstki Raiły za jej plecami i przytrzymywał ją w miejscu przez godzinę. Nigdy jej nie całował, nie pieścił, nie próbował zdjąć z niej bielizny, nie odzywał się do niej prostacko, a kiedy godzina dobiegała końca, wysyłał ją do domu w czystych dresowych spodniach i czystym T-shircie.

Patrick rozczarowywał i intrygował Raiły. W czasie trzeciej randki poddała go próbie charakteru. Kiedy wkładała sukienkę w Saks, zatrzymała na sobie stanik, ale majtki zostawiła w przebieralni. Tego wieczoru Patrick po rozpruciu materiału na dwoje prychnął i cofnął się, upuszczając sukienkę. Raiły odwróciła się i podeszła do niego, próbowała go pocałować, przywabić jego dłoń do swojego brzucha.

- No, chodź - szepnęła.

Patrick popatrzył na nią wściekle, odepchnął ją. Raiły znów go zaatakowała.

- 'Dotknij mnie - mruzczała. - Weź mnie.

- Nie - syknął Patrick. Skrzyżował ramiona na piersi.

Raiły stała dumnie w swoich butach na obcasie, dysząc gniewem.

- Do diabła, o co więc w tym wszystkim chodzi? Wpatrywał się w nią ze zdziwieniem.

- Chodzi o to, żebyś robiła, co mówię. Żebyś widziała to, co ja widzę.

- Och, naprawdę? - Raiły teraz także założyła ręce. - A może będziemy robili to, co ja powiem?

- Jeśli tego właśnie chcesz, wyjdź.

Raiły czuła, że zaraz ogarnie ją zakłopotanie albo zacznie płakać.

- Nie rozumiem. - Postarała się, żeby jej głos brzmiał łagodnie. - Czy nigdy nie... pocałujemy się? Nie będziemy się kochać? To znaczy... czy nie chcesz?

- Teraz akurat chcę, żebyś wyszła - oznajmił. Raiły otworzyła usta.

- To nie jest normalne, Patrick. Jego oczy zabłyśły twardo.

- Powiedziałem, wyjdź.

Raiły wyszła, sądząc, że Patrick nigdy już do niej nie zadzwoni.

- Czy dobrze całuje? - zapytała Kim. Siedziała z Raiły w domu, na kanapie.

- Jest cudowny - skłamała Raiły.

Patrick wciąż jeszcze ani razu nie przycisnął swoich warg do jej ust., Przyjaciółka przypatrywała się francuskiemu warkoczowi Raiły, który stał się jej codziennym uczesaniem. Kim uważała, że warkocz jest beznadziejny, a z włosami Raiły tyle można zrobić. - Spotkałaś się z nim trzy razy - zauważyła Kim - i zawsze wracasz do domu w jego ubraniach. Czy w ogóle to robicie?

To, pomyślała Raiły. To.

- Tak - skłamała znów.

Kim przyglądała się przyjaciółce. Czekala na szczegóły, ale niczego nie usłyszała.

- Hej, Raił. Nie mówiłaś ostatnio nic o Francji. Dalej się tam wybierasz? - zmieniła temat.

Raiły roztarła przedramiona. Wydawały się szczupłe w lustrze Patricka poprzedniego wieczoru, jak u baletnicy. Podobał jej się tamten ich wygląd.

- Raił?

- Hm? Co?

- Francja. Wciąż się tam wybierasz?

- Och, pewnie - odparła roztargniona Raiły. - Pewnie, pewnie. Ku jej wielkiej radości Patrick zadzwonił w następny piątek, jakby się nie poróżnili. Kazał Raiły przyjechać do Saks i Raiły go posłuchała. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć dlaczego, ale pojechała i nie próbowała tego wieczoru żadnych sztuczek, gdy stała przed jego lustrem z odsłoniętym brzuchem, ze zmarzniętymi kolanami, Porwana sukienka na jej szyi była bladoniebieska.

- Czy chcesz, żebym dla ciebie zatańczyła? - szepnęła Raiły.

- Chcę, żebyś patrzyła na siebie - powiedział Patrick.

Raiły utkwiała wzrok w swoim ciele. Za oknem 'czerwone światła radiowozów migają pośród nocy. Przejechał wyjący wóz strażacki.

- Czy chcesz, żebym mówiła? - zapytała Raiły. Patrick ścisnął jej nadgarstki.

- Wiesz, czego chcę.

W piątym tygodniu Raiły nie mogła się już doczekać piątkowego wieczoru. Rozumiała, że nie może nazywać siebie kochanką Patricka, ale czuła się wyjątkowa, jakby była modelką prezentującą mu coś intymnego i doskonałego, coś osiągalnego jedynie poprzez zmieszanie jej ciała z barwami, w które ją owijał. Obsesja, jaką Patrick miał na jej punkcie, była czymś pochlebającym i hojnym. Kiedy stała w ciemnościach, na wpół naga, w pantoflach na

obcasie, trzymana przez niego, milcząca, przypatrywała się swojej postaci w lustrze i usiłowała dostrzec to, co on dostrzegał. Myślała o małych dolarach przechodzących elektronicznie z konta bankowego Patricka na konta bankowe Saks i Duranigans.

- Dlaczego ja? - zapytała go raz, ale Patrick położył palec na jej wargach.

W ich szósty piątek Raiły eksperymentowała z banalnymi chwytami. Wciągała brzuch, wypinała piersi, wydymała wargi, robiła przestraszona, ale uważną minę. Patrick jej nie zgwałcił, więc zmieniła taktykę. Pozwoliła, żeby jej brzuch obwisł, a jej twarz zwiotczała. Patrick znów nie zareagował, więc Raiły przestała zwracać na niego uwagę i skupiła się na lustrze. Przypatrywała się uważnie jego drewnianym ramom, kolcom okalającym szkło. Potem skierowała uwagę na swoje odbicie: unoszące się i opadające w miarę oddychania żebra, podtrzymywane przez stanik piersi, kostki opięte paskami butów na obcasie. Zachwycało ją, że jej skóra prawie wszędzie styka się bezpośrednio z powietrzem, a zarazem jest częściowo spętana i ujarzmiona. Myślała o starannym splocie swojego warkocza.

Uśmiechnęła się. Jestem ładna, pomyślała.

Następnego ranka, w sobotę, Raiły poszła sama do muzeum Cloisters. Już za dwa tygodnie miała wyruszyć do Francji, a zawsze odwiedzała Cloisters przed większą podróżą, żeby podregulować swoje umiejętności obserwowania ludzi. Przyglądanie się ludziom uważała za obowiązek autorki reportażu o podróżach, a Cloisters doskonale nadawało się do ćwiczeń. Było to częściowo muzeum, częściowo kościół, częściowo zamek nad Hudson i Raiły odkryła, że kiedy ludzie przypatrują się tam dziełom sztuki albo spacerują po wałach obronnych, albo po prostu trzymają się za ręce, znacznie mniej się krępią niż w innych miejscach Nowego Jorku. Mogła badać zachowania nieznajomych i szukać wspaniałości - godnej pocałunku - pośród ich twarzy i zwyczajów. Do tego w Cloisters było cicho, a Raiły potrzebowała czasu na rozmyślanie o Patricku Riggu, ponieważ próbowała zdecydować, czy jest wspaniały i czy może go uznać za pokrewną duszę. Patrick roztaczał niebezpieczny urok, ubierał się jak król i umiał się śmiać. Zastanawiające było to, że kiedykolwiek zaczynała teraz myśleć o Patricku, nastawiała swój umysł na myślenie o sobie, o swoim ciele w lustrze Patricka. Nie mogła nic na to poradzić. Kiedy śniła w nocy, widziała siebie jako nimfę w zarośniętym pnączami lesie o północy, same piersi, nogi i psychodeliczne oczy. Czasami budziła się wcześniej rano, kiedy było jeszcze ciemno, zakradała się do łazienki na poddaszu, które zajmowała z Kim, i rozbierała się do bielizny. Patricka tam nie było, ale Raiły i tak trzymała nadgarstki za plecami, wyobrażając sobie, że Patrick je ściska. Owijała szyję paskiem z płaszcza kąpielowego, który miał udawać rozdartą jedwabną sukienkę, i podziwiała swoje odbicie, aż w końcu, ku jej przerażeniu i rozkoszy, jej uda robiły się śliskie. Tak, ale gdzie były ręce Patricka, kiedy ich potrzebowała?

- O czym pani myśli? - zapytał czyjś męski głos.

Raiły drgnęła, mrugnęła. Odwróciła się, ustaliła swoje położenie. Była w sali z tapiseriami w Cloisters, stała przed tkaniną, na którą najwyraźniej się zagapiła. Obok niej stał szczupły młody mężczyzna z sennymi niebieskimi oczami i równymi zębami.

- Słucham? - powiedziała Raiły.

- Po prostu, ehm, zastanawiałem się, o czym pani myśli. - Młody mężczyzna wskazał ruchem głowy tkaninę. - Wydawała się pani taka... zaabsorbowana.

Raiły dostała rumieńców. Skupiła się na tkaninie. Ukazywała ona jednoroźca, na którego polowali ludzie z psami. Jednorożec stał na zielonej polanie koło strumyka, z jego żeber wystawały dwie włócznie, po jego skórze ciekła krew. Psy i ludzie otoczyli go. Psy miały rozwarte szczęki, a ludzie, uzbrojeni we włócznie, wydawali się zawzięci i oddani sprawie. Jednorożec był najwyraźniej skazany na śmierć albo niewolę, a ból w jego oczach na pewno nie był magiczny.

- To straszne - powiedziała Raiły.

Młody mężczyzna z sennymi oczami przyjrzał jej się badawczo. Miała wrażenie, że jest miły i że go nie przekonała.

- Czy naprawdę o tym pani myślała? - zapytał.

Raiły odwróciła wzrok. Jesteś nieznajomym, pomyślała. To ja mam obserwować ciebie.

- Podoba mi się to - westchnął młody mężczyzna. Wpatrywał się ze smutkiem w jednoroźca. - Ja... prawdopodobnie nie powinienem. Zamiast tego powinienem myśleć, że to okropne. Prawda?

Raiły zwróciła nagle uwagę na sennego młodego człowieka, na potrzebę zawartą w jego głosie. Wyciągnęła dłoń i dotknęła jego ramienia, leciutko.

- Nie - powiedziała. - Nie, nieprawda.

Na piątkowy wieczór numer siedem z Patrickiem Raiły ubrała bardzo białą bieliznę i bardzo biały stanik. Jej sukienka miała kolor jasnego srebra. Zwisiała z jej ramion jak warstwa cienkiej, kruchej zbroi. Zaczął się listopad i w mieście było zimno, więc Patrick kupił Raiły czarną pelerynę pasującą do jej sukienki z tego wieczoru. Ale Raiły stwierdziła, że pragnie jak najszybciej znaleźć się w mieszkaniu Patricka, aby zrzucić z siebie i pelerynę, i jedwab. Obiad w Duranigans jadła niecierpliwie i ciągle wymykała się do łazienki, żeby podziwiać naprężony sznur swojego warkocza.

Patrick siedział przy stoliku z whisky w dłoni i szczyrzył zęby jak wilk.

Raiły dotknęła swojego policzka, sprawdziła, jaki jest miękki. Martwił ją szeroki uśmiech Patricka.

, - Co się dzieje? - zapytała.

- Działa - powiedział Patrick.

- Co działa?

- Wiesz co. - Patrick obejrzał ją uważnie. Raiły prychnęła wyniośle.

- Co, czy myślisz, że się w tobie zakochałam? Patrick potrząsnął głową.

- Wręcz przeciwnie - powiedział.

Tego wieczoru, kiedy już rozszczępił jej sukienkę i zrobił z niej szal na jej szyi, Raiły powiedziała mu, żeby zacisnął ją mocniej.

- I niech opada prosto w dół między moimi piersiami - szepnęła Raiły. - Jak męski krawat.

Patrick spełnił jej życzenie. Raiły wpatrywała się w lustro.

- Podobają mi się moje łydki, są takie gładkie - zamruczała. Patrick ścisnął jej nadgarstki. Wydał dźwięk, który przypominał chichot.

- I ładnie pomalowały mi dzisiaj usta. - Raiły obracała głowę z boku na bok, wykrzywiając wargi. Gdy się im przyglądała, nagle opanowała ją niepohamowana żądza. Czuła to pragnienie głęboko w przeponie, nawet widziała je w swoim odbiciu. Wessała powietrze.

Patrick wyczuł tę zmianę.

- Co tam?

Raiły potrząsnęła głową.

- Nic.

Patrick zwarł szczelniej dłonie.

- Musisz mi powiedzieć.

Raiły patrzyła, jak czerwień pojawia się na jej policzkach.

- To niezdrowe. To...

Patrick przysunął się do Raiły. Choć raz jej ręce otarły się o jego spodnie, wyczuły tam nagłą potrzebę.

- Chcę pocałować samą siebie - szepnęła.

Patrick zrobił wydech. Zabrzmiało to tak, jakby od dawna czekał na tę chwilę.

- Chcę... - Raiły uwielbiała swoją szczękę, swoje krągłe biodra. Wyobrażała sobie swoje ciało w tunelu aerodynamicznym, w jakim testują pojazdy. Wyobrażała sobie, jak powietrze nakrywa ją, spływa po jej sylwetce. - Chcę całować samą siebie - powiedziała. - Wszędzie.

Patrick napał na nią. Jej łopatki stykały się teraz z jego piersią, ale Raiły nie odrywała wzroku od siebie. Jej uda drżały.

- Chcę... - Wbiła wzrok w lustro. Próbowała uwolnić dłonie, podejść do swojego odbicia.

Patrick zdwoił nacisk na jej nadgarstki.

- Nie możesz - powiedział po prostu.

Raiły zagryzła wargę. Zamknęła oczy, ale kiedy to zrobiła, nie widziała już nimfy. Otworzyła je z powrotem i zobaczyła to, co chciała. Było to niewiarygodne, rozchwiane, uwięzione ciało kobiety. Raiły ruszyła niezdarnie w jego stronę.

- Mogę - mówiła płacząco. - Chcę.

Patrick zaśmiał się cicho. Jego zęby błysnęły w lustrze, a jego dłonie przytrzymały mocno nadgarstki Raiły.

- Nic z tego - stwierdził.

Raiły szarpała się do tyłu i do przodu. W jej oczach i pachwinach narastało napięcie. Zwierała uda, zaciskała zęby, czuła, że poddaje się czemuś nienazwanemu.

- Mogę - syknęła. - Zrobię to.

Patrick dalej się śmiał. Paznokcie Raiły wpijały się teraz w jego dłonie, drapały go. Jej oczy w lustrze były szeroko otwarte, a mięśnie jej nóg twarde i rozedrgane.

- Proszę - wydyszała Raiły. - Tak. Tak.

- Nie - nakazał Patrick.

Raiły popłakiwała i walczyła. Pot perlił jej czoło, czuła, jak przyjemność narasta między jej udami.

- Proszę - błagała.

Patrick stał pewnie, odpowiadając jej przecząco.

- Proszę! - krzyczała Raiły.

Ale wtedy, akurat gdy oddech Raiły się wyrównał i zmieniła się wysokość jej błagalnego głosu, Patrick puścił jej nadgarstki, rechocząc. Raiły poleciała do przodu, potknęła się, wylądowała na kolanach, zgubiła przy tym jeden z butów. Rozpostarła ręce na podłodze, amortyzując upadek.

- Auć!

Spojrzała w lustro. Zobaczyła, że stoi na czworakach, dysząc ciężko, z warkoczem zarzuconym na ramię, a jej piersi w białych miseczkach skierowane są w dół. Szal był ciągle mocno zaciśnięty na jej szyi. Sięgał do podłogi i zwijał się tam, ale wydawał się teraz Raiły okropny, podobny do smyczy. Podparty pod boki Patrick stał nad nią, chichocząc.

- Auć - powiedziała znów Raiły.

Patrick nie podszedł do niej. Jego oczy płonęły rozkoszą i triumfem - Raiły nigdy wcześniej w nich tego nie widziała.

- Skaleczyłam się w kolano. Patrick skinął głową.

- Zapewne. Możesz teraz wracać do domu. Pożądanie wyciekło z umysłu Raiły.

- Co? - wyszeptała.

- Słyszałaś - powiedział ostro Patrick. - Wracaj do domu. Raiły pozostała na czworakach, zastanawiając się, czy on chce, żeby tak wyglądała. Łzy gniewu wypełniły jej oczy.

- Co robisz? - zapytała półgłosem.

- Wypiję drinka - wyjaśnił Patrick - jak tylko się ulotnisz.

- Nie - powiedziała płacząco. - Co robisz ze mną?

- Wracaj do domu - nakazał Patrick. Raiły usiadła. Odwróciła oczy od lustra.

- Czy to o tym myślisz w dzień? - zapytała, gwałtownie. - Że zrobisz ze mną coś takiego? Że przez ciebie będę chciała... tego?

Patrick wyciągnął spodnie dresowe i T-shirt z szuflady, rzucił je na podłogę koło Raiły.

- W dzień - powiedział - myślę o pieniądzech.

Raiły podniosła się. Zerwała jedwab z szyi. Ubrała się, drżąc z wściekłości, w jej myślach pulsowała czerwień, być może kolor krwi.

- Czy to cię podnieca? - zapytała. - To, że wysyłasz mnie do 102

domu o północy, a potem dzwonisz do mnie w następny piątek i robisz wszystko od nowa?

- Nie zadzwonię do ciebie w przyszły piątek - powiedział Patrick. - Będiesz wtedy we Francji. Teraz spadaj stąd.

Raiły trząsał się podbródek.

- Jesteś pieprzonym świrem.

Spojrzał jej prosto w twarz. Jego oczy wyrażały furję. Uderzył jedną ręką swoją marynarkę, trafiając w pierś nad, sercem.

- Czy wiesz, co się tu dzieje? - wrzasnął.

Raiły cofnęła się. Wpatrywała się w wypukłość pod marynarką Patricka, w guz, który wciąż uważała za pistolet.

- Przepraszam - wyjąkała.

- Czy masz pojęcie., kim jestem?

Głos Patricka rozsadzał jej czaszkę. Ramiona miał przygarbione jak niedźwiedź.

- Ta... tak. To znaczy nie. - Raiły uciekła z pokoju Patricka, wybiegła z jego mieszkania, powtarzając ze szlochem: - Nie, nie, nie.

- Zetnij je - nakazała Raiły.

Kim siedziała blisko niej na kanapie. Obok nich na stoliku do kawy leżały nożyczki Kim i inne rodzaje broni z salonu fryzjerskiego. Włosy Raiły były wilgotne, na ramionach miała ręcznik.

Kim głaskała przyjaciółkę po włosach, które opadały aż do poduszek na kanapie, a nawet zakrywały je trochę.

- Mężczyźni to bydlaki - powiedziała łagodnie Kim. Gładziła szyję Raiły, masowała jej plecy. - Nie musisz tego robić.

Raiły pochyliła głowę i patrzyła prosto przed siebie.

- Zetnij je. Mogą być krótkie i wymyślne, obojętne, tylko je zetnij.

- Cii. - Kim starała się, aby jej głos brzmiał kojąco. Próbowala uratować coś rzadkiego, coś pięknego. - Tylko dlatego, że jakiś dupek lubił, jak czesałaś się w jeden sposób, nie musisz od razu... - Zetnij je! - krzyknęła Raiły.

Raiły pojechała do Beaujolais we Francji. Chodziła dziwnymi, starymi ulicami, odwiedzała winiarnie, kosztowała tego, co ich właściciele oferowali klientom, przenosiła się z jednej winnicy do drugiej. Siadała na kamiennych murkach i przyglądała się owcom. Ubierała się w mocne, obszerne amerykańskie dzinsy i luźne swetry, które nie uwydatniały jej figury. Jej włosy były przycięte na szyi w taki sposób, że nie wymagały pielęgnacji ani uwagi. Spędzała każdy wieczór w restauracji tej lub innej gospody, gdzie jadła dania z kurczaka i

wołowiny, podawane z prostymi sosami. Gdy pisała i piła beaujolais, notowała spostrzeżenia dotyczące tego regionu i wina. Kiedy przyszła pora na pisanie o ludziach, Raïły zrobiła coś, czego nigdy przedtem nie próbowała. Nie zważając na rzeczywistość wokół siebie, przekształcała każdego, kogo spotkała, w szablonową postać z bajki. Pisała o uprzejmych mężczyznach z poplamionymi winem, krzywymi zębami, o piersiastych, uczynnych kobietach, o dzieciach, które nosiły bagietki i deptały winogrona. Wszystko było zdrowe, przyjemne i kontynentalne, dopóki pewnego wieczoru Raïły nie wypła w pewnym barze za dużo wina. Stwierdziła nagle, że kręci jej się w głowie i jest pod gwiazdami, a żarliwy młody mężczyzna o imieniu Olivier przyciska jej ciało do ociosanego z grubsza kamiennego ogrodzenia. Szeptał coś seksownie po francusku i głaskał w talię dzinsy Raïły. Popęłnił jednak błąd, kiedy przytknął swoje wargi do warg Raïły, wpuścił swój język do jej ust i pocałował ją. Przez sekundę Raïły uległa wirującemu, malowniczemu niebu i odwzajemniła pocałunek Oliviera. Złączyła usta z wargami nieznajomego i próbowała być szczęśliwą, ulotną istotą, tak ulotną jak wino. Lecz pojawił się wstręt. Raïły czuła nie tylko swój język, ale też całą swoją osobę pod ubraniem i odsunęła się od tego mężczyzny, jakby zdradziła zazdrosnego, wszechwiedzącego pana.

OBOWIĄZEK

Nazywam się Patrick Rigg i mam trzydzieści trzy lata. Jestem też milionerem, bo kiedy miałem sześć lat, mój starszy brat, Francis Rigg, został nieoczekiwanie zabity przez Niesamowitą Rybę Guppy. Moja rodzina mieszkała wtedy niedaleko Chicago i obaj zawsze błagaliśmy rodziców, żeby zabrali nas do Guppington Estates, parku rozrywki na obrzeżach miasta. Było to jedno z tych dziwacznych amerykańskich wesołych miasteczek nowego typu. Guppy, główna postać, był wielką pomarańczową rybą w czarnym garniturze i monoklu. Posługiwał się nieskazitelną angielszczyzną i zajadał się pralinkami, ale znał też chwyt dziu-dzitsu. Kreskówki z Guppym pokazywano popołudniami w Chicago, może zresztą wszędzie. Na początku każdego odcinka Guppy zajmował się własnymi sprawami, rozglądał się po księgarni, pił mleko, szukał cennych starych wydań utworów Josepha Conrada. Guppy zazwyczaj miał u boku swoją elegancką rybią dziewczynę, Groupy. Była ona niewiarygodnie ocytana i miała zabójczą figurę. Wymieniali dowcipne powiedzenia i trzymali się za pletwy, dopóki nie pokazały się Wielkie Paszcze. Tak nazywały się kanciaste, awanturnicze okonie, które z niejasnych dla mnie w dzieciństwie powodów w każdym odcinku ściagały Guppy ego i mu dokuczały. Wydawało się, że mają mu za złe to, że jest dobrze urodzony i że ma seksowną dziewczynę, podczas gdy one były tylko rybimi bandytami. Pamiętaj, że wszystko to było zupełnie bezsensowne. W każdym razie Wielkie Paszcze nie dawały spokoju Guppy'emu, popychały go i nazywały go sztywniakiem, ale w końcu popełniały wielki błąd - można było na nie liczyć w każdym odcinku - zaczynały bowiem obrażać Groupy. Kiedy tylko to się zdarzyło, Guppy zdejmował swój monokl i podawał go Groupy; mówiąc cicho: „Tego nie mogę znieść”, po czym z zabójczą dokładnością dawał Wielkim Paszczom tęgiego łupnia. Stosował zręczne, miążdżące kości ciosy dziu-dzitsu i kiedy kończył, na podłodze obok niego leżała sterta martwych ryb.

Francis i ja uwielbialiśmy Guppy'ego. Francis, trzy lata starszy ode mnie, siadał ze mną codziennie po południu, żeby obejrzeć Guppyego w telewizji, a po filmie odgrywał rzeź, której świadkiem był przed chwilą. Francis, z racji swojego starszeństwa, był zawsze Guppym, a ja Wielką Paszczą. Właściwie po prostu okładaliśmy się pięściami, aż jeden z nas zaczynał krwawić albo płakać, albo przychodziła pora obiadu, ale zawsze z niechęcią odgrywałem narzuconą mi rolę Wielkiej Paszczy. Ciosy, które zadawałem, były prawdziwe, gniewne i niedbałe. W ich wyniku w latach poprzedzających naszą ostatnią wycieczkę do Guppington Estates Francis stracił jeden ząb i dwa razy miał podbite oko.

Estates był wymyślnym parkiem rozrywki. Znajdowała się tam Hardrockowa Kawiarnia Okoni, księgarnia Blowyego i wszystkie miejsca, gdzie - według jakiegoś genialnego specja od reklamy, któremu udało się mnie przekonać - często przesiadywały ryby. Mógłbym zadać moim rodzicom milion pytań typu: „Dlaczego Guppy nie mieszka pod wodą?” i „Dlaczego uwielbia pralinki?”, ale nie pamiętam takich dociekań. Przypominam sobie tylko idealnie

zadbane ulice Guppington Estates, a zwłaszcza rezydencję Guppy'ego. Była to najbardziej odjazdowa część parku. Wnętrze rzeźbiście oświetlały żyrandole, a w barku, można było nabyć pralinki i bezalkoholowy szampan. Na tyłach rezydencji stało olbrzymie akwarium z pleksiglasu, basen Guppy'ego. Miało pewnie z dziewięć metrów wysokości i tyle samo szerokości i było wypełnione błękitną pianą udającą wodę. Gdy rodzice kupowali ci bilety, wydawano kaski w kształcie głowy Wielkiej Paszczy. Potem wspinałeś się po schodach do krawędzi akwarium i czekałeś w kolejce na platformie. Jakiś facet w dwuipółmetrowym kostiumie Guppy ego stał na początku kolejki. Kiedy do niego doszedłeś, mogłeś uderzyć parę razy pięścią Guppy ego, a on, chociaż wcale nie czuł bólu, wydawał jakieś dziwaczne jęki i steki, żeby rodzice dostali to, za co zapłacili. Potem wołał: „Tego nie mogę znieść!” i walił cię w tyłek płetwą tak, że wlatywałeś ponad krawędzią akwarium do dołu z błękitną pianą. Wyglupiałeś się przez jakiś czas w pianie z innymi dzieciakami, a potem inny pracownik parku cię stamtąd wyciągał.

Może się to wydaje niebezpieczne, i słusznie. Platforma znajdowała się wysoko i była kiepsko ogrodzona. Zdumiewające jest też to, że żadne dziecko nie udusiło się nigdy w tej pianie. Pamiętaj jednak, że to był początek lat siedemdziesiątych i ani dzieci, ani rodzice nie wiedzieli za bardzo, co się, do diabła, dzieje. Trzeba było mieć osiem lat, żeby zanurkować do akwarium, i trzeba było nałożyć kask, ale to wszystko. Jestem pewien, że rozporządzenia o parkach rozrywki są teraz o wiele bardziej rygorystyczne, ale w tamtych czasach stawanie na krawędzi zawrotnie wysokiego akwarium Guppyego wydawało się zupełnie dozwolone dla dzieci. A przynajmniej było to dozwolone, zanim Guppy trzepnął mojego brata Francisa za mocno i Francis ześlizgnął się za zewnętrzną krawędź akwarium, runął dziewięć metrów w dół i uderzył głową w ziemię przed moimi rodzicami i przede mną. Wcześniej marudziłem przy podstawie akwarium, rozgoryczony tym, że jestem za mały, aby Guppy mógł mnie zdzielić płetwą. Francis spadł niecały metr ode mnie. Miał na głowie kask Wielkiej Paszczy, kiedy zleciał, ale usłyszałem trzask w jego szyi. Brzmiało to jak odgłosy na filmach: szybko, wyraźnie i pewnie, jakby rozerwano obojczyk kurczęcia. Wiedziałem, że Francis nie żyje, gdy tylko usłyszałem ten dźwięk i zobaczyłem jego dziwacznie wykręconą szyję. Wiedziałem to, zanim moja matka krzyknęła, zanim mój ojciec podbiegł do swojego bezwładnego syna z rybią głową. Wiedziałem, że mój brat nie żyje, i w tej samej chwili uświadomiłem sobie coś innego, coś, czego życie pełne koszmarów, bzdurna psychoterapia i wielomilionowe odszkodowanie przekazane mi przez nie istniejącą już Korporację Guppington Estates nigdy nie zdołały zatrzeć ani naprawić. Śmierć mojego brata była absurdalna. Był to wypadek, zgadza się, łańcuch nieprzewidzianych, nieszczęśliwych ułamków sekund, niemniej jednak mój brat leżał tam martwy w rybim kasku i jego głowa była wykręcona w głupi sposób, w jaki głowy nie powinny się wykręcać, i to było absurdalne.

Później, kiedy zobaczyłem Francisa w trumnie, płakałem, ponieważ zrozumiałem, że już nigdy mnie nie uderzy. Teraz mieszkam na Manhattanie i codziennie handluję akcjami

wartymi miliony dolarów, a Francis nigdy nie pozna tego miasta - blasku jego pieniędzy ani zapachu jego kobiet. Jeśli w pierwszym odruchu masz chęć powiedzieć: „Co za tragedia”, ja mam chęć wetknąć ci do gardła pistolet i nacisnąć spust. Nie było cię tam. Nie widziałeś wykręconej szyi Francisa ani jego głupiego rybiego kasku. Twoja matka nie umarła z rozpaczy z powodu tej szyi i tego kasku. Twój ojciec prawdopodobnie nie żyje jak pustelnik w swoim rodzinnym miasteczku w górach Adirondack i pewnie nie wysyłasz mu co miesiąc czeku, żeby utrzymywać go w błogiej izolacji. Śmierć mojego brata nie była tragiczna, była śmieszna. Był to czysty absurd, taka właśnie była śmierć Francisa, i owinęła się wokół mojego życia na zawsze, jak kaftan bezpieczeństwa z mocnymi zapięciami. - Każdego dnia budzę się w takim kaftanie bezpieczeństwa - absurdalności śmierci Francisa i bezsensowności niemal wszystkiego - mocno ściskającym moje ciało. Myję zęby, jem płatki, zarabiam pieniądze, piję whisky i potrafię się śmiać. Ale nic z tego wszystkiego nigdy nie rozluźnia kaftana bezpieczeństwa. Są tylko trzy rzeczy, które traktuję poważnie i które pozwalają mi się trochę odprężyć. Nigdy o nich nie zapominam: każdego dnia noszę przy sobie pistolet, co wieczór słucham księdza i prawie każdej nocy wiążę piękne kobiety w mojej sypialni.

Pistolet łatwo wytłumaczyć. Mam pozwolenie na tego czarnego SIG-a i noszę go na piersi w lewej wewnętrznej kieszeni garnituru, który akurat mam na sobie. Moje garnitury są drogie, zawsze czarne albo ciemnoszare, i jestem dość przystojny, także ludzie zawsze mi się przyglądają. Zauważają wypukłość garnituru na piersi, guz nad moim sercem. Wiedzą, że to pistolet, i patrzą na mnie ze strachem i ciekawością, zastanawiając się, czy go wyciągnę i zacznę strzelać. Nie podnieca mnie to, że nieznajomi się mnie boją, ani świadomość, że moich kolegów z pracy niepokoi mój gnat. Ekscytuje mnie to, że nie jestem tym, za kogo mnie biorą ci ludzie. Sądzą, że jestem niebezpieczny w przewidywalnych granicach - widzę to, kiedy ściskamy sobie dłonie, kiedy upieram się, że to ja zapłacę rachunek, a oni skwapliwie się na to zgadzają. Uważają mnie za silną, dobrze ubraną jednostkę, mężczyznę z pewnym kodeksem moralnym.

Jestem serdeczny i mam zasady, tak myślą. Wierzą, że jestem taki jak Guppy albo jakiś gangster, że użyję przemocy tylko wtedy, gdy mój honor albo honor ważnej dla mnie osoby zostanie splamiony. Przypuszczają, że moja broń jest narzędziem, którym wymierzam sprawiedliwość.

Na szczęście dla mnie, to bzdury. Wciąż chce mi się oddychać, bo wiem, że nie jestem w ogóle niewolnikiem zasad. Mogę wyjąć swojego SIG-a, kiedy mi się spodoba, i sprzątnąć czternaście osób znajdujących się najbliżej i zostanie jeszcze jedna kula dla mnie. Mogę zabić Ukrainkę siedzącą obok mnie w pociągu jadącym na przedmieścia albo Harrisona Phelpsa, nieśmiałego mężczyznę z działu obligacji mojej firmy. Mógłbym kupić tuzin róż, nie dla kogoś konkretnego, a potem zrobić dziurę w sercu dziewczyny, która sprzedała mi kwiaty. Mając SIG-a, mogę w każdej chwili wskoczyć do otchłani absurdu, która pochłonęła mojego brata, i jeśli będziesz za blisko mnie, kiedy skoczę, przypadkiem mogę ciebie też wciągnąć.

Zapewne odpowiesz na to, że jestem pokręconym typem. No i co z tego? Jeśli jesteś jednym z tych, którym się wydaje, że zasługują na prostą opowieść, że niby moim obowiązkiem jest jakieś objaśnianie czy uściślanie, pieprz się. Skąd wiedziałbyś cokolwiek o tym, kim jestem, co mnie gnębi, co mogę, a czego nie mogę znieść? Może jeśli mężczyzna w ogromnym kostiumie Guppy'ego złamie kark twojemu najlepszemu przyjacielowi, będziemy mogli porozmawiać. Dopóki to się nie zdarzy, pokornie proszę, żebyś się, kurwa, zamknął. Próbuje mówić o moim pistolecie, o księdzu i o kobietach, których nadgarstki trzyynam za ich plecami. Próbuje mówić o sprawach, które są potencjalnie absurdalne, ale które mogą także pokonać, unieszkodliwić absurd, choćby tylko na chwilę.

A więc ksiądz. Nazywa się ojciec Thomas Merchant. Jest proboszczem w kościele rzymskokatolickim pod wezwaniem Świętego Benedykta, który stoi dokładnie w połowie Wall Street. Oto wielka, szokująca niespodzianka: jestem katolikiem. To znaczy, że wiem o istnieniu Boga i że dorastając, co niedzielę słuchałem niewiarygodnie kiepskich utworów granych na gitarach akustycznych. Powiedzmy sobie jednak jasno: moja wiedza o istnieniu Boga nie zmienia tego, że mój brat nie żyje, i świat nie przestaje przez to być miejscem pełnym bólu. Tak, Jezus chodził pośród nas, i tak, dziś po południu może cię przejechać dostawcza półciężarówka wioząca pieluchy albo colę. Nie marnuję więc czasu i nie błagam Boga, żeby pomógł-’mi wygrać w Lotto albo żeby uchronił moje dzieci przed cierpieniem, albo żeby zaprowadził porządek na Ziemi. Bóg już pokazał wszystkim wyraźnie, że nie ma zamiaru tego zrobić. W związku z tym uważam, że mam pełne prawo mówić „kurwa”, kiedy mi się tylko spodoba, a także zarabiać i wydawać codziennie nieprzyzwoite sumy pieniędzy. Noszę garnitury od Armaniego, czytam taśmę z telegrafu tak samo, jak lekarze czytają EKG, i czekam na tę półciężarówkę z pieluchami, która mnie przejedzie. - Jaką rolę odgrywa w moim życiu ojciec Merchant? Co wieczór, po pracy, zakradam się do Świętego Benedykta, kiedy ojciec Merchant odprawia mszę, która zaczyna się o piątej. Udaje mi się zdążyć na ewangelię i kazanie. Nigdy nie siadam. Stoję z tyłu, w cieniu, za tacami ze świecami, i wychodzę po kazaniu. Nigdy nie przystępuję do komunii, ponieważ nie tylko noszę pistolet, ale też uwielbiam moją broń i potrzebuję jej w sposób, którego Bóg nie zaaprobował. Nie chodzę też nigdy do spowiedzi, z powodu tego, co Guppy zrobił Francisowi. Nie mogę się całkowicie zagłębić w trzeźwych rozważaniach na temat moich własnych win, jeśli wciąż istnieją mężczyźni przebrani za ryby, którzy łamią karki małym chłopcom.

Lubię jednak słuchać ojca Merchanta. Nie jest jednym z tych miękkich nowoczesnych facetów nauczających o mleku, ciasteczkach i moralnych furtkach. Ma potargane brązowe włosy i mocne brązowe zęby, jakby jadł piasek na pustyni.

- Przykazania są na pierwszym miejscu - mówi ojciec Merchant. - Błogosławieństwa na drugim.

Chodzi mu o to, że przejmowanie się łagodnym, miłosiernym zaprowadzaniem pokoju nic ci nie da, jeśli nienawidzisz swoich rodziców albo jeśli pieprzysz się z kimś, z kim nie

wziąć ślubu, albo jeśli nie potrafisz powiedzieć ludziom prawdy. Ojciec Merchant jest oczywiście niepopularnym kaznodzieją. Ma brzuch, a jego zęby są brązowe prawdopodobnie od palenia papierosów. W większość wieczorów jestem jedyną osobą poniżej czterdziestki u Świętego Benedykta, a garstka starszych kobiet w ławkach chyba nie całkiem zainspirowałaby młodych czy uradowała słabych. Chodzi mi o to, że nie ma u Świętego Benedykta żadnych upiększeń, żadnych przyjaznych grup młodzieżowych, żadnych flecistów, żadnych objawień. Ojciec Merchant jest przedstawicielem Boga, który oczekuje posłuszeństwa, a nie prób przekupstwa, i tak się składa, że jest to ten rodzaj Boga, który rozumiem, Bóg, który jest prawdą - nawet jeśli jest to prawda absurdalna - a nie pociechą.

Myślisz: „Dzikus”. Już wspominałem, że wiązę kobiety co wieczór albo trzymam ich nadgarstki za ich plecami, a więc myślisz: „Już wystarczy, przejdź do rzeczy”.

Świetnie, tylko nie jestem pewien, czy uznasz, że to jest seksowne. Dla mnie jednak jest.

Prawie codziennie spotykam naprawdę piękne kobiety. Spotykam je w barach, w metrze, w winiarniach, na ulicy. Jestem młody, bogaty, przystojny, nieżonaty i często pogrążony w myślach, a takiej kombinacji nie może się oprzeć żadna samica Homo sapiens. Poza tym bez najmniejszych skrupułów mówię, czego, do cholery, chcę, i większość kobiet uwielbia to także. Albo to uwielbiają, albo są przerażone, ale tak zaciekawione, że zgadzają się na randkę. Dam przykład. Trzy miesiące temu rozmawiałem z młodą niemiecką au pair o imieniu Eva. To dziewiętnastolatka o bujnych czarnych włosach i równie czarnych oczach. Nie jest chuda, ale ma zabójczą figurę, bardzo bladą skórę i jest nieskończenie zmysłowa. Kiedy pierwszy raz ją zobaczyłem, stała przed FAO Schwarz, trzymając za rękę chłopca o imieniu Rusty, którym się zajmuje. Patrzyli razem przez okno sklepu na olbrzymiego triceratopsa, zabawkę, i czerwcowy wietrzyk przycisnął krótką sukienkę Evy do jej ud. Od razu do niej podszedłem.

- Nazywam się Patrick Rigg - przedstawiłem się.

Eva przyjrzała mi się badawczo. Zobaczyła, że jestem niebezpieczny, ale ziewnęła. Nieskończenie zmysłowe kobiety umieją ziewać na rozkaz.

- Ojej - odezwała się. - Ja cię kręcę. Ale czadowo. Super.

- Ja jestem Rusty - poinformował chłopiec. Zignorowałem go.

- Nie jesteś chuda - zwróciłem się do Evy - ale masz zabójczą figurę.

Przestała ziewać. Popatrzyła na mnie krzywo, starała się wyglądać naiwnie.

- Zabójczą? - powtórzyła. - Figurę?

- Masz cudowne ciało - wyjaśniłem.

Wargi Evy lekko się rozchyliły. Już była moja. Rusty ciągnął ją za rękę, próbował jej o sobie przypomnieć.

- Dawno temu - stwierdził - triceratopsy wędrowały po Ziemi.

- Rusty - powiedziałem, nie spuszczać wzroku z Evy - jeśli wejdiesz do środka i zostawisz nas samych, kupię ci tego - triceratopsa.

Chłopiec wbiegł do sklepu.

- Hej! - zawołała za nim Eva.

- Zapomnij o nim - powiedziałem.

Eva patrzyła na swojego podopiecznego przez okno. Rusty szturchał sprzedawcę w ramię, podniecony wskazywał dinozaura.

- Nie powinieneś okłamywać dzieci - zauważyła Eva.

Mój Boże, kobiety są śliczne. Są śliczne i mają dar proroczy. Widziałem po prostej bawełnianej sukience Evy, po braku słońca w jej skórze, po sposobie, w jaki wietrzyk nawiewał jej włosy między zęby, że będzie w mojej sypialni jeszcze tego samego wieczoru i zdaje sobie z tego sprawę. Miała tylko dziewiętnaście lat, ale już wiedziała, jak skierować rozmowę o sobie na jakiś neutralny i nieistotny temat, w tym wypadku na Rusty'ego. Wiedziała, że jeśli to zrobi, jeśli będzie paplać bezsensownie przez chwilę, uda jej się odprężyć i pozwolić mi wzbudzić w niej pożądanie.

- Nie kłamałem - zapewniłem. - Kupię mu tego dinozaura.

Eva zaglądała do wnętrza sklepu przesłoniętego przez towary z wystawy. Wiedziała, że nie powinna na mnie patrzeć.

- Ten dinozaur będzie kosztował setki dolarów. Może nawet tysiąc - stwierdziła.

- Dobrze - powiedziałem.

Eva uśmiechnęła się i sprawa była załatwiona. Spotkała się później ze mną Saks na Piątej Alei, kiedy skończyła pracę. Wydałem cztery kawałki na jedwabną sukienkę, buty na obcasie i nowy makijaż dla niej, a potem zabrałem ją na obiad do Duramgans; tam zabieram wszystkie moje kobiety. Przed jedenastą byliśmy już w moim mieszkaniu, w mojej sypialni, w ciemnościach. Ostrzem scyzoryka rozciąłem sukienkę, zsunąłem ją z ciała Evy i owinałem wokół jej szyi jak szal. Eva stała wyczekująco w staniku i majtkach, z jedwabiem na szyi, spodziewając się, że zdejmę z niej wszystkie ubrania, położę ją i zaraz ją wezmę. Ale nie zrobiłem tego. Trzymałem nadgarstki Evy za jej plecami i kazałem jej patrzeć na siebie samą w moim lustrze do ubierania. Trzymałem ją tak przez godzinę, coraz bardziej rozgrzaną i niespokojną, potem ubrałem ją spodnie od dresu i T-shirt, zamówiłem jej taksówkę i wysłałem do domu. Może żałujesz teraz, że nie ma jakiegoś seksualnego numeru alarmowego, pod który mógłbym zadzwonić i opowiedzieć o swojej psychozie. Jeśli tak jest, nie masz wyobraźni w sprawach seksu, i dam ci spokój, bo widocznie wystarcza ci twoja żalosna pozycja misjonarska. Jeśli jednak jesteś zaintrygowany, wyznam ci parę tajemnic. Jedną jest to, że nie pieprzę kobiet, skoro Bóg tego zakazał. Nie jestem prawiczkim - zdarzały mi się potknięcia - ale znam słuszne zasady równie dobrze jak ty. Ich przestrzeganie to już wyłącznie twoja sprawa, a jeśli masz ochotę na spory, poszuka, jezuitę. Ja chcę mówić o najpiękniejszych tworach na planecie, kobiecych ciałach, chcę im oddać cześć. Jeśli jesteś kobietą i dość już się nasłuchałaś zachwyty nad sobą, trudno. Mam zamiar powiedzieć, czego chcę, i jeśli wołałabyś, żeby cię poniżano, lekceważono czy po prostu cierpliwie znoszono, znajdź sobie jakiegoś głupiego kochanka który będzie cię bezmyślnie posuwał dla

własnej przyjemności, albo może jakiegoś pijaka, który będzie cię prał po twarzy. Ja mam inne wymagania estetyczne, a oto one. Kobiety chronią mnie przed absurdem. Możesz o mnie myśleć, co chcesz, ale kiedy oglądam wiadomości i widzę tysiące Ekwadorczyków zabitych przez huragan albo kiedy ciężarówka z pieluchami przejeżdża przechodnią, albo kiedy prześladowają mnie myśli o rybiej szyi mojego brata, muszę pobiec do najbliższej pięknej kobiety, jaką znam, i wydać na nią tyle pieniędzy, ile tylko mogę, poświęcając jej równie dużo uwagi. Tylko to pomaga, rozluźnia kaftan.

Niezupełnie wiem, dlaczego tak jest, i nie za bardzo mnie to obchodzi. Jakiś cyniczny naukowiec skądś tam z pewnością krzyczałby mi w twarz o biologii i twierdziłby, że mój podziw dla kobiecych piersi, bioder i fryzur jest oparty na feromonach i nieświadomy. Cóż, dla tego faceta też mam kulę. Mężczyzna, u którego pociąg do kobiet nie rodzi się w duszy, nigdy nie będzie zdolny czcić ich tak, jak ja to robię. A kobieta, która nie potrafi nauczyć się upajać własnym ciałem - która z niechęcią stawia siebie samą na piedestale i nie pozwala na to mężczyźnie - nie jest warta moich starań. I tak stawiam ją na piedestale tylko po to, żeby do niej dołączyć, kiedy już będzie na górze. O północy, w pokoju, w którym śpię, kiedy krzyżuję nadgarstki kobiety za jej plecami i przytrzymuję ją, rozebraną do bielizny, przed lustrem, proszę ją nie tylko o to, żeby poczuła, jaką mam nad nią władzę, ale żeby zobaczyła, rozumiała i pokochała władzę, jaką ona ma nade mną. Chcę, by wiedziała, że samo przebywanie blisko jej ciała, jej gestów podnieca mnie i sprawia mi przyjemność. Zwykle stare pieprzenie by tego nie przebiło, a może dałoby mi mniej.

Większość kobiet dopiero po dłuższym czasie przekonuje się do mojej odmiany intymności, jeśli w ogóle im się to udaje. Tak jak malarz, któremu pozują modelki, zwykle trzymam każdą z moich kobiet tylko przez godzinę, i nigdy w mojej sypialni nie ma tej samej kobiety częściej niż raz w tygodniu. Mimo to wiele z nich odchodzi po tej pierwszej godzinie - pierwszym wieczorze - bo obrażają się za to, że ich nie wydymałem. Wierz mi, te, które uciekają tak szybko, są i tak stracone. Są skazane na przyszłość i małżeństwo pozbawione długiej, powolnej zmysłowości, która rozpala ogień między mężczyznami a kobietami. Te kobiety jednak, które wracają do mojej sypialni, są wspaniałe, zgadzają się znieść bolesną obojętność. Stawiam je przed moim lustrem i szybko uczą się zasad.

Zasady są takie, że kobieta ma na sobie swój stanik, bieliznę i sukienkę, którą akurat tego dnia jej kupiłem, rozerwałem na strzępy i zawiązałem na jej szyi. Ja mam na sobie garnitur i na tym etapie nigdy go nie zdejmuję. Nie ma pocałunków i pieszczot, nie wymieniamy słów, nie ma śmiechu czy muzyki. Trzymam skrzyżowane nadgarstki kobiety za jej plecami i moje dłonie są bezlitośnie zaciśnięte. Dzięki temu kobieta wie, że jest bezradna. Wie, że mogę ją wziąć, jeśli będę chciał. Ale po pewnym czasie - kiedy rozumie już, że jej nie wezmę, ale i tak ciągle do mnie wraca - dzieje się coś zdumiewającego. Kobieta zaczyna zapominać, że tam jestem. Wpatruje się w siebie, poznaje swoje ciało i, jeśli wszystko idzie dobrze, zaczyna kochać to, co widzi, zaczyna rozumieć, że stworzenie w lustrze jest czymś nadzwyczajnym,

eleganckim, okrytym godnością, czymś, co nie ma być brane lekką ręką albo chwywane i obnażane zbyt szybko.

Czasami kobiety zaczynają wariować na swoim punkcie. Niektóre miotają się i próbują wyrwać rękę, żeby ją wcisnąć między swoje uda. Nigdy im na to nie pozwalam. Chcę, żeby dochodziły tak bardzo, jak one same tego pragną, ale chcę w tym uczestniczyć i chcę, by nasza radość była ogromna. Mniej więcej po miesiącu półnagich wieczorów przed lustrem podbijam stawkę i przenoszę kobietę do mojego łóżka. One często przypuszczają, że przyszedł czas na pieprzenie, ale są w błędzie. Powiem wam, jak to przebiegło w wypadku Evy, nie dalej niż w zeszłym miesiącu.

- Podejdz do łóżka - powiedziałem jej.

Posłuchała mnie. Była północ ciepłego sierpniowego czwartku - zawsze mam ją u siebie w czwartki - i Eva stanęła u stóp łóżka. Lekki wietrzyk wpadający przez otwarte okno zdmuchnął jedwabny szal na jej ramiona. Szal był jasnoszary. Godzinę wcześniej była to sukienka. Zbliżyłem się, stanąłem twarzą do Evy. Jestem od niej wyższy o pół głowy.

- Pamiętasz, ile kosztowała mnie ta sukienka? - zapytałem.

- Dwa tysiące dwieście dziewięć dolarów i siedemdziesiąt siedem centów - odparła.

Perfumy Evy, Serendipity, drażniły mi przyjemnie nozdrza. Wszystkie moje kobiety używają Serendipity.

- Jesteś pod wrażeniem pieniędzy, które na ciebie wydałem? - zapytałem.

Eva skinęła głową. Za oknem, na Hudson, widać było blask księżyca.

- Czy jesteś ich warta? - zapytałem.

- Tak.

- Czy jesteś piękna? - zapytałem.

- Zapieram dech w piersiach.

Nie uśmiechała się i trzymała ręce wzdłuż boków, kiedy mówiła. Patrzyła mi prosto w oczy. Była gotowa.

- Zdejmij majtki i stanik. Zostaw szal.

Eva wypełniła szybko moje polecenie, potem znów stanęła przede mną na baczność. Jej rodzice są mechanikami samochodowymi, tak więc kiedy zdjęła, bieliznę, zobaczyłem dziewiętnastoletnią niemiecką au pair z ciężkimi piersiami, która potrafi śpiewać dzieciom słodkie piosenki i zespawać złamane podwozie samochodu. Odurzające.

- Jesteś niewiarygodna - powiedziałem, patrząc na nią.

- Czy dotkniesz mnie? - zapytała Eva. Wiedziała już, że nie może niczego z góry zakładać.

Pokręciłem głową.

- Zwiążę cię. Połóż się na łóżku, na plecach, z głową na poduszce.

Wiele kobiet, które są całkiem zadowolone, kiedy je trzymam przed lustrem, nie pozwala się przywiązywać do czterech słupków łóżka. Eva nie jest jedną z nich.

- Przysuń kostki i nadgarstki do słupków tak blisko, jak możesz.

Eva zrobiła to. Wyciągnąłem parę starych krawatów z pudełka, które stało pod moim łóżkiem, i przywiązałem ją mocno.

- I co teraz? - zapytała. Uśmiechnąłem się do niej z wysoka.

- Teraz zawołam moich przyjaciół.

„Zbiorowy gwałt!” - myślisz. - „Zboczeniec i świr!” Słuchaj, przestań zakładać, że mnie znasz. Już ci mówiłem, że nie możesz się wczuć w moją sytuację, bo twój brat nie został zabity przez Guppy’ego. A więc jeśli nie zajmujesz się przywiązywaniem kobiet do słupków łóżka prawie co wieczór, nie udawaj, że wiesz, jak się do tego zabieram i w jakim celu.

- Leż cicho - pouczyłem Evę. - Cokolwiek się będzie działo, kiedy zjawi się moja paczka, leż cicho.

Spojrzała na mnie. Koniec owiniętego wokół jej szyi szarego jedwabnego szala opadał gładko na jej brzuch. Miała trochę naturalnego strachu w oczach, ale kiwnęła głową na znak zgody. Boże, ależ ta Eva jest zmysłowa.

Natychmiast wyszedłem z sypialni i zamknąłem za sobą drzwi. Podniosłem słuchawkę telefonu i zwołałem moich przyjaciół, tak jak to robię w większość wieczorów koło północy. Jedną z moich dziwnych cech jest to, że potrzebuję tylko około dwóch godzin snu na dobę. Zwykle śpię od szóstej do ósmej rano. Dzieje się tak od dnia, w którym Guppy zabił Francisa. Nie wiem, czy to moje ciało czuje, że musi uważać na przebranych za ryby szaleńców z morderczymi skłonnościami, czy chodzi o coś innego, w każdym razie kiedy zapada noc, prawie nigdy nie narasta u mnie znużenie, tak jak u innych ludzi. Zazwyczaj kiedy już wyślę do domu kobietę, którą przytrzymałem w bieliźnie przed moim lustrem, ogarnia mnie po prostu nuda i muszę zebrać zestaw ciekawych postaci, żeby przedłużyć swoje zainteresowanie życiem.

Oto ludzie, do których dzwonię. Dzwonię do Jeremy’ego Jaxa, mojego dawnego współlokatora z college’u, który obecnie gra rolę niezadowolonej myszy w pewnej offbroadwayowskiej sztuce. Nigdy nie widziałem tego przedstawienia i nigdy go nie zobaczę, ponieważ widok ludzi w kostiumach ogromnych myszy przypominałby mi o Guppym i możliwe, że po prostu wyciągnąłbym mojego SIG-a i zacząłbym strzelać. Jeremy jest jednak w zabawny sposób ponury i nie ma szczęścia do kobiet. Z prawdziwą przyjemnością gawędzę i piję z nim whisky w moim salonie. Opowiada mi o swoim nie istniejącym życiu seksualnym, nie wiedząc, że naga młoda kobieta, którą przywiązałem do łóżka, czeka na mnie w sąsiednim pokoju.

Dzwonię także do Nicole Bonner, dziewczyny, która mieszka wiele pięter nade mną, i do Waltera Glorybrooka, ulicznego sprze, dawcy ho t dogów mieszkającego piętro niżej. Mój budynek, kamienica Preemption, powszechnie uznawany jest za gotycki, nocny punkt zborny, w którym rozpoczęcie imprezy o północy w ciągu tygodnia jest czymś zwykłym. Dzwonię do tego gościa Checkersa, łowcy głów, i czasami budzę mojego współlokatora, Jamesa Brancha,

prawdziwego samotnika, i zmuszam go do zabawy z innymi. Dzwonię też do pięknych kobiet z Manhattanu i wszystkie wiedzą, kiedy przychodzą, że jedna z nich jest przywiązana do mojego łóżka. Każda z nich godzinami leżała w takich samych warunkach, bezradna, zobowiązana do milczenia, zmuszona do słuchania brzęku szklanek, podczas gdy sama drzemała, patrzyła na księżyc, przeklinała mnie, pragnęła mnie albo pragnęła samej siebie.

Zawsze jest tak samo. Kobiety wiedzą, że Kocham i szanuję ich ciała, a mężczyźni nie wiedzą o mnie niczego poza tym, - że lubię z nimi pić i słuchać ich opowieści. Nie są oni nawet, w przybliżeniu tak zamożni jak ja i jeśli ich nieustanna gadanina o cipkach i polityce ukazuje ich prawdziwe oblicza, nie dzielają mojej czujności wobec Boga i absurdu. To mi nie przeszkadza. Staram się żyć zgodnie z przykazaniami, ale to nie znaczy, że uważam siebie z tego błahego powodu za sędziego ludzkich charakterów czy kogoś w rodzaju rzecznika Boga. Moje obsesje są skrajnie niezwykle, moi przyjaciele zaś mogą swobodnie wdychać kokainę, rabować albo kochać Jezusa, jak im nakazują sumienia. I tak zapraszam tych facetów tylko po to, żeby się z nimi napić i pośmiać. Przypuszczam, że jestem w ich oczach bogatym, cierpiącym na bezsenność, sympatycznym wampirem, stworzeniem, które prawdopodobnie zajmuje się czymś podejrzanym, ale na szczęście nie zamierza ich zgładzić.

Jeśli chodzi o kobiety, to nie ma potrzeby, żeby ubierały się uwodzicielsko, ale i tak to robią. Jak już wspomniałem, zwykle zapraszam tylko kobiety, które trzymałem przed lustrem i przywiązywałem do łóżka w mojej sypialni, i gromadzenie tych weteranek niezmiernie mnie podnieca. Wiele z nich zjawia się często, chociaż wiedzą, że wszystkie inne obecne tam kobiety łączy ze mną taka sama fizyczna przeszłość. W każdej chwili mogą się one zjednoczyć, wpaść do mojej sypialni, która nie jest zamknięta na klucz, i w bachicznym szale zazdrości rozszarpać znalezione tam Ewę, Julie czy Justine przywiązaną tego wieczoru do łóżka. Nigdy się to jednak nie zdarza. Zamiast tego rozmawiam z nimi. Nawijuję rozmowę i jest to coś, czego nigdy nie robiłem w sypialni, czego większość z nich pragnie bardziej niż seksu. Dotykam na przykład nadgarstka jednej z kobiet, kiedy nalewa sobie dżinu, i pytam, czy ma rodzeństwo. Siadam obok którejś z nich na kanapie, tak że nasze kolana stykają się lekko, i pytam, jaka muzyka ją zachwyca. Te pytania - tak trywialne na większości randek - mają znaczenie i swoisty urok, ponieważ znam te kobiety od tak dawna. Odwróciłem typowy bieg wydarzeń. Znam już fizyczność kobiety tak gruntownie, mimo że jej nigdy nie pieprzyłem - a ona tak mało wstydzi się swojego ciała w mojej obecności - że wszystko, co teraz do siebie mówimy, jest zogniskowaną rozkoszą. Możemy rozmawiać swobodnie, bez konwenansów czy oczekiwań, i słucham tej kobiety - która już pokazała mi, że potrafi być szczerą i bezsilną - i zaczynam ją coraz bardziej lubić.

Ostatnia faza mojego wieczoru wygląda następująco. Gdy już odeślę przyjaciół, a mój współlokator pójdzie spać, i odwiążę Ewę czy kogoś innego, ubiorę ją i też wyślę do domu, bez najlżejszego pocałunku na dobranoc, pozostanie jedna osoba. Będzie to kobieta, którą w ciągu wielu poprzednich miesięcy trzymałem przed lustrem i nagą przywiązywałem do łóżka,

z którą rozmawiałem na moich przyjęciach. Będzie to kobieta, którą wybrałem na początku tego wieczoru spośród wszystkich. Poprosiłem ją, kiedy przyszła, żeby nie piła alkoholu, ponieważ nie może ograniczać swojego umysłu i ducha. Schowa się w łazience, kiedy będę odsyłał kobietę, która była tego wieczoru przywiązana do łóżka. Potem, o piątej nad ranem, z mojej łazienki wyjdzie kobieta, która tak dobrze zna siebie i tak bardzo wierzy w moją troskę o nią, że kiedy leży naga i nie przywiązana tym razem na moim łóżku, a ja - nagi przed nią po raz pierwszy - dołączam do niej, całuję jej wargi i kładę palce na jej żebrach nad sercem, może osiągnąć orgazm prawie natychmiast, od najbliższego dotknięcia. Mówię zupełnie poważnie. Następuje znacznie więcej dotykania, którego charakteru dżentelmenowi nie wolno zdradzić. Wystarczy powiedzieć, że bez cudzołóstwa i tradycyjnego stosunku zdobywam z tą kobietą seksualne szczyty i odwiedzam sfery, które wzbudziłyby w aniołach chęć stania się ludźmi. Kiedy jesteśmy już zaspokojeni i wyczerpani, moje dwie godziny snu zwijają się w kłębek blisko mnie i trzymam kobietę mocno, wacham jej włosy, i ból w mojej piersi po śmierci mojego Francisa ustaje na jakiś czas.

Niech się zacznie przesłuchanie. „Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?” - pytasz. Dlaczego nie mogę pogodzić się ze śmiercią Francisa? Co powiedziałyby Kościół o rnoich wyczynach z kobietami? I dlaczego tak wiele kobiet? Dlaczego nie wybiorę tylko jednej, takiej, która mogłaby mnie uszczęśliwić, rozśmieszyć, takiej, z którą mógłbym się ożenić? Cóż, odpowiem ci szczerze: skąd mam, kurwa, wiedzieć? Mówię ci tylko, co na mnie działa, co powstrzymuje mnie od wpakowania sobie kulki w serce. Co do Francisa, to nie będę opowiadać ze szczegółami o każdym talerzu słodczy, który zjadłem wspólnie z bratem, o każdym wspomnieniu, które mi po nim zostało, tylko po to, żeby wzbudzić współczucie albo odmalować wzruszające tło moich motywów. Po pierwsze, to by mnie zabiło, a po drugie, już wspomniałem, że nic ci nie jestem winien. Co się tyczy kochania tak wielu kobiet, moje podstawowe wytłumaczenie jest takie. Kiedy spotkam kobietę, która sprawi, że będę potrzebował i pożałował tylko jej, wtedy nie będę potrzebował i pragnął wszystkich innych. Może ta jedna jedyna pasująca do mnie kobieta jest dorosła, cudowna i przebywa właśnie tutaj, w Nowym Jorku. Może ma zaledwie osiemnaście lat i mieszka na Tahiti. Wiem tylko, że kiedy mnie pozna i stanie przed moim lustrem, zakocha się boleśnie w sobie samej jak żadna kobieta przed nią, a ja zobaczę to, rzucę się na nią i nigdy już nie pozwolę jej odejść.

Jeśli chodzi o rozpatrywanie mojego życia seksualnego w świetle nauk Kościoła, powiedziałbym, że w przerwach między swoimi przykazaniami Bóg pozwala nam postępować z całą delikatnością i niezależnością, na jaką nas stać. Tymczasem, jeśli spodziewasz się dalszego rozwoju postaci ojca Merchanta, masz cholernego pecha. Znam tego człowieka mniej więcej tak samo dobrze, jak mężczyźni, których zapraszam, znają mnie, to znaczy wcale. Nie jestem prawdziwym parafianinem u Świętego Benedykta, i nigdy nawet nie widziałem ojca Merchanta, kiedy nie przemawiał z ambony, a ja nie stałem w ciemnościach za świecami. Tak jest lepiej. Jestem oddzielony od wszelkiego współczucia,

jakie mógłby dla mnie mieć, a zresztą okazywanie takiego współczucia, zamazującego mu obraz sytuacji, nie należy do jego zadań. Kiedy jesteś miłosierny albo kogoś kochasz, nie masz pozwalać, żeby twoja prawa ręka wiedziała, co robi lewa. To znaczy, że nie powinno cię obchodzić, ile pieniędzy posyłam mojemu tacie albo daję na organizacje kościelne, a ja nie mam żadnego interesu w tym, żeby ci to powiedzieć. Właściwie gdybym był lepszym człowiekiem, nie powiedziałbym ci w ogóle, że daję cokolwiek. Taki jest mój problem, kiedy mam cokolwiek wyznać, czy to księdzu, czy komuś przypadkowemu, takiemu jak ty. Muszę być dla siebie bezwzględny i nie ujawniać zbyt wielu szczegółów o tym, w jaki sposób całuję kobiety i przywieram do nich, ponieważ zaczniesz myśleć, że powinienes mnie zrozumieć, litować się nade mną albo mnie naprawić.

W końcu jestem tylko człowiekiem i mógłbym złamać wszelkie zasady, którymi, jak ci już mówiłem, kieruję się w życiu. Jestem przewrażliwiony na punkcie śmierci Francisa i mam pistolet, mógłbym więc bardzo szybko go wyciągnąć, gdyby ktoś kiedyś naprawdę chciał mnie wykiwać. Prawdopodobnie myślisz, że wiążąc wszystkie te piękne kobiety, mogę w każdej chwili przekroczyć granicę, za którą zaczyna się gwałt. No cóż, pewnie. Jestem silniejszy od każdej z tych, które dotąd trzymałem, i mógłbym bardzo łatwo wcisnąć rybi kask Francisa - który trzymam pod łóżkiem - na głowę jakiejś kobiety, żeby była oślepią, zdezorientowana i anonimowa. Potem mógłbym rznąć jej ciało do woli. Równie łatwo mógłbym zastrzelić mojego współlokatora i wytworzyłbym w ten sposób absurd. Kobieta mogłaby mnie błagać, żebym przestał, ale gdyby miała głowę okonia, Wielkiej Paszczy, niełatwo by mi było uwzględnić jej argumenty.

To psychol, myślisz. Świr i potwór. Cóż, jeszcze tego nie zrobiłem, prawda? Nikogo nie zgwałciłem ani nie zamordowałem, zgadza się? Uszczęśliwiłem wiele kobiet i nawet jadłem z niektórymi śniadanie. Nawet dziś rano Eva była w moim łóżku i oboje siedzieliśmy nadzy, ze stosem ciepłych prześcieradeł i koców na ramionach, jakbyśmy byli królem i królową. Jedliśmy grejpfruty i patrzyliśmy przez okno na ptaka, który ćwierkaniem przyzywał świt. Niebo było srebrzyste.

- Jaki to ptak? - zapytała Eva. - Wróbel?

- To pterodaktyl - powiedziałem. Uśmiechnęła się szeroko.

- Pterodaktyle wymarły. Wędrowały po Ziemi dawno temu, razem z triceratopsami.

Eva miała swojego grejpfruta, a ja swojego. Każde z nas miało własną miseczkę i własną łyżkę.

- A więc to feniks - stwierdziłem. Eva trąciła mnie łokciem.

- Feniksy są mityczne. Spalają się, a potem powstają z własnych popiołów.

Ptak wciąż świergotał. Pocałowałem blade, ciepłe ramię Ewy.

- To tylko wróbelek - powiedziała.

- Nie - odparłem. - To coś wspaniałego.

MĘSKI WIECZÓR

Douglas Kerchek uczył angielskiego ostatnią klasę w St. Agnes High School, mieszczącej się na rogu Zachodniej Dziewięćdziesiątej Siódmej Ulicy i Broadwayu. Wśród dziewcząt z jego grupy wyróżniała się Nicole Bonner. Była najwyższa, miała bowiem ponad metr siedemdziesiąt wzrostu, najstarsza - skończyła dziewiętnaście lat, i najbystrzejsza - dostawała same szóstki. Douglas uważał, że nie jest najładniejsza - nie miała czego przeciwstawić zadartemu nosowi Rhondy Phelps czy tyłeczkowi w kształcie serca Meredith Becker-mann - ale niebezpiecznie ponętna. Miała równo przystrzyżone czarne włosy jak Kleopatra i mądre niebieskie oczy, a jej ostatnie wypracowanie o Otellu kończyło się takim liścikiem:

Drogi Panie Kerchek, Wczoraj wieczorem czytałam w łóżku Fear and Loathing in Las Vegas. To dziecinne, egocentryczne sztuczki. Chyba nie lubię wystarczająco narkotyków, chociaż moi rodzice każą mi pić z nimi brandy co wieczór. Uważają to za czuły gest.

Widziałam Pana wczoraj przed szatnią, kiedy zmieniał Pan buty, żeby pobiegać, i Pana kostka wyglądała na siną. O co Pan nią uderzył?

Z poważaniem Nicole Bonner Ten przypisek wzbudził w Douglasie pewien niepokój. Sam nie lubił Huntera S. Thompsona, ale Nicole napisała także „w łóżku” i wspomniała o jego siniaku. Nicole miała taki zwyczaj: wybierała przypadkowe, intymne szczegóły z otaczającego ją świata i zwracała na nie uwagę Douglasa. Tego dnia zrobiła to na lekcji.

- Jagona przepelnia żądza., panie Kerchek - powiedziała Jill Eckhard.

- Jest makiawelicznym sukinsynem - uznała Rhonda Phelps.

- Wie pan, jakie słowo doskonale mówi się na głos wiele razy? - Nicole Bonner żuła kosmyk swoich włosów. - Płukać. Proszę o tym pomyśleć, panie Kerchek. Płukać. Płukać.

Tego wieczoru, jak zawsze, Douglas wracał pieszo do swojej podniszczonej kawalerki. Miał trzydzieści jeden lat, mieszkał sam, pięć przecznic na północ od szkoły, w kamienicy wypełnionej Meksykanami, którzy pili pabsta i każdego wieczoru rozgrywali hałaśliwe partie pokera w holu na parterze, przed jego mieszkaniem. Nadali Douglasowi przezwisko Uno, bo zawsze kiedy z nimi siadał, wypijał spokojnie jedno piwo, a potem się żegnał.

- Uno - zachichotali Meksykanie. - Chodź i weź nasze pieniądze, Uno.

Dwunastoletni Chiapas zagrzechotał puszką z piwem.

- Chodź, weź swoje lekarstwo, Uno.

Douglas uśmiechnął się blado, machnięciem ręki pokazał im, że nic z tego nie będzie, i otworzył kluczem swoje drzwi.

Płukać, pomyślał, marszcząc brwi. Płukać. Płukać.

Zjadł szybko kanapkę i zabrał się do poprawiania wypracowali. Ostro oceniał. Miał krótkie czarne baki z nitkami siwych włosów, sylwetkę boksera i harwardzki doktorat z literatury angielskiej, ale nie miał żony czy dziewczyny. Wszystko to sprawiało, że Douglas stanowił niewyczerpane źródło intryg dla kobiecej społeczności szkoły - zarówno świeckiej

części grona pedagogicznego, jak i uczennic. W rzeczywistości prowadził siedzący tryb życia. Kochał książki, był zapalonym, samotnym kinomanem i co miesiąc Chiapas, którego ojciec prowadził w pobliżu zakład fryzjerski, go strzygł. Ogólnie Douglas był spokojnym i, jak sądził, szczęśliwym człowiekiem. Był też jedynym mężczyzną uczącym w St. Agnes. Cheryl, Audrey i Katya, trzy niezamężne kobiety z grona pedagogicznego, gotowe były zacząć się z nim umawiać na randki z poczuciem misji, ale nie ciągnęło go do koleżanek z pracy. Cheryl nosiła krzykliwe odcienie zamszu, od których kręciło mu się w głowie, Audrey zaliczyła, już dwóch mężów gliniarzy, a Katya, mimo swoich długich nóg i litewskiego akcentu, była okrutna dla dziewcząt. Tak więc Douglas spędzał wieczory sam. Oglądał filmy, poprawiał wypracowania i od czasu do czasu gawędził z Chiapasem i resztą towarzystwa. Tego akurat wieczoru ledwie zajął się stosem wypracowań, zadzwonił telefon.

v - Halo? - westchnął Douglas. Spodziewał się, że będzie to jego matka, która co tydzień telefonowała z Pensylwanii, żeby sprawdzić, czy jej syn jakimś cudem się nie zaręczył.

- Dobry wieczór, panie Kerchek. Douglas zmarszczył brwi.

- Nicole?

- Tak, proszę pana.

- Skąd wzięłaś ten numer?

- Z segregatora w gabinecie dyrektorki. Jak tam pana kostka? Douglas kichnął, dwa razy. Robił to instynktownie, kiedy nie wiedział, co powiedzieć.

- Na zdrowie - odezwała się Nicole.

- Dziękuję - powiedział Douglas. Rozejrzał się, jakby istniała możliwość, że jego mieszkanie nagle wypełni się uczennicami.

- Jak tam pana kostka?

- Jest... wszystko w porządku. Uderzyłem się o kaloryfer.

- Naprawdę?

Prawda była taka, że Douglas poślizgnął się pod prysznicem jak staruszek.

- Tak, naprawdę. Nicole...

- Czy wie pan, co się dzieje z moją kostką, gdy prowadzimy rozmowę?

- Nie.

- John Stapleton ją liże. Lubi też skubać moje palce u nóg. Douglas mrugnął kilka razy.

- John Stapleton to domowy syjam. Czasami liże, kiedy indziej skubie.

- Rozumiem - powiedział Douglas. Nastąpiła dłuższa chwila milczenia.

- John Stapleton to kot - poinformowała Nicole.

- Oczywiście - zgodził się Douglas.

- Czy lubi pan gnocchfi.

Douglas położył wypracowania na kanapie obok siebie.

- Słucham?

- Gnocchi. Włoskie kluski z ziemniaków. Jedliśmy je dziś wieczorem na obiad. Ojciec robi je sam co czwartek. To jedyna rzecz, jaką ojciec gotuje, ale jest w tym dobry.

Douglas oparł nieszczęsną kostkę na kolanie.

- A więc lubi je pan? - zapytała Nicole.

- Gnocchfi - Tak.

- Tak.

- „Tak” znaczy, że je pan lubi, czy że zrozumiał pan, o co pytałam?

- Tak. To znaczy tak, lubię je. Nicole Bonner zaśmiała się.

- Kiedy powinny zacząć przychodzić odpowiedzi z college'ów? - zapytała. - Już prawie kwiecień.

Douglas przywitał ten temat z ulgą.

- Może już w tym tygodniu. Ale przyjmą cię wszędzie. Musisz tylko wybrać to, co ci odpowiada.

- Chcę studiować w Princeton.

Douglas ujrzał w wyobraźni, jak Nicole siedzi na łóżku w akademiku, czyta., je zupeł. Wyobraził sobie workowate rękawy swetra zakrywające jej nadgarstki.

- Fitzgerald tam był - powiedziała Nicole.

- Tak.

- Był nałogowym alkoholikiem.

- Tak.

- Czy wiedział pan, że John Stapleton przeszedł szkolenie toaletowe?

Douglas zaśmiał się raz, głośno. Zwykle zdarzało się to tylko w kinie, kiedy był sam i film był absurdalny.

- Szkolenie toaletowe. Co to znaczy?

- To znaczy, że korzysta z toalety, jak człowiek. Kuca na brzegu muszli i robi swoje, a potem naciska łapą sfluczkę. Jest bardzo porządny.

- Nicole - powiedział Douglas.

- To prawda, proszę pana. Wyszkozenie go zajęło ojcu mnóstwo czasu, ale udało mu się. Nie mamy nawet kosza na śmieci. Ojciec był w piechocie morskiej.

Douglas spojrział na zegarek.

- John Stapleton to niezwykle imię dla kota.

- To jest niezwykle kot - stwierdziła Nicole.

- Chyba powinienem już się rozłączyć, Nicole. Możemy porozmawiać jutro w szkole.

- W porządku. Nie chcę panu przeszkadzać wieczorową porą.

- Nie ma sprawy.

- Naprawdę?

- No cóż. To znaczy, nie sprawiłaś mi kłopotu. Ale, ehm, porozmawiamy jutro w szkole.

- Niechybnie - powiedziała Nicole i odłożyła słuchawkę.

Douglas napisał wcześniej Nicole list polecający do Princeton. Przedstawił ją w taki sposób:

Kiedy Nicole pędzi przez boisko do hokeja na trawie, odbrażawia Whitmana czy każe mi wysłuchać wykładu o filmach Woody'ego Allena, wykazuje niepohamowaną żywość umysłu i wielkoduszną wytrwałość. Każdego wieczoru czyta całą powieść, nie żeby komuś zaimponować, tylko dlatego, że uwielbia to robić. Jest zorganizowana, bystra i życzliwa, a kiedy stwierdza, że chce coś osiągnąć - udowodnić swoje racje, zdobyć piłkę, wynająć zespół na bal maturalny - dąży do tego z czarująco bezwzględną stanowczością.

Douglas był dumny ze swoich rekomendacji, w których uczniowie aż błyszczeli na papierze. Był to jeden z niewielu przejawów próżności, na jakie sobie pozwalał. Douglas uważał, że w kwestii układania zdań, w mowie czy w piśmie, obdarzony został pewnym talentem, mianowicie zawsze wiedział, co powiedzieć. Dlatego rano, po telefonie od Nicole, obudził się z uczuciem zakłopotania. Dziesięć minut rozmawiał z dziewiętnastoletnią dziewczyną i przez cały ten czas język mu się plątał. Poza tym w nocy śniło mu się, że idzie boso plażą z Nicole. W tym śnie miała na sobie czarne bikini pasujące do młodzieżowego samochodu i śliczną niebieską przepaskę na włosach jak Jackie Kennedy, on zaś zielone dżinsy Toughskins i koszulę z juty. Za każdym razem, kiedy fale obmywały im stopy, Douglas uciekał i wrzeszczał: „Uważaj na krowy morskie!”

Śmieszne, pomyślał. Krępujące. Włożył elegancką marynarkę i krawat, postanowił zrobić tego dnia nie zapowiedzianą kartkówkę.

W pokoju nauczycielskim Douglas zmusił się do rozmowy o drobiazgach z Cheryl, odzianą w zamsz matematyczką. Kiedy dzwonek oznajmił początek lekcji z dwunastą klasą, Douglas wkroczył pewnie do swojej sali.

- Panie Kerchek. - Meredith Beckermann wyskoczyła zza swojej ławki. - Jill chce pana prosić, żeby przyszedł pan dzisiaj obejrzeć mecz softballu, ale pan obiecał, że będzie na naszym pojedynku retorycznym z Regis, pamięta pan?

- Pamiętam - potwierdził Douglas.

- Wazelina - warknęła Jill do Meredith. Meredith rzuciła Jill wściekle spojrzenie.

- Precz z moich oczu - prychnęła.

Douglas obrzucił wzrokiem salę. Jego grupa składała się z sześciu dziewcząt, gwiazd najstarszej klasy w szkole. Były to Meredith i Jill, które się właśnie kłóciły, wystrzałowa i ambitna Rhonda Phelps, agnostyczka Kelly DeMedr, Nancy Huck, która zawsze była na wakacjach; i Nicole Bonner, która siedziała przy oknie.

- Gdzie jest Nancy? - zapytał Douglas.

- Na Bermudach - powiedziała Rhonda. - Nurkuje ze swoją ciotką.

Jill stuknęła ręką w swój egzemplarz Otella.

- Czy możemy porozmawiać o ostatnim akcie?

- Desdemona to pierdoła - stwierdziła Meredith.

- Meredith - ostrzegł Douglas.

Spojrzał na Nicole, potem na Kelly. Mówiły najmniej z tej szóstki, Kelly dlatego, że rozwijała w sobie duchowe znużenie, a Nicole dla - tego, że... Cóż, pomyślał Douglas, Nicole to Nicole. Wyraz jej oczu, kiedy wyglądała przez okno, przypominał mu chłopięce czasy, kiedy wpatrywał się w lustro w przebieralni swojej matki, zastanawiając się, kto mieszka po drugiej stronie.

- Test ze słownictwa - powiedział.

Dziewczęta wyjęły błyskawicznie długopisy i czyste kartki papieru.

- Trzy synonimy, pochodzenia łacińskiego, słowa „wojowniczy”. - Douglas myślał głośno. - Dwa antonimy słowa „zagmatwany”. Jeden przykład synekdochy. Dodatkowe punkty za podanie tytułów czterech książek Melville’a. Macie pięć minut.

Dziewczęta natychmiast zaczęły pisać. Douglas patrzył na nie z czułością. Były uzdolnionymi młodymi kobietami i wiedział, że każda z nich zwycięsko wyjdzie z tej lekcji i wszystkich przyszłych zajęć z literatury. Spacerował, wpatrując się w ich pochylone głowy, nasady włosów i płatki uszu, zastanawiając się, ile z nich wybierało się na bal maturalny z chłopcami, ile może zostać nauczycielkami, jak szybko Rhonda wyjdzie za mąż. Wywrócił oczami, gdy popatrzył na kartki Meredith i Jill: każda z nich miała już siedem synonimów słowa „wojowniczy”. Kelly skończyła w ciągu trzech minut i teraz rysowała szubieniczne pętle - swój znak firmowy - na wszystkich literach T. Douglas zajrzał przez ramię Nicole. Jej kartkę rozjaśniała smuga światła słonecznego. Nie podała na niej żadnych list wyrazów, a jednak pracowicie tworzyła zdania. Douglas przyjrzał im się i wstrzymał oddech. Nicole napisała słowo w słowo, z pamięci i bezbłędnie, całą pierwszą stronę Moby Dicka. Douglas zaczekał, żeby zobaczyć, czy zabraknie jej wiedzy albo odwróci głowę i popatrzy na niego, ale tak się nie stało. Nie przypominał sobie, aby on albo jakaś nauczycielka z St. Agnes prosili kiedyś dziewczęta, żeby uczyły się na pamięć i recytowały Melville’a.

Douglas nachylił się. Czuł zapach malinowego szamponu Nicole. Napisał pospiesznie na marginesie jej kartki: „Nie o to prosiłem”.

Nicole nie podniosła wzroku, tylko przekreśliła tę uwagę i napisała: „Robię coś o wiele, wiele lepszego”.

- Odłóżcie długopisy - polecił - Douglas.

Po pracy wykonał swoją codzienną dawkę ćwiczeń: pół godziny podnoszenia ciężarów i kilkukilometrowy bieg po Central Parku. Kiedy wrócił do szkoły, zostało mu akurat tyle czasu, żeby wziąć prysznic przed pojedynkiem retorycznym. Przed szatnią jednak, na parapecie okiennym, dwa i pół metra nad ziemią, leżała na plecach Nicole Bonner.

- Jak tam weszłaś? - wydyszał Douglas. Był zasapany po biegu.

- Przyfrunęłam. - Nicole usiadła i skrzyżowawszy nogi, przyjrzała się badawczo swojemu nauczycielowi.

Douglas miał wyjątkową możliwość obejrzenia jej kostek, które wcale nie były sine. Miała na sobie szkolny mundurek i niskie czarne pantofle.

- Co czytałaś' wczoraj wieczorem? - zapytał.

- The Moviegoer Walkera Percy'ego. Czy wiedział pan, panie Kerchek, że tysiące biegaczy umierają co roku na atak serca w trakcie ćwiczeń?

- Sądzę, że nie biegam wystarczająco szybko, aby sforsować serce, Nicole.

Dziewczyna z parapetu nie machała nogami.

- Sforsować to słowo, które doskonale mówi się na głos wiele razy. Sforsować. Sforsować.

- Powiniennem wziąć prysznic - powiedział Douglas. Nicole wycelowała weń palec.

- Dlaczego właściwie powinnam iść do collegeu? Proszę mi podać jeden dobry powód.

- Mnóstwo czasu na czytanie - odparł. Nicole zeskoczyła z parapetu obok niego.

- Mogę to uznać -'powiedziała i odeszła.

Trzy tygodnie później, w połowie kwietnia, Douglas otrzymał zaproszenie. Zdarzyło się to w deszczowy czwartek, na początku szkolnego poranka. Chwilę przed nabożeństwem w kaplicy Nicole Bonner wetknęła głowę do pokoju nauczycielskiego. Douglas i Ka-tya Zarov siedzieli obok siebie na kanapie. Douglas czytał gazetę, a Katya właśnie zauważyła, że w pończosze poleciało oczko.

- Panie Kerchek - odezwała się Nicole.

Douglas i Katya podnieśli wzrok.

- Uczniowie nie mogą tu wchodzić - przypomniała Katya.

- Panie Kerchek, muszę z panem porozmawiać na osobności. - Ręce Nicole były splecione z przodu. Miała na sobie jak zawsze, mundurek, a na ręce srebrną bransoletkę ozdobioną delfinami z jadeitu.

Douglas wstał. Katya lekko parsknęła.

Gdy wyszedł na korytarz, Nicole rzuciła mu uśmiech.

- Przyjęli mnie do Princeton.

Douglas zobaczył przelotnie w wyobraźni, jak ściska swoją uczennicę. Klepnął ją raz po ramieniu.

- To wspaniale - powiedział. - Gratulacje.

Nicole skinęła krótko głową. Pod pachą miała Biblię, co zaskoczyło Douglasa.

- Moi rodzice i ja chcielibyśmy podziękować panu za list polecający i dlatego prosimy, żeby zjadł pan z nami obiad w ten czwartek, u nas.

- Cóż... to bardzo uprzejme, ale nie ma potrzeby.

- Podamy gnocchi, które ojciec sam" przygotuje. Zapewniłam ojca, że lubi pan gnocchi.

- Nicole... - zaczął Douglas.

Zabrzmiął dzwonek wzywający wszystkich do kaplicy.

- Powiedział mi pan, że lubi pan gnocchi, panie Kerchek.

- O tak, lubię - potwierdził szybko Douglas - ale... słuchaj, Nicole, jestem bardzo dumny z tego, że dostałaś się do Princeton, ale nie musisz...

- Czytam Apokalipsę. - Nicole stuknęła palcem w Biblię. - Gdyby się pan zastanawiał.

Obok nich przetaczała się fala paplających, zmierzających do kaplicy dziewcząt.

- Chodź, Nicky - ponagliła ją Rhonda Phelps.

- Dzień dobry, panie Kerchek - przywitała się Audrey Little, napalona nauczycielka biologii.

Nicole przechyliła głowę na bok.

- Czy wiedział pan, panie Kerchek, że w Apokalipsie są opisane stworzenia pokryte całkowicie gałkami ocznymi?

Douglas pokręcił głową. Miał lekki zawrót głowy, potrzebował ibuprofenu.

- Moi rodzice i ja będziemy oczekiwać pana o siódmej w czwartek. - Nicole zrobiła krok do tyłu. - Mieszkamy w kamienicy Pre-emption, na rogu Zachodniej Osiemdziesiątej Drugiej i Riverside.

- Preemption? - zawołał Douglas, ale Nicole Bonner już odeszła.

W czwartek po południu Douglas ostrzygł się w zakładzie fryzjerskim na rogu. Chiapas, który nie miał jeszcze półtora metra wzrostu, stał na skrzynce od mleka i przejeżdżał maszynką elektryczną po bakach Douglasa, uśmiechając się do niego w lustrze.

- Przyszedłeś tydzień wcześniej, Uno. Gorąca randka dziś wieczorem?

Douglas uśmiechnął się z przymusem.

- Taak, zgadza się.

Chłopak gwizdał melodię, której Douglas nie znał. Ponieważ Chiapas był tylko uczniem, strzygł klientów za darmo.

- Założę się, że masz randkę, Uno. Założę się, że będziesz jadł ostrygi z Grace Kelly gdzieś na mieście. - Chiapas wiedział o filmowym nałogu Douglasa.

- Au. - Douglas uchylił się i obrócił głowę. Pięć centymetrów pod przedziałkiem maszynka wygryzła mu włosy do skóry.

- O kurczę. - Chiapas wzruszył ramionami. - Przepraszam, Uno.

Douglas pomacał palcami rowek.

- Chiapas. Akurat dzisiaj. Oczy chłopca zabłyśły.

- Naprawdę masz randkę. I Douglas zaczerwienił się.

- Nie mam.

Chiapas obejrzał głowę Douglasa. Ślad po wycięciu włosów miał kształt pytajnika bez kropki.

- Nie martw się, Uno. Wygląda świetnie. Ona będzie zachwycona.

- Nie ma żadnej kobiety - upierał się Douglas.

O siódmej dotarł do Preemption. Miał na sobie sportową marynarkę z wielbłądziej wełny i przyniósł niemiecki tort czekoladowy z Cafe Mozart. Najpierw pomyślał o winie, ale w końcu uznał, że byłoby to niestosowne, gdyż Nicole jest jego uczennicą.

W holu wyszedł mu na spotkanie wysoki czarnoskóry portier z owalną blizną na czole. W rogu, na wyściełanym krześle, siedział młody mężczyzna w eleganckim czarnym garniturze. Jego twarz wyrażała wrogość.

- Douglas Kerchek? - zapytał portier. - Tędy.

Douglas poszedł za portierem do wymagającej ręcznej obsługi starej windy firmy Otis. Kątem oka obserwował siedzącego w holu młodego mężczyznę. Kłapa jego marynarki była lekko odchylna i jeśli Douglas się nie mylił, pod spodem miał pistolet.

- Najwyższe piętro. Na dachu. - Portier wprowadził gościa do windy, pociągnął za dźwignię i wyszedł. - Bonne chance.

Drzwi zamknęły się i winda ruszyła. Rozejrzał się. Była archaiczna, miała mahoniowe ściany, które pachniały jak coś, czego Douglas nie potrafił nazwać, może jak średniowieczna biblioteka mnichów albo wnętrze ślicznej trumny. Kiedy wysiadł, drzwi do apartamentu Bonnerów były już otwarte. Nicole stała oparta o futrynę.

- Dobry wieczór, panie Kerchek.

Douglas starał się nie wytrzeszczać oczu. Dziewczyna miała na sobie najwspanialszą suknię wieczorową z czarnego jedwabiu, jaką kiedykolwiek widział. Leżała ona na liniach i łukach ciała Nicole tak doskonale dopasowana, jakby materiał utkano wokół dziewczyny, gdy stała tam w drzwiach. Suknia była tak samo czarna jak jej włosy i Douglas, który na chwilę puścił wodze fantazji, odniósł wrażenie, że ten jedwab składa się z rozkruszonych czarnych diamentów i atramentu z kilku kałamarnic. Nadgarstek dziewczyny zdobiła miała bransoleta z jadesitowymi delfinami.

- Cześć, Nicole - przywitał się Douglas. - Wyglądasz... naprawdę ładnie.

- Ma pan pytajnik na głowie - zauważyła.

Douglas kichnął dwa razy. Nicole życzyła mu zdrowia. Za nią pojawili się mężczyzna i kobieta.

- Moi rodzice - oznajmiła Nicole, nie patrząc na nich.

- Samson - przedstawił się mężczyzna.

- Paulette - rzuciła z uśmiechem kobieta.

- Douglas Kerchek.

Samson Bonner przypominał ogromny instrument dęty. Miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i jego tułów, chociaż w okolicach brzucha opadał do przodu, wydawał się imponująco umięśniony. Miał tubalny, basowy głos, tak że prawie krzyczał, i czarne oczy. Był znanym adwokatem o niezachwianych konserwatywnych poglądach.

Jego żona, Paulette, była chuda i prosta jak flet.

- Nauczyciel, nauczyciel - zaszcebiotała. - Zapraszam, zapraszam.

Weszli do środka i Samson Bonner zamknął drzwi, a Paulette zniosła pospiesznie do pokoju pudełko z tortem, które wręczył jej Douglas.

- Koktajle - zagrział Samson.

Douglas rozejrzał się. Apartament Bonnerów był jaskinią podobną do tych, jakie w filmach zajmowali niegodziwi mieszczenie pokroju Leksa Luthora. Wielki salon miał wysoki sufit i marmurową posadzkę. Wzdłuż całej jednej ściany na półkach stały oprawione w skórę książki, pochodzące może z tej samej biblioteki mnichów, której zapach czuł w windzie. W pokoju były też dwie ciemnozielone kanapy, szklany stół nakryty do obiadu, kominek, w którym buzował ogień, dębowe drzwi prowadzące do gabinetu, i trzy wysokie okna. Roztaczał się z nich widok na Manhattan rozpostarty jak mapa, której używano do planowania przestępczych akcji. Douglas domyślał się, że na krawędzi dachu za oknami zamocowano gargulce, i miał rację.

Po krótkiej nieobecności do pokoju wkroczyła Paulette Bonner, niosąc tacę ze szklankami i mikser do koktajli.

- Fikołki z brandy, fikołki z brandy. - Paulette postawiła tacę na stoliku przy kanapach.

- Nasza rodzina pije brandy, Douglas - oświadczył Samson. - Jesteśmy miłośnikami brandy.

- Ho, ho - powiedział Douglas. Miało to zabrzmieć wesoło i entuzjastycznie.

Rozdzielono drinki. Kobiety usiadły na jednej kanapie, mężczyźni na drugiej. Samson Bonner miał na sobie świetnie skrojony garnitur w kolorze kości słoniowej. Jego żona, czarnowłosa tak jak Nicole, była w szarej sukience. Trzaskał ogień. Douglas popijał swojego drinka, który miał smak limety. W jego rodzinnym miasteczku, Allentown w Pensylwanii, rzadko dodawano do drinków sok z limety.

- Jestem taki dumny z Nicole - powiedział Douglas. - Ehm, państwo na pewno też.

- Jesteśmy, jesteśmy - wyszeptała Paulette.

- Cóż, do cholery. - Samson Bonner uderzył Douglasa pięścią w ramię. - Princeton ma zespół koszykarski, w którym grają same białe chłopaki, ale to nie znaczy, że są bez szans. Chyba się nie mylę?

- Nie - zgodził się Douglas. Boleśnie odczuł uderzenie.

- A więc stawiają na podania - stwierdził Samson. - A więc to jest stara szkoła, urywają się obrońcom i wbiegają pod kosz. Więc o co chodzi?

- Tak się cieszymy, że pan przyszedł - odezwała się Paulette. Douglas spoglądał raz na matkę, raz na ojca Nicole. Mimo że mieli tyle regałów z książkami, nie mógł się jeszcze zorientować, czy interesują się literaturą tak jak ich córka.

- Jak smakuje panu fikołek? - zapytała Nicole.

- To brandy z dodatkiem Cointreau - wyjaśniła Paulette.

- I limetami! - krzyknął Samson. Douglas uśmiechnął się i skinął głową.

- W każdym razie - powiedział Samson - posłuchajmy tego człowieka. - Klepnął Douglasa po plecach.

Zapadła cisza. Douglas głupio szczyrzył zęby do wszystkich, aż nagle zrozumiał.

- Co takiego, to znaczy mnie?

- Pewnie, że ciebie - ryknął Samson. - Oczywiście., że ciebie. Bonnerowie patrzyli wyczekująco na Douglasa.

- Cóż. - Nauczyciel Nicole podrapał się po niedawno oszpeconej głowie. - Co chcielibyście usłyszeć?

- Cholera, nie wiemy. - Samson zaśmiał się.

- Chcecie się czegoś o mnie dowiedzieć? Że jestem z Pensylwanii, takich rzeczy? - Douglas popatrzył na Nicole.

- Nie - powiedział Samson. - Naucz nas czegoś'.

- Tak. - Oczy Paulette błysnęły.

- Naucz nas czegoś - powtórzył Samson - bo inaczej nie dostaniesz gnocchi, Douglas wybuchnął śmiechem. Nikt się do niego nie przyłączył.

Nicole odchrząknęła.

- Ojciec mówi poważnie, panie Kerchek, Douglas przestał się śmiać.

- Jak to?

- Czasami dzieje się z nim coś takiego - powiedziała Nicole. - Musi pan nauczyć czegoś jego i moją matkę, bo bez tego wieczór nie ruszy do przodu.

Douglas przyjrzał się swojej uczennicy. Zrozumiał, że nie żartuje, i szybko odwrócił wzrok. Włosy Nicole były zaczesane gładko do tyłu i Douglas obawiał się, że jeśli będzie wpatrywał się zbyt długo w szpic na jej skroniach, jej ojciec, żołnierz piechoty morskiej, to zauważy.

- Ehm. Czego chcielibyście się nauczyć?

- Cholera, nie mamy wielkich wymagań. - Samson znów walnął Douglasa pięścią.

- Proszę ich nauczyć jakiegoś słowa - podpowiedziała Nicole. - Czegoś szybkiego. Jestem głodna.

Douglas przesunął się na brzeg kanapy, poza zasięg pięści Sam-sona. Pomyślał o rzeczach, na których dobrze się znał. Pomyślał o książkach.

- Wydaje mi się - zaczął - wydaje mi się, że mógłbym wam powiedzieć, dlaczego moim zdaniem Szekspir nazwał króla Leara królem Learem.

Paulette wydawała się zaniepokojona, jakby Douglas był w niebezpieczeństwie.

- Leer to niemieckie słowo, które znaczy „pusty”. A Kroi Lear jest sztuką egzystencjalistyczną. Tytułowa postać na końcu popada w szaleństwo, mieszka na odludziu w szafasie, jak Hiob. To człowiek odarty ze wszystkiego, zupełnie sam wobec prawdy o sobie. - Douglas uniósł brwi. - Pusty człowiek.

- Brawo! - krzyknął Samson.

Wymierzył cios w ramię Douglasa, ale ten szybko wstał. Nalał sobie świeżego fikołka.

- Pusty, pusty. - Paulette wydawała się zachwycona. Nicole przymrużyła oczy.

- Nas pan - tego nigdy nie uczył.

- Co takiego? - zapytał Douglas.

- Czytaliśmy Króla Leara w listopadzie w zeszłym roku. Nie uczył nas pan niczego o niemieckim. O imieniu.

Douglas wzruszył ramionami. Odstawił mikser do koktajli.

- Cóż, to tylko moja teoria. Nie mam na to dowodów.

- Mylisz się. - Samson wskazał Douglasa palcem. - To prawda. Poznają prawdę, kiedy ją słyszę.

- Cóż...

- To prawda, a ty ją odkryłeś. - Samson pokazał Douglasowi uniesione kciuki. - Wieczór może ruszyć do przodu.

Nicole wstała.

- Myślę, że to jest cholernie samolubne. - Patrzyła gniewnie na swego nauczyciela.

- Co? - zapytał.

- Pan - rzuciła szyderczo Nicole. - To, że trzyma pan swoją cenną teoryjkę w całkowitej tajemnicy przed swoimi uczennicami.

- Zaraz, chwileczkę - zaczął Douglas.

- Nie. - Nicole skrzyżowała ramiona pod piersiami w taki sposób, że Douglas nie mógł tego zignorować. - Jest pan naszym nauczycielem, panie Kerchek. Ma pan odsłaniać swoje myśli z pożytkiem dla nas, dziewcząt.

- Wygląda na to, że zachował trochę myśli dla siebie. - Samson mrugnął.

- To tylko teoria - podkreślił Douglas.

- Hm. - Nicole uniosła podbródek i Douglas zobaczył jej szyję, zacienione ostrze jej dekoltu. - Jestem zupełnie rozczarowana - pokażdym razem, kiedy popatrzył na Nicole, ona odwzajemniała jego spojrzenie. Ogólnie Douglas dobrze się bawił. Chardonnay osiadło lekko w jego głowie i stwierdził, że zastanawia się nad przypadkowymi sprawami, na przykład jak Yankees poradzą sobie w tym sezonie, jak zimno jest na dworze i jak kragła Nicole mogła się rozwinąć w chudej jak patyk Paulette. Gnocchi zniknęły z talerzy.

- Cóż, dziewczęta - zagaił Samson - przejdźmy do konkretów.

Paulette postawiła przed każdym z obecnych kieliszek brandy.

- Co to za konkrety? - zapytał z uśmiechem Douglas, otarłszy usta serwetką.

- Uważamy, że powinieneś się ożenić z Nicole - stwierdził Samson.

Douglas kichnął cztery razy z rzędu. Wszyscy życzyli mu zdrowia.

- Słucham?, - Paulette i ja chcielibyśmy, żebyś zawarł małżeństwo z naszą córką. Naszym jedynym dzieckiem.

Douglas ze zdumieniem wpatrywał się w Bonnerów. Siedzieli i uśmiechali się uprzejmie. Nicole miała minę, która zawsze, pojawiała się na jej twarzy chwilę przed świetnie napisanym sprawdzianem. Nikt się nie śmiał.

- Oczywiście żartujesz - odezwał się w końcu.

- Ależ nie. - Samson Bonner wypił łyk brandy. - To nie jest próba, Doug.

- To prawda, panie Kerchek.

Douglas znów poczuł w żołądku bokserskie podniecenie. Kiedy był młody, brał udział w Piątkowych Męskich Wieczorach, cotygodniowych spotkaniach w klubie Towarzystwa Dżentelmenów. Dżentelmeni byli to ciężko pracujący mieszkańcy Allentown, którzy w piątkowe wieczory w umeblowanym magazynie pili whisky i grali w karty. Co weekend przyprawdzali tam grupę wybranych chłopców z miejscowych szkół średnich. Aby zasłużyć na obiad, befszytk z polędwicy, chłopcy nakładali rękawice i walczyli na pięści na oświetlonym brezentowym „ringu” pośrodku magazynu, a mężczyźni pili i kibicowali im głośno. Zaproszenie do boksowania w czasie Męskiego Wieczoru było najwyższym zaszczytem, jakiego mógł dostąpić chłopiec z Allentown, a Douglasa wyznaczano czternaście razy do walk w jego kategorii wagowej. Wygrał dwanaście z tych pojedynków, jeden przez nokaut, i nigdy nie złamano mu nosa. Nawet teraz w niektóre wieczory, krótko przed zaśnięciem, Douglas przypominał sobie, jak bił się na ringu z bratem Heather Angelony, Carmine'em. Carmine był od niego cięższy niemal o pięć kilogramów i zwyciężał na punkty aż do trzeciej rundy, kiedy to Douglas trafił go hakiem, po którym Carmine leciał przez chwilę nad podłogą, po czym upadł nieprzytomny. Mężczyźni zebrani w magazynie ryknęli jak lwy. Zadźwięczał gong. Douglas przypominał sobie wlatujący mu do nosa dym z cygar, krew na swojej twarzy i nie zakrwawioną, o dziwo, twarz Carmine'a. Patrząc, jak pan Angelona cuci syna solami trzeźwiącymi, Douglas miał jednocześnie ochotę zwymiotować i wsunąć język do ust Heather. Douglas potrząsnął głową, zaczął myśleć jaśniej. Wstał.

- Nicole - powiedział surowo. - Co tu się dzieje? Czy to jakiś żart, jakiś dziwaczny rodzinny numer?

- Nie. - Nicole położyła spokojnie czubki palców na stole. - Moi rodzice naprawdę chcieliby, żeby pan się ze mną ożenił. Ja także.

- Proszę, usiądź, Douglas - odezwała się Paulette. Tym razem w jej tonie nie było żadnej lekkomyślności. Douglas usiadł.

- To... to jest szaleństwo - stwierdził. - Po prostu jemy obiad. Samson Bonner walnął w stół knykciami.

- Do diabła, synu, Paulette i ja jesteśmy szczęśliwym małżeństwem od dwudziestu pięciu lat, i wiesz co? Mój ojciec to wszystko ustawił. Ojciec Paulette był jego współnikiem w firmie prawniczej.

- Moje panięskie nazwisko to Depompis - poinformowała Paulette.

- Zgadza się - potwierdził Samson. - Depompis. W każdym razie nasi ojcowie uznali, że Paulette i ja będziemy do siebie pasować. Cóż, uważamy, że ty i Nicole też do siebie pasujecie.

Douglasowi kręciło się w głowie.

- Omówiliście to? Całą rodziną?

- Pewnie - powiedział Samson. - Siedzieliśmy co wieczór przez tydzień.

- Przepraszam, panie... Przepraszam, Samson, ale nawet mnie nie znasz.

- Och tam, do diabła. - Samson trzepnął ręką powietrze, jakby latały tam komary. - Nicole cię zna. Mówi, że każdego wieczoru oglądasz film, tak samo jak ona co wieczór czyta książkę.

- To cudowne - oświadczyła Paulette. Douglas wpatrywał się w swoją uczennicę.

- Nicole, masz dziewiętnaście lat.

- We wrześniu skończę dwadzieścia - odparła.

- Postanowiliśmy, że powtórzy rok - wyjaśniła Paulette; - Była wtedy w trzeciej klasie.

- Cóż, a więc dwadzieścia - powiedział Douglas.

- Miała kłopoty z wymawianiem, głosek - dodała Paulette.

- Przepraszam. - Douglas głośno odchrząknął. Bonnerowie uciszeli się nawzajem.

- Posłuchajcie - przemówił Douglas - wy... ja... To był wspaniały posiłek, ale... cóż, czy nie postępujecie wszyscy całkiem niedorzecznie? Jak usiłowałem zauważyć...

- Młody człowieku - przerwał mu Samson - czy Nicole nie wydaje ci się atrakcyjna?

Douglas zamknął usta. Spodziewał się ciągle, że zza zasłony wyskoczy gospodarz teleturnieju, ale nikt się nie pokazał. Na wprost Douglasa, przy stole, w nieprawdopodobnie czarnej sukni siedziała Nicole i przyglądała mu się bezlitosnymi niebieskimi oczami. Po raz pierwszy Douglas naprawdę się zastanowił, jak by to było, gdyby została jego żoną. Pomyślał o Lillian Marx, ostatniej kobiecie, z którą się spotykał, miłośniczce jazzu. Wyobraził sobie, że trzyma Nicole za rękę, że jedzie z nią kabrioletem do Montauk, a w radiu grają dziwaczne zespoły punkowe, które, jak wiedział, lubiła. Zaczerwienił się.

- Religia nie jest problemem - zagrzmiał Samson. - Nicole za142.

pewnia mnie, że należysz do tradycyjnego Kościoła episkopalnego, tak jak my. Ona podziwia twój intelekt, a ty zawsze stawiasz jej szóstki. A więc w czym widzisz problem, Doug? Douglas nacisnął kąciki oczu kciukami.

- To po prostu... wydaje się trochę nagle, proszę pana. Samson parsknął.

- Douglas - odezwała się Paulette. - Naprawdę robisz na nas wielkie wrażenie. Szczególnie teraz, kiedy się poznaliśmy.

Douglas usiadł wyprostowany.

- Tak. Cóż. Jak próbowałem powiedzieć wcześniej, Nicole jest ode mnie o jedenaście lat młodsza. Czy to nie wydaje się... kłopotliwe?

- Nie - odparł Samson. - Ja jestem o dwanaście lat starszy od Paulette.

- Panie Kerchek - powiedziała Nicole. - Czy pan wiedział, że w dawnych wiekach dziewczyna często była zameżna i rodziła potomstwo, zanim skończyła czternaście lat?

- Nie spieszmy się tak z tym rodzeniem potomstwa - zachichotał Samson.

- To nie jest średniowiecze, Nicole. - Douglas przełknął jednak trochę brandy. - Nie byłaś nawet w college'u.

- Cóż, idę tam, prawda?

- Oczywiście, że tak. - Paulette wydawała się urażona. - Mąż mojej córki nie może odebrać jej prawa do zdobycia wykształcenia.

„- Chwileczkę - powiedział Douglas.

- Hej - warknął Samson. - Możesz dostać rękę mojej córki, Doug, i damy wam trochę pieniędzy na początek, ale w sprawie Princeton nie ma negocjacji. Nie próbuj jej namawiać, żeby z tego zrezygnowała.

- Nie próbowałem.

- Żadnego namawiania - powtórzyła Nicole. Douglas westchnął ciężko.

- Muszę skorzystać z łazienki.

- Cóż, do diabła - skwitował Samson. - Kto by nie musiał? Paulette wskazała korytarz.

- Trzecie drzwi po prawej.

Douglas wyszedł szybko z pokoju. Jego umysł był mglistą plamą. Pomyślał o swoim niemieckim torcie, który nie został podany i zjedzony. Przypomniał sobie pewne zajęcia z metodyki, na których wykładowca ostrzegł go, żeby uważał na uczennice i na ich zauroczenia.

Czy to właśnie to? - zastanawiał się. Zauroczenie?

Drzwi do łazienki były lekko uchylone. Douglas miał je właśnie całkiem otworzyć, kiedy usłyszał szelest spuszczonej wody., - Przepraszam - powiedział automatycznie.

Cofnął się zdziwiony. Po paru chwilach drzwi ustąpiły pod delikatnym naciskiem i z łazienki wyłonił się czarny kot. Zatrzymał się przy nogach Douglasa i popatrzył w górę prosto na niego.

- John Stapleton - szepnął mężczyzna.

- Mru - powiedział kot.

Oszołomiony Douglas stał nieruchomo. John Stapleton poskubał krótko czubek lewego buta Douglasa, jakby sprawdzał jego smak, po czym ruszył korytarzem i zniknął w ciemnościach.

To szaleństwo, pomyślał Douglas. Ten wieczór, ta rodzina, ten kot, wszystko to było kompletnie zwariowane. Ale kot wydawał się omenem i kiedy Douglas mył twarz i dłonie, kiedy oglądał swoją idiotyczną fryzurę i oddychał głęboko jak na siłowni, żeby się uspokoić, myślał o Nicole. Myślał o skromnych srebrnych kolczykach, które zawsze nosiła. Przypomniał sobie o Melville'u, którego zapisała sobie w pamięci, o jej podziwieniu dla powieści Grahama Greene'a, o bezwzględności, z jaką ścisnęła swoją rękę, kiedy grała w

hokeja na trawie. Jej ulubionym filmem była Filadelfijska opowieść, i trudno mu było podważać słusność takiego wyboru. Słyszał kiedyś, podczas debaty na lekcji etyki, jak żarliwie wyrażała sprzeciw wobec kary śmierci, i widział, jak trzymała w ramionach malutkie dziecko jednej z nauczycielek.

- Chciałbym porozmawiać z Nicole na osobności - oznajmił po powrocie do salonu.
- Oczywiście, że byś chciał - potwierdził Samson.
- Na osobności, na osobności. - Paulette uśmiechnęła się ze znużeniem do Douglasa.
- Udostępniam wam mój gabinet. - Samson wstał i uściśnął mu dłoń.

Zostali sami. Drzwi gabinetu były zamknięte. Nicole zdjęła buty i usiadła na tapczanie, podwinąwszy złączone nogi. Douglas przycupnął pod przeciwległą ścianą, na brzegu drewnianego krzesła, którego górną poprzeczkę zdobił herb. Pomyślał, że może to być herb rodziny Bonnerów, ale nie zapytał o to. Nicole wyłamała palce.

- Za minutę zacznę mówić na pana Douglas, a nie pan Ker-chek.
- Och, naprawdę? Nicole westchnęła.
- Panie Kerchek, proszę po prostu posłuchać. Mam zamiar powiedzieć parę rzeczy.

Douglas zebrał myśli. Za drzwiami, na zielonej kanapie, małżeństwo piło brandy, może głaskało Johna Stapletona. On był w gabinecie z upartą młodą kobietą.

- Panie Kerchek - zaczęła Nicole. - Wie pan, że jestem bystra. Że potrafię myśleć i dużo czytam, tak jak pan, kiedy miał pan dziewiętnaście lat. Ale wiem też, jaki jest świat, panie Kerchek.

Douglas patrzył na nią. Mówi poważnie, pomyślał. Mówi śmiertelnie poważnie.

- Wiem - ciągnęła Nicole - jak długo ludzie żyją w tym mieście, nie mogąc znaleźć nikogo, kogo by mogli pokochać. Jestem młoda, ale wiem, że samotność jest smutna. - Nicole roztarła stopy. - Znam faceta z tego budynku, który przywiązuje dziewczyny do swojego łóżka, bo myśli, że wyleczy się w ten sposób z samotności. Właśnie o takim smutku mówię.

- Świetnie, Nicole. Ale co to ma wspólnego z nami? Nicole położyła palec na wargach.

- Wiem, że czasami zachowuję się irracjonalnie, Douglas. Wstrzymał oddech. Czuł coś w kręgosłupie, może strach.

- Na przykład dziś wieczorem - podjęła Nicole. - Ta sprawa z królem Learem. Ale teraz coś, o czym prawdopodobnie nie wiesz. Widziałam cię w Film Forum w zeszłym tygodniu.

Douglas znów się zaczerwienił.

- Wyświetlali Rewolwerowca z Gregorym Peckiem. To było w zeszły wtorek, seans o dziewiątej. Zobaczyłam reklamę w gazecie i po prostu wiedziałam, że tam będziesz. Więc też się wybrałam.

Douglas próbował sobie przypomnieć, co miał na sobie tego wieczoru, jakie słodycze ze sobą przyniósł. Flanelową koszulę? Gumisie?

- Siedziałam pięć rzędów za tobą i patrzyłam na twoją sylwetkę. Widziałam, że podziwiasz tego faceta, który grał barmana. Wiesz, faceta z Na nabrzeżu.

Douglas zamknął oczy. Ona ma rację, pomyślał. Ma dziewiętnaście lat i ma rację.

- W każdym razie, czy się ze mną ożenisz czy nie, chcę ci powiedzieć jedno. - Nicole odetchnęła głęboko. - To nie jest dobre, Douglas.

Wciąż miał zamknięte oczy. Słuchał.

- Sposób, w jaki żyjesz, jest niedobry. Wszystkie te ciężary, które dźwigasz, wszystkie te kilometry, które przebiegasz, wszystkie te filmy, które oglądasz. Tak nie można. To świadczy o samotności.

Douglas popatrzył na nią. Zobaczył jej krągłe kształty i jej skronie, ale także coś innego, coś, co żyło za jej oczami.

- Jesteś dobrym nauczycielem i w ogóle, ale po prostu zabijasz czas, Douglas. Widzę to.

Pieprzenie, pomyślał Douglas, po czym się zastanowił: Jak? Jak go zabijam?

- Widzę to po książkach, które zadajesz do czytania, po krawatach, które nosisz, po wszystkim. - Nicole nie żuła teraz swoich włosów. - Jesteś gotowy, Douglas. Czekasz na tę jedyną kobietę, tę, z którą masz się ożenić. - Wzruszyła nieznacznie ramionami. - I myślę, że ja nią jestem. Spotykałam się z paroma facetami i wiem, jaki jest wybór i... cóż, po prostu wiem, czego chcę.

- Dlaczego? - rzucił Douglas. Dłonie mu drżały, więc odstawił kieliszek. Zbierało mu się na płacz, ale powstrzymał łzy. - Dlaczego... mówisz to wszystko?

- Po prostu mówię. - Nicole wpatrywała się w swojego nauczyciela.

- Czy jesteś... - Douglas dobierał słowa inaczej. - Czy mnie kochasz?

Nicole gładziła się po szyi, popijała brandy.

- Słuchaj. Mam iść do Princeton. I mam do przeczytania książki z tej ogromnej rodowej biblioteki. Mówię po prostu, że powinieneś mieć ze sobą w kinie kobietę i że to ja powinnam nią być. Jestem gotowa nią zostać.

Douglas nie mógł dłużej siedzieć bez ruchu. Wstał i zaczął chodzić po pokoju, tak jak zawsze w dawnych czasach robił w szatni przed walką. Chciał krzyknąć albo zadać cios, albo otrzymać cios. Potrzebował czegoś wiarygodnego, czegoś, co znał z doświadczenia. Podszedł sztywno do Nicole, nie wiedząc za bardzo, co robić.

- Spokojnie, Douglas. - Nicole przesunęła się do tyłu na tapczanie.

- Nie. - Douglas pokręcił głową, wznowił swoją wędrówkę. - Nie „Spokojnie, Douglas”. Musisz mi coś powiedzieć, tu i teraz. Mam trzydzieści jeden lat i jestem... jestem twoim nauczycielem, na rany Chrystusa. To znaczy... czy to jest... słuchaj, odpowiedz mi, Nicole, teraz.

- W porządku - wyszeptała. - Odpowiem.

- Czy to jest prawdziwe? To znaczy, czy jesteś... we mnie zakochana?

- Jestem do tego gotowa - oświadczyła Nicole. - I nie mogę zrobić niczego lepszego. To ma być komplement.

Douglas przestał chodzić tam i z powrotem.

- Dostają świra - powiedział cicho. - Stoję tutaj mocno na moich własnych dwóch nogach i dostają świra.

Nicole uśmiechnęła się. Wzięła go za rękę.

- Słuchaj. Za miesiąc mam bal maturalny, na którym będzie mi towarzyszył mój kuzyn Fred'a dwa tygodnie później jest wręczenie dyplomów. Będzie trochę zamieszania, ale już w pierwszym tygodniu czerwca gotowa jestem zapalać do ciebie bezgraniczną miłością.

Douglas zaśmiał się głośno, rozbawiony jej praktycznym tonem.

Pomyślał o swojej matce, o Chiapasie i o Meksykanach, o nieprzerwanym ciągu wypracowań, które poprawiał przez ostatnie sześć lat. Mogło ich być nawet tysiąc. I był może okres w historii, kiedy wszyscy ludzie mówili tak jak Nicole Bonner.

- Mogę dojeżdżać do Princeton - planowała Nicole - albo wracać do ciebie tylko w weekendy. Moja rodzina jest trochę ekscentryczna i ja też, ale... cóż, tak już jest. Co o tym myślisz?

Douglas postawił ją na nogi. Kręciło mu się w głowie, czuł złość. Nie wiedział, co właściwie czuje. Jak zwierzę zacisnął zęby przed jeszcze jednym, ostatnim starciem.

- Nicole. - Jego głos był niski, prawie nieprzyjemny. - Tak?

- Ja... zapytam cię o to jeszcze tylko raz.

- W porządku.

- Jeśli to wszystko to żarty i powiesz mi jutro, że żartowałaś, to ja... ja... - Douglas zacisnął i rozwarł pięści.

- Nie żartuję - zapewniła.

Douglas spojrział przez okno na Nowy Jork. Popatrzył znów na Nicole.

- Jesteś pewna?

Wyciągnęła ręce, przesunęła lekko dłonią po włosach Douglasa.

- Domowy syjam - szepnęła.

Douglas ujął obie jej ręce. Był rozpromieniony. Dostał lekkich mdłości.

- W porządku. W porządku, jeśli mówisz poważnie, to chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

Nicole zmarszczyła, brwi.

- Nie ma mowy o seksie, dopóki się nie chajtniemy. Może pocałunek.

- Bądź cicho i słuchaj. - Głos drgał Douglasowi pod wpływem przyjemności. - Nie chcę, żebyś mnie całowała. Chcę, żebyś mnie uderzyła.

- Co?

Douglas nie mógł nic poradzić na to, że na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, stara, triumfalna zaczepka.

- Chcę, żebyś uderzyła mnie pięścią w brzuch tak mocno, jak potrafisz.

Nicole odsunęła się od niego.

- Jesteś szalony.

- Nie. - Douglas chwycił ją za ramiona, ustawił ją odpowiednio naprzeciw siebie. - Zaufaj mi. Jeśli to zrobisz, będę wiedział, że jesteśmy... po prostu będę wiedział.

Nicole zaśmiała się krótko.

- Jesteś świrem.

- Uderz mnie.

Nicole przekrzywiła głowę.

- Mówisz poważnie.

- Daj mi rękę.

Nicole wystawiła prawą dłoń.

- Złóż ją w pięść. Nie, tak, kciuk na zewnątrz. Dobrze.

- Skąd wiesz, jak...

- Zamknij się i uderz mnie. - Douglas uśmiechnął się do niej drwiąco. - No już. Zobaczmy, na co cię stać.

Wstępna radość wkradła się na twarz Nicole.

- Lepiej uważaj.

- Uderz mnie.

-” Zrobię to, Douglas - ostrzegła.

- No, dalej.

Nicole trzymała pięść przy biodrze. Spojrzała badawczo na drzwi, które zasłaniały jej rodziców. Popatrzyła na Douglasa tak, jakby miała wybuchnąć śmiechem albo czymś innym, czymś, czego nie mógł przewidzieć.

- No już, punkowo - sprowokował ją Douglas i to wystarczyło. Nicole wyrzuciła pięść do przodu i pokazała mu, co go czeka, co czeka ich oboje.

SERENDIPITY

Leonard Bunce pragnął jednej kobiety, ale zamierzał posłużyć się drugą. Pracował na Manhattanie jako prawnik u Spucka i Hardisona. Obie były tam asystentkami. Ta, której Leonard pragnął, nazywała się Hannah Glorybrook, a ta, którą zamierzał się posłużyć, Alison Shippers.

Alison, trzydziestopięciolatka, mierzyła sto pięćdziesiąt siedem centymetrów. Była pulchna, piersiasta, i miała silne ciało, ale brakowało jej śmiałości wobec mężczyzn. Dorastała w Maine i wydawała się stworzona do pracy w latarni morskiej albo w fabryce konserw. Miała mieszkanie w Gramercy Park. Do biura przychodziła w kostiumach, które nie podkreślały jej kobiecości. W czwartkowe wieczory Alison zjadała się sushi, jedynym wielkomiejskim luksusem, na jaki sobie pozwalała, potem nakładała błotną maseczkę na twarz i oglądała telewizję. W sobotnie wieczory Alison szlochała, dopóki nie zasnęła. Hannah Glorybrook pracowała dwa boksy od Alison. Była to zgrabna, dość wysoka blondynka, o wypięlgnowanej skórze, spiczastych kościach policzkowych i z zachęcającą przerwą między dwoma przednimi zębami. Była dwudziestosześcioletnią jedynaczką. Jej matka nie żyła, a ojciec był właścicielem Glorybrook Perfumes and Cosmetics, firmy sprzedającej swoje drogie, cieszące się powodzeniem wyroby w Nowym Jorku i Paryżu. Hannah miała ciało, dla którego takie artykuły są wytwarzane. Czy miała potargane włosy czy warkoczyki, czy była w sukni czy w płaszczu przeciwdeszczowym, budziła zachwyt na ulicach Manhattanu. Zaakceptowała swoją urodę i stroiła się codziennie w czarne przynęty: berety, sukienki, pończochy sięgające ud, zapięte na guziki kamizelki. Hannah ukończyła nauki polityczne w Tufts i była bogata dzięki najśłynniejszym perfumom swojego ojca, Serendipity, którymi codziennie się skrapiała. Od sześciu miesięcy pracowała u Spucka i Hardisona: wykonywała swoją papierkową robotę, a potem, podczas lunchu, czytała powieści. Wieczorami i w weekendy piła piwo i nosiła okulary w czarnych oprawkach modne w latach sześćdziesiątych, które nadawały jej inteligentny, trochę koci wygląd.

Leonard Bunce był zgorzkniałym kawalerem. Miał czterdzieści trzy lata. W szkole średniej zbierał laury na konkursach kwilzowych. Błyszczał w college'u, zdobył stypendium Rhodesa i teraz był jednym z czołowych adwokatów w firmie Spuck i Hardison. Zgorzknienie Leonarda jednak nie wynikało z poczucia umysłowej wyższości. Jego źródłem było ogromne znamię na prawej skroni - czerwony, wypukły placek skóry, który wyglądał tak, jakby mózg Leonarda rozsadził czaszkę i ściekał do jego prawego oka. Leonard nienawidził swojego znamienia, kobiet i przyjaźni, które w jego przekonaniu mu ono odebrało, przywilejów, które mu udostępniło, i wyzwania, na które go narażało. Robiło mu się niedobrze, kiedy wpatrywał się w oczy sędziego przysięgłego i widział, jak jego klient za sprawą jego własnej fizjonomii wzbudza albo traci sympatię. Ogarniało go zniechęcenie, kiedy zmuszony był uwierzyć, że Hannah Glorybrook, seksbomba z trzeciego piętra, nigdy go nie obdarzy swoimi upajającymi

wdziękami z powodu fizycznego piętna, na które nie miał wpływu. Nie było pewne, czy świat - zwłaszcza kobiety - zasługiwał na podejrzenia Leonarda, ale nie zmieniało to jego postawy. Z pogardą myślał o pięknie i prawdzie, zawsze pragnął je zdobyć i panować nad nimi, nigdy nie był pewien swoich sił.

Każdego wieczoru Leonard kroczył sztywno ulicami na obrzeżach centrum, z rękoma w kieszeniach, pożądamc połowy mijających go kobiet. Pociągały go młode matki z szerokimi biodrami, dziewczęta z college'u w minispódniczkach, chude modelki z billboardów. Później siedział sam w swoim mieszkaniu i z zaciśniętymi pięściami oglądał filmy z Ann-Margret, Raquel Welch i Katharine Ross. Wydawało mu się, że Bóg stworzył kobiety po to, żeby mężczyźni je ściskali i wydawali na nie pieniądze, i że jeśli tylko mężczyzna dobrze zarabia i nic go nie szpeci, może swobodnie polować na kobiety i zbierać ich powaby. Kobieta, którą Leonard najbardziej chciał częścią drugiej szkockiej, kiedy doleciał go zapach, w którym nie było ani śladu jagód. Podniósł oczy.

- No, no, no - powiedziała Hannah Glorybrook. - Lenny Bunce.

Twarz Leonarda zmarszczyła się pod wpływem przyjemności. Hannah stała nad nim w luźnej czarnej sukience z rozcięciem aż do talii na jednym boku, trzymając w dłoniach szklanke guinnessa i papierosa. Jasne włosy miała ułożone w rozwichrzony ul, oczy przesłaniały czarne okulary z kocimi oprawkami, których Leonard nigdy u niej nie widział. Hannah była, o dziwo, bosa, co podekscytowało Leonarda, i nie założyła żadnej biżuterii ani nie zrobiła sobie makijażu. Najważniejsze było to, że najwyraźniej nikt z nią nie przyszedł.

Hannah zaciągnęła się papierosem, wypuściła powietrze z ust.

- Hej, Hannah - odpowiedziała mu. - Dobry wieczór, pani Glorybrook.

Zmieszany Leonard wstał, uderzając przy tym kolaniem w stolik.

- Przepraszam. Och. Przepraszam, witam.

Hannah wsunęła się do niszy i zajęła miejsce naprzeciw niego. Leonard z powrotem usiadł. Instynktownie udał, że musi się podrapać prawą ręką w czoło, co pozwoliło mu zakryć znamię.

- Tak naprawdę nikt nie nazywa mnie Lenny. Hannah uniosła szklanke Leonarda pod światło.

- Szkocka - powiedziała. - Ohyda. - Wypiła trochę swojego piwa.

Leonard rozejrzał się dokoła. Kilku mężczyzn stojących przy barze podniosło wzrok znad szklaneczek whisky i przyglądało się Hannah. Wpatrywały się też w nią ze złością dwie żony, trzy dziewczyny oraz sześć samotnych kobiet, które opierały się leniwie o stół bilardowy. Te ostatnie obejrzały już przedstawienia i musicale na Broadwayu, i urody dodawały im perły, diamenty, szminka i obowiązkowo pantofle na wysokich obcasach.

- Jestem zaskoczony, że tu przyszaś - powiedział Leonard.

Hannah wydmuchała dym przez szparę między zębami.

- Mam dwadzieścia sześć lat - zauważyła.

- Jesteś boso.

- Tak.

.- Umówiłaś się tu z kimś?

- Wolałbyś, żeby tak było?

Leonard zaczerwienił się i jeszcze raz podrapał rzekomo swędzącą skroń.

- Założę się, że to ty jesteś z kimś umówiony. - Hannah się uśmiechnęła. - Założę się, że masz się spotkać z seksowną małą ulicznicą. Z panienką.

Leonard zobaczył w wyobraźni, jak Alison leży w rynsztoku twarzą w dół.

- Z puszczałką - ciągnęła Hannah. - Z dziwką.

- Wonder Woman? - zaryzykował.

Hannah zaśmiała się. Dotknęła stopą łydki Leonarda pod stołem.

- Ja, głuptasie.

Leonard zarumienił się. Musnął dłonią znamię. Hannah wypła do dna swoje piwo i nachyliła się nad stolikiem.

- Czy nie wyglądam jak niegrzeczna bibliotekarka, Lenny? - Mówiła to półszepem. - Jak kobieta, która jest bystra, ale uwielbia, kiedy mężczyźni ją pieprzą?

Leonard nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. Ale nie odważył się powiedzieć ani słowa, bo obawiał się, że przerwie w ten sposób psychodeliczną przejażdżkę, która stała się jego udziałem.

Hannah położyła dłoń na kolanie Leonarda.

- Kto jest najpiękniejszą kobietą na planecie?

Leonard przypomniał sobie o swoim języku, wężu, który mieszkał w jego ustach. - Ty - syknął. Ścisnęła jego kolano.

- A czy nie pragniesz wrócić ze mną do mojego mieszkania i mnie przetrząść?

Lędźwie Leonarda zapłonęły.

- Boże, tak.

- No to chodź - powiedziała asystentka. Postawiła oczarowanego Leonarda Bunce'a na nogi.

Mieszkanie Hannah znajdowało się na piątym piętrze kamienicy Preemption. Sam budynek był mroczną, zagadkową wieżą na rogu Zachodniej Osiemdziesiątej Drugiej Ulicy i Riverside Drive. Jeździła tam luksusowa, ręcznie obsługiwana winda, a korytarze oświetlały zamontowane na ścianach lampy naftowe. Mieszkanie Hannah też było przeładowane ozdobami. Jej ojciec, Gerhard Glorybrook, używał bogactw płynących z handlu wonnościami do finansowania wypraw myśliwskich, w czasie których polował na grubego zwierz w różnych zakątkach świata, i często przekazywał swojej córce łupy z tych wyjazdów. Dlatego w salonie stały groźnie na tylnych łapach dwie olbrzymie wypchane bestie. Z sufitu zwisał na drutach wielki drapieżny ptak, a obok tapczanu dorosła czarna pantera gotowała się do skoku.

- Ja cię kręcę - wyraził swe uznanie Leonard Bunce.

Hannah nie włączyła żadnych lamp, tylko zapaliła cztery wysokie świece, po jednej w każdym rogu pokoju. Stała koło pantery i pogłaskała jej głowę.

Leonard zerkał nerwowo na świece. Domyślał się, że czeka go jakiś tantryczny seks, może z motywem wudu. Wskazał na ptaka, którego skrzydła miały niemal dwa metry rozpiętości.

- Kondor? - próbował zgadnąć.

- To harpia. - Hannah nie paliła teraz papierosa. - Mój ojciec zabił ją w Amazonii.

- Ja cię kręcę.

- Jej kuzynem jest leśny orzeł z Filipin, który zjada małpy.

- Ach - powiedział Leonard.

- Zdejmij ubranie. - Hannah rozpięła suwak w swojej sukience. Członek Leonarda stwardniał.

- Co?

Sukienka Hannah opadła do kostek.

- Będziemy się pieprzyć w windzie.

Leonardowi zaschło w ustach. Stała przed nim, w czarnym staniku i w skąpych czarnych majtkach, bogini, którą czcił od sześciu miesięcy. Powalę ją na ziemię, pomyślał Leonard, wezmę mój łup. Rozebrał się do szortów.

Hannah skrzyżowała ramiona, wystawiła podbródek w kierunku bokserek Leonarda.

- Je też ściągnij.

Leonard wahał się ze względu na erekcję. No już, powiedział sobie. Jesteś drapieżcą. Zaczerpnął głęboko powietrza i zsunął szorty. Był nagi.

- Dobrze. Chodźmy. - Hannah zaprowadziła go do drzwi mieszkania, otworzyła je i przytrzymała.

Dotknął od tyłu jej ramienia, wpatrywał się w jej bok. Wdychał jej zapach.

- Ty pierwszy. - Hannah klepnęła Leonarda po pośladkach, zachęciła go gestem do wyjścia na korytarz. - Szybciutko.

Co tam, do diabła, pomyślał Leonard. Wskoczył na korytarz, wylądował na czworakach. Odwrócił głowę, uśmiechnął się szeroko do Hannah i zaryczał jak dzikie zwierzę.

- Chodź, malutka - warknął.

Hannah zamknęła Leonardowi drzwi przed nosem. Usłyszał, jak zasuwka trafia w otwór. Mina mu zrzędła.

- Hej - powiedział. Wciąż był na czworakach. Wciąż miał wzwód. - Hannah?

- Tak? - odezwały się drzwi.

- Wyjdź do mnie.

- Nie.

Leonard popatrzył w lewo i w prawo. Wzdłuż korytarza było dwadzieścioro drzwi i pięć zapalonych lamp naftowych.

- Hannah?

Drzwi pozostały zamknięte.

- Tak?

- Myślałem, że mieliśmy... kochać się w windzie?

- Właściwie powiedziałam, że będziemy się pieprzyć w windzie.

- Zgadza się. - Leonard szczyrzył zęby, czekał. Po chwili przestał się uśmiechać.

- Hannah?, - Tak?

- Czy nie będziemy się pieprzyć w windzie?

- Ha.

Leonard zbliżył się do drzwi. Przycisnął do nich dłonie i ucho, jak kasiarz.

- Hannah? Jestem nagi.

Nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Usłyszał szuranie. Poruszał klamką, ale drzwi były zamknięte na klucz. Wąski pasek światła przenikał na korytarz u dołu i kiedy Leonard spojrział tam, wydało mu się, że widzi stopy Hannah.

- Przyciągnęłam moją czarną panterę pod drzwi - wyjaśniła. - To samiec. Stoi pyskiem do ciebie. Zdjęłam wszystkie ubrania i dosiadłam pantery, jakby była koniem.

To żart, pomyślał Leonard. To gra wstępna.

- Moje włosy łonowe przylgnęły do sierści na grzbiecie pantery. To miłe uczucie.

- Hannah - zaczął Leonard. - Czy to żart?

- Wyobraź sobie, jak seksownie wyglądam, Lenny, kiedy tak siedzę okrakiem na tej sztywnej, wypchanej panterze, a moje doskonałe cycki zwisają nago tam, gdzie każdy mężczyzna mógłby je chwycić.

- Wpuść mnie - błagał Leonard.

- Nie jestem przy tym blada - paplała Hannah. - Jeśli przypuszczałeś, że będę blada pod moim stanikiem i majtkami, zgaduj jeszcze raz, kolego. Mam całkowicie równomierną opaleniznę. Kładę się nago na dachu.

- Hannah. - Pomimo swojej nagości Leonard starał się, żeby jego głos brzmiał przymilnie.

- To gra wstępna, prawda?

- Nie. To szczerza rozmowa. Leonard walnął pięścią w przeszkodę.

- Otwórz te cholerne drzwi.

- Lenny? Lenny? - Ton Hannah był spokojny, rozsądny. - Jeśli nie chcesz iść do domu nago przez Central Park, oprzytomniej i posłuchaj.

Leonard wstał, zaczął chodzić tam i z powrotem przed drzwiami Hannah. Penis zwisał mu między nogami. Wpatrywał się z wściekłością w drzwi. Ledwie Hannah by je otworzyła czy choćby uchyliła, wpadłby do środka i dosiadłby jej.

- Lenny? Oprzytomniałeś'?

- Ty kurwo - syknął Leonard. Hannah mlasnęła głośno językiem.

- Wydaje się, że potrzebujesz jeszcze chwili. Tymczasem ja pobujam się" do przodu i do tyłu na mojej panterze, tak by jej ze-sztywniałe mięśnie grzbietu wywoływały dreszcz w moich nagich lędźwiach.

Leonard dalej się przechadzał. Rozejrzał się po korytarzu w poszukiwaniu dywanu, którym mógłby się owinać, ale niczego takiego tam nie było. Popatrzył na zegarek, jedyną rzecz, która mu została. Dochodziła północ. O ósmej trzydzieści następnego ranka Leonard miał się spotkać z bogatą, ważną klientką, Joanną Krickmire. Pani Krickmire, główny dyrektor Krickmire Stocks, przeprowadzała rozwód ze swoim mężem po dwudziestu jeden latach pożycia i zakładała, że nie zapłaci mu ani centa. Poprosiła szefów firmy Spuck i Hardison, żeby zachowali do jej dyspozycji swojego człowieka ze znamieniem w kolorze

krwi, ponieważ spodziewała się, że proces będzie nieprzyjemny i brutalny, i potrzebowała odpowiedniego przedstawiciela prawnego.

- Mmm. - Głos Hannah miał seksowne zabarwienie. - Mmm.

O och.

Leonard rozmyślał o ścieżkach biegnących przez Central Park. W ciepły letni wieczór na każdej z nich byłoby pełno kochanków i bandytów.

- Tak - piszczała Hannah. - Boże, tak.

Leonard zatrzymał się przy drzwiach, przyłożył do nich ucho. Usłyszał odgłosy ślizgania i drapania, które mogłyby wywołać pazury w zetknięciu z linoleum.

- Hannah? Czy naprawdę doprowadzasz się...

- Mmm - jęczała Hannah. - Nie teraz, Lenny, jestem zajęta.

I Dobięły go jeszcze intensywniejsze odgłosy drapania. Wyobraził sobie uda Hannah przyciśnięte do pantery. Zastukał do drzwi.

- Hannah - wyszeptał. - Hannah, wpuść mnie. Pozwól mi... to zrobić. Proszę.

Drapanie ustało.

- Oprzytomniałeś?

- Tak.

- Czy nadal jest przekrwiony? Wiesz, czy masz wzwód? Leonard się zarumienił.

- Nie ma się czego wstydzić, Lenny. To się zdarza, kiedy mężczyzna słyszy kobietę owładniętą namiętnością.

- Wolałbym cię widzieć, niż słyszeć - powiedział cicho Leonard. - Wpuść mnie.

- Nie. y - Dlaczego nie?

- Ponieważ w obecnych okolicznościach będziesz rozmawiał ze mną szczerze. To okrutne, ale konieczne.

- Mogę porozmawiać z tobą szczerze w środku.

- Lenny. - W głosie Hannah słychać było złośliwość. - Biorąc pod uwagę upokorzenia, jakie musisz ode mnie znosić, czy gdybym otworzyła te drzwi i zobaczyłbyś mnie nagą, porozmawiałbyś ze mną, czybyś mnie wydymał?

Leonard wpatrywał się w lampy naftowe w dalszej części korytarza, zastanawiając się, czy ich nie zgasić.

- Możliwe, że spróbowałbym... dokończyć nasz wieczór. Hannah zachichotała.

- Aha.

Leonard nachmurzył się. Jego łódźwie pulsowały.

- Wydymałbym cię. Mocno. Leonard usłyszał klaskanie.

- Brawo - powiedziała ze śmiechem Hannah. - Jeszcze coś. Prawdopodobnie myślisz o zgaszeniu lamp, żeby osłonić swoją nagość. Oto moje surowe ostrzeżenie: Nie gaś lamp. Jeśli to zrobisz, zjawi się mój portier, Sender. Chyba nie chcesz tego.

Leonard znów się nachmurzył, ale siedział nieruchomo, oparty - Sarkazm. Beztroski sarkazm. Wiedziała, że nie bez powodu Alison pozwala ci się posuwać.

Leonard wstrzymał oddech.

- Och, tak, Lenny. Wiem o twoich małych uciechach. Wiem też, że pani Shippers jest w tobie zakochana i że mogłaby cię obchodzić jeszcze mniej.

Drzwi sąsiedniego mieszkania otworzyły się. Wyszedł z niego mężczyzna w dżinsach.

- Jej - zapiszczał Leonard. Przykrył jedną stuloną dłonią łedźwie, drugą swoje znamię. Krew tętniła mu w skroniach.

Mężczyzna ziewnął, rozejrzał się po korytarzu. Kiedy zauważył Leonarda, zaśmiał się.

- No nie, znowu. - Pokręcił głową.

‘Leonard został na podłodze, ale znów zaczął tłuc pięścią w drzwi.

- Hannah, na litość boską, wpuść mnie. Jest tutaj jakiś facet.

- Wujek Walter? - zawołała Hannah. Mężczyzna mrugnął do Leonarda.

- Cześć, kochanie! - wrzasnął.

- Lenny, to mój wujek, Walter - wyjaśniła Hannah. - Mieszka obok.

- Jezu Chryste.

- Na razie - rzucił Walter, ziewając. Podciągnął dżinsy, wszedł z powrotem do mieszkania, zamknął drzwi.

Leonard zacisnął powieki.

- Hannah, proszę, wpuść mnie. Przykro mi, jeśli zrobiłem coś, przez co czujesz do mnie niechęć, ale proszę, wpuść mnie. Wezmę swoje ubrania i wyjdę.

- Walter jest sprzedawcą hot dogów - wyjaśniła Hannah. - Załatwił mi to mieszkanie. Zapłaciłam śmiesznie mało.

Leonard nie otwierał oczu. Zrozumiał, że nie zostanie mu okazana litość. Był ciekaw, czy Hannah traktuje w ten sposób wszystkich mężczyzn, czy też może jej gniew skupia się wyłącznie na poczwarach z oszpeconymi twarzami. Przed oczami latały mu czerwone jak papryka iskiereki. Leonard starał się nie zwracać uwagi na kobiecy zapach dochodzący do niego spod drzwi.

- Hannah, co twój wujek miał na myśli, kiedy powiedział: „No nie, znowu”?

- Wróćmy do rzeczy. Pozwalam ci zgadywać do trzech razy, jak mój ojciec zarabia na życie. Jeśli dobrze odpowiesz, będziesz mógł wejść i mnie posunąć.

- Taak, pewnie.

- Mówię poważnie. Klnę się na wszystkie moje krągłości. Krew Leonarda zawrzała.

- Naprawdę?

- Pewnie. Tylko” że nigdy tego nie zgadniesz.

. Leonard skrzyżował nogi jak guru, myśląc intensywnie.

- Jest prawnikiem - spróbował.

- Boże, nie. Mój ojciec nie jest mięczakiem.

- Słucham? Hannah zakaszłała.

- Jest tutaj chłodno, bo mam włączoną klimatyzację. Moje sutki twardnieją. Czy możesz sobie wyobrazić, jakie robią się twarde, Lenny?

Z mieszkania Waltera Glorybrooka doleciał kobiecy chichot. Leonard rozejrzał się ze złością, powróciły myśli o podpaleniu.

- W każdym razie - ciągnęła Hannah - o czym to ja mówiłam? Leonard założył ręce na piersiach.

- Prawnicy są mięczakami.

- Cóż, przynajmniej ty jesteś mięczakiem.

- Czyżby?

- Podobno jesteś nieustraszony w sądzie, ale szpiegujesz mnie jak uczeń.

- Nie robię tego. Hannah prychnęła.

- Czuję na sobie twój wzrok, Lenny. Twoje oczy obserwują mnie, zdzierają ze mnie odzież.

Leonard popatrzył spode łba. Na filmach mężczyźni robią rzeczy niewykonalne. Rozbijają ramieniem zamknięte na klucz drzwi.

- Jesteś mięczakiem, Lenny. Nie masz odwagi ze mną porozmawiać, więc dymasz biedną Alison.

Leonard pomyślał o paznokciach palców u nóg Alison, które pomalowała, żeby mu sprawić przyjemność. Wzdrygnął się.

- Może Alison jest zadowolona.

- Czemu nigdy ze mną nie rozmawiasz? Czy myślisz, że jestem głupią blondynką?

- Nie.

- Dostałam tysiąc czterysta pięćdziesiąt punktów na egzaminach wstępnych. Siedemset pięćdziesiąt z języka.

Leonard westchnął. Przypomniawszy sobie, że rano, jeśli dopisze mu szczęście, będzie pomagał Joannie Krickmire wmanewrować jej męża w mniej więcej takie samo położenie, w jakim się teraz sam znajdował.

- Gratulacje - powiedział.

- Moim zdaniem brakuje ci pewności siebie dlatego, że masz tę bliznę.

Ramiona Leonarda zeszywniały.

- To nie jest blizna. To znamię mam od urodzenia.

- Wyglądasz jak Frankenstein - stwierdziła Hannah - i dlatego czujesz się podle.

Leonard był zszokowany. Ponieważ obowiązywała polityczna poprawność, od czasów szkoły średniej nikt otwarcie go nie znieważał z powodu jego znamienia.

- Pani Glorybrook - zaczął - czuję się głęboko dotknięty...

- Och, zamknij się. Dlaczego nie wykorzystujesz swojej dziwaczności? Wiesz, mógłbyś grać nie rozumianego przez nikogo potwora. Kobiety kochają to gówno. Wypróbujmy to, Lenny.

Leonard pomyślał o cyckach Hannah, jej biodrach, jej kolanach ściskających panterę. Usiadł inaczej, żeby jego penis nie dotykał podłogi.

- Co mielibyśmy wypróbować?

- Jesteśmy w barze. Jestem najbardziej wystrzałową laską w tym lokalu. Właśnie do mnie podszedłeś. Ja zacznę. - Hannah wydała 1 cichy okrzyk zdumienia. - Ooooch, co się stało z twoją twarzą? - zapytała rozemocjonowanym głosem podlotka.

Dłoń Leonarda znalazła się nagle na jego skroni.

- Mam znamię.

- Nie. - Hannah wydawała się wściekła. - Sprytnie, Lenny. Jeśli chcesz zaliczyć kobietę, musisz mówić sprytnie. Musisz mówić to co trzeba. I przestań zakrywać czoło.

Leonard odwrócił głowę, utkwił wzrok w drzwiach. W nozdrzach < miał mocny zapach perfum Hannah. Powiedział sobie, że to nic magicznego. Ale ona w jakiś dziwny sposób wiedziała - wyczuwała - co robił.

- Ooooch - powtórzyła Hannah - co się stało z twoją twarzą?

Umysł Leonarda wirował.

- Wypadek motocyklowy.

- Ooooch - zanuciła pocieszająco Hannah. - Gdzie to się zdarzyło?

- W Pittsburghu.

- Nudne - powiedziała Hannah normalnym głosem.

- W Irlandii.

- Ooooooch.

- Drogi są tam wąskie. Dużo ostrych zakrętów. - Oczy Leonarda były zamknięte. - Jechałem wzdłuż wybrzeża, w pobliżu klifów, kiedy turystyczny mikrobus uderzył w bok motocykla. >

- Jakie to straszne. - Hannah sprawiała wrażenie zaciekawionej. Leonard wędrował po czerni, którą miał za oczami. Te kłamstwa były erotyczne.

- Jedno dziecko z mikrobusu zginęło - fantazjował, - O, nie.

- Mały chłopiec o imieniu Seamus. Nie miał zapiętego pasa bezpieczeństwa.

j - O Boże.

- W tamtych krajach nie mają takich surowych przepisów dotyczących pasów.

- Nudne - stwierdziła zwykłym głosem Hannah. - Za szczegółowe.

- Byłem na pogrzebie chłopca w Kilkenny.

- Jakie to miłe z twojej strony.

- Rodzina odnosiła się do mnie życzliwie. Wiedzieli, że to nie była moja wina. Młodsza siostra Seamusa zaśpiewała pieśń żalobną.

- Biedny mały Seamus.

Leonard otworzył oczy. Skończyły mu się pomysły.

- Widzisz, Lenny? - powiedziała Hannah. - To łatwe. Leonard przygryzł wargę.

- Myślisz, że jestem okrutny dla Alison?

- Tak. Ale ona w końcu zrozumie, jakim jesteś bydlakiem.

- Och, jestem bydlakiem?

- Pewnie. Ale nie martw się tym, Lenny. - Głos Hannah opadł o oktawę. - Taki jest seks.

Zwierzęcy, okrutny i niezbędny.

Leonard znów miał erekcję. Odwrócił się i ukląkł przy drzwiach.

- Czy to jest właśnie to?-wyszeptał. - Seks?

- Mówiłam ci - przypomniała powściągliwie Hannah. - Tylko jeśli zgadniesz, co robi mój ojciec.

Leonardowi pociemniało w głowie. Był zawiedziony, zmęczony żartobliwymi pogaduszkami. Pomyślał o Gollumie i Rumpelstiltz-kinie, o zgadywankach z poważnymi stawkami.

- Broń - rzucił. - Twój ojciec sprzedaje broń. Myśliwym.

- Nie. - Hannah zaczerpnęła powietrza. Wydawała się nagle podniecona. - No cóż, chwileczkę. Robi to w sensie przenośnym.

Leonard uderzył pięścią w drzwi, serce mu łomotało.

- Wpuść mnie - syknął. - Wygrałem.

- Ee. - Hannah była poruszona, ale stanowcza. - Została ci tylko jedna próba. Musisz powiedzieć dokładnie, co mój ojciec wytwarza i sprzedaje. Wszystko musi się zgadzać.

Leonarda bolał kutas.

- Dotrzymasz słowa, jeśli zgadnę? Zapanowała cisza. Zwodzenie się skończyło.

- Tak - wyszeptała Hannah. - Dotrzymam. Ale nigdy ci się nie uda.

Leonard wstał i zaczął się przechadzać. Nie chciał się sprzeczać. Chciał wiedzieć, co myśli Hannah, czy jest rozpalona, „w jakim stopniu naprawdę ją pociąga. Był rozebrany, potrzebował jej i tego wieczoru musiał pokonywać dziwne, straszliwe przeszkody. Staął i wpatrzył się w drzwi.

- Naprawdę mnie będziesz chciała? - zapytał. Hannah zachichotała.

- Potwór, potwór przy moich drzwiach.

Leonard maszerował sztywno tam i z powrotem. Jego żądza, była ogromna, jego rozkołysany penis wyglądał śmiesznie. Pomyślał o czasach, w których Hannah była dziewczynką, o różowym lukrze i zazdrości, zastanawiając się, czym też mógł zajmować się jej ojciec, żeby utrzymać ją pośród tego wszystkiego, żeby wychować ją na osobę, którą teraz była. Leonard potarł podbródek, poczuł, jak wieczór zacieśnia się wokół niego, osiągając punkt kulminacyjny.

- No dalej, kolego - ponagliła go Hannah. - Zgaduj. Co on sprzedaje?

Leonard Bunce zatrzymał się przed drzwiami. Dolatywał doń energiczny głos Hannah, energiczny i złośliwie wyzywający. Ale dolatywało do Leonarda coś jeszcze, i po raz pierwszy tego wieczoru przestał zważać na wszystko inne i skupił uwagę na tej rzeczy: na zapachu Hannah. Było to jednak coś więcej niż zapach. Było to piżmo, atak na zmysły. Sączyło się to spod drzwi przez cały wieczór, otaczając Leonarda jak lotny miód, jak ciepłe kończyny albo słodki oddech. Zdał sobie sprawę, że to pachnidło było z Hannah zawsze, że skraplała się nim, emanowała nim i dawała je jak dziedzictwo otaczającemu ją światu. Stał nieruchomo i wdychał słodycz, która - może: przypadkiem, a może nie - do niego docierała. Rozumiał, że to piżmo, ten żywioł wokół niego, jest doczesny, kosztowny. Pozwolił mu się nasycić, aż zapomniał o biurze, o swoim mieszkaniu, o Cherrywoods Lounge, o Central Parku, o wszystkich ponurych miejscach, w których nie zamierzał kończyć tego wieczoru. Jego zamię świerbiło jak szósty zmysł, drzemiący dar, który w końcu się odezwał. Wciągnął triumfalnie wonne powietrze do płuc.

- Perfumy - powiedział.

CIERPLIWY SŁUCHACZ OTIS

Pod koniec wieku w mieście Nowy Jork mieszkał młody człowiek, który nazywał się James Branch. Był szczupły i cichy, miał senne niebieskie oczy i równe zęby, i mieszkał w kamienicy Preemption. James pracował na Wall Street jako księgowy w Harrow East, gigantycznej spółce finansowej. Ani w biurze, ani gdziekolwiek indziej w ciągu dnia James nie odzywał się prawie do nikogo, wieczorem jednak rozmawiał z windą firmy Otis w Preemption. Nie wdawał się w pogawędkę z jakimś windziarzem czy z ludźmi jadącymi windą. Rozmawiał z samą windą.

Milczenie w obecności innych od małego wydawało się Jamesowi sensowne. Był jedynakiem i dorastał w północnej Minnesocie, w małym miasteczku o nazwie Morris, gdzie na co dzień mógł wybierać co najwyżej między hokejem a odrabianiem lekcji. Chorobliwie nieśmiały i mocno się jękający James wolał swoją sypialnię i książki od towarzystwa rówieśników. Przez całe dzieciństwo miał kolejnych prywatnych nauczycieli wymowy - samych mężczyzn, samych Amerykanów-którym nie udało się rozwiązać jego bełkocącego, niepełnosprawnego języka. Każdy korepetytor utrzymywał się około sześciu miesięcy, po czym go odprawiano. James z zadowoleniem patrzył, jak odchodzą. W szkole średniej, podczas gdy inni chłopcy z Morris pogłębiali wiedzę na temat piwa, seksu i wędkarstwa, James siadywał ze skrzyżowanymi nogami na podłodze swojej sypialni i kołysał się w przód i w tył, opanowując rachunek różniczkowy i ucząc się na pamięć przepisów podatkowych, żeby móc pomagać ojcu przy odpisach amortyzacyjnych.

Rodzice Jamesa mieszkali w nękanym przeciągami, wałącym się dworku, który kiedyś był wiejskim domem bogatego przemysłowca z Chicago. Kiedy Branchowie zostali jego właścicielami, nadawał się prawie do rozbiórki ze względu na próchniejące deski podłogowe i kiepską izolację, ale ojciec Jamesa uwielbiał to miejsce i kiedy wystawiał świece w oknach od Wigilii do Święta Trzech Króli, dworek nabierał okazałego i imponującego wyglądu. Co do Jamesa, to mało go obchodziło Boże Narodzenie i inne święta. Przywiązał się natomiast do starej, ale działającej ręcznej windy towarowej, która jeździła ze strychu do piwnicy, z przystankami w kilku pokojach, w tym u Jamesa. Była wystarczająco duża, żeby pomieścić dorosłego mężczyznę, i można ją było obsługiwać od wewnątrz. Służyła Jamesowi za chłopięcy fort, zaciszne legowisko podczas drzemki i schowek na nieprzyzwoite książki. W wieku dojrzewania, kiedy jękanie coraz bardziej oddalało go od wszelkich przyjaciół, James używał windy jak celi klasztornej. Brał ze sobą do środka latarnię, wjeżdżał na strych i pozostawał w kabinie całymi godzinami. Przy świetle latarni ślęczał nad swoimi książkami o rachunku różniczkowym, rozkoszując się liczbami, na których mógł polegać, gdyż w przeciwieństwie do ludzi i jego języka nie mogły mu płać okrutnych figli. Czasami James po prostu zamykał oczy i kołysał się, wdychając zapach drewnianych ścian windy i mówiąc sobie, że jest szczęśliwy.

Gdy skończył czternaście lat, w trzy wieczory w tygodniu zobowiązany był do spotykania się z młodą kobietą o imieniu Anamaria. Była logopedą i została zatrudniona przez rodziców Jamesa dlatego, że podobno umiała nawiązać kontakt z introwertykami, ale także ze względu na swoją klasyczną latynoską urodę. Państwo Branch mieli nadzieję, że za jednym zamachem wyleczą syna z poplątania języka, z niechęci do dziewcząt i z obsesji na punkcie rozklekotanej windy.

W pewnym stopniu plan Branchów się udał. Chociaż Anamaria była z pochodzenia Wenezuelką, mówiła wyraźnie, śliczną angielszczyzną. W odróżnieniu od poprzednich korepetytorów, mężczyzn, którzy prowadzili lekcje z Jamesem przy stole kuchennym albo w salonie, Anamaria wpraszała się do sypialni Jamesa i zamykała drzwi. Siadała ze skrzyżowanymi nogami na podłodze, a James tkwił w takiej samej pozie parę metrów dalej, na progu otwartej windy. Gdy Anamaria zaokrągląła słowa w swoich ustach albo staczała je ze swojego języka, James słyszał echa jej lat dziewczęcych, ciężkich wysiłków, jakie kosztowało ją nauczenie się angielskiego.

Po pewnym czasie James zaczął ufać dźwiękom, które ulatywały z warg Anamarii. Wynurzał się z windy i siadał na podłodze swojej sypialni naprzeciw niej, tak że dotykali się kolanami. Koncentrował się i oddychał w sposób, jaki zalecała, a w końcu zaczął naśladować jej angielszczyznę tak doskonale, że nawet podłapał jej słabostki: hiszpańską śpiewność jej samogłosek, impet spółgłosek.

James zakochał się w Anamarii, czemu trudno się dziwić. Nosiła rzużnięte u góry białe bluzki i naszyjnik z krzyżykiem i kiedy się pochylała, chłopak czuł zapach lekkiego, intymnego gorąca bijący od jej ciemnoszarych włosów. Jeśli wymawiał wszystko tak jak trzeba i Anamaria była zadowolona, uśmiechała się, kładła dłoń na jego policzku i mówiła: „Tak, señor James. Tak”.

Ku zniecierpliwieniu rodziców James publicznie nie zaczął mówić więcej. Właściwie mówił mniej, kiwał głową w odpowiedzi swoim nauczycielom, mamrotał parę sylab do swoich krewnych. Kiedy chodził do przedostatniej klasy szkoły średniej - był to jego trzeci rok z Anamaria - prawie już wygrywał walkę z jękaniem, ale nikt o tym nie wiedział. James zauważał współczucie na twarzach dorosłych z Morris, ale nie dbał o to. Jego mowa była tajemnicą, sztuką, skrywanym darem, którym chciał się dzielić tylko z Anamaria. James był przystojny i niektóre dziewczęta ze szkoły z chęcią dotrzymałyby towarzystwa jego łagodnym niebieskim oczom. Ale on uważał, że są to proste dziewczęta z akcentem Środkowego Zachodu, nerwowo chichoczące i martwiące się o swoją wagę. Anamaria była inna. Była kobietą. Miała cudownie pełne biodra, niedbałe ruchy i mroczne, pełne szacunku usposobienie przejawiające się w jej spojrzeniach i w mowie, które sprawiało, że James pragnął wyjechać z nią do miast położonych daleko od Minnesoty, gdzie mogliby przeżyć gorączkowy, nierealny romans.

Kiedy nocą, wiele godzin po zakończeniu lekcji i wyjściu Anamarii z domu, był sam w swoim pokoju, wstawał z łóżka, czołgał się do windy, zamykał jej drzwi i zawieszał się między piętrami. Siedział ze skrzyżowanymi nogami w tej całkowitej izolacji, obejmował się ramionami, kołysał w przód i w tył i wyobrażał sobie, że siedzi przed nim Anamaria. Potem otwierał usta i z płynnością, o jaką nikt go nie podejrzewał, wyjawiał jej głośno wszystkie tajemne tęsknoty swojego serca. Opowiadał jej też szeptem żarty albo plotki ze szkoły, a kiedy indziej dziękował za wyleczenie go z jąkania. Najczęściej jednak James tłumaczył swojej widmowej ukochanej, jak jest mu droga, jak to pod wpływem brzmienia jej głosu i krągłości jej ramienia czuje, że mógłby wspiąć się po skalnej ścianie albo pływać w rozżarzonej lawie.

- Albo mógłbym po prostu znaleźć pracę - wyszeptał James. - Dobrze sobie radzę z liczbami. Mógłbym zarabiać dla ciebie pieniądze i kupić ci, co tylko byś chciała. Mogłabyś mieć flanelowe koszule nocne i pudełka masła orzechowego Reese's albo diamenty, albo piwo i tamales.

W najważniejszym momencie tych wyznań James mówił Anamarii, jak bardzo chciałby przylgnąć do niej, nagi, i tarzać się z nią po szczytach Himalajów - które jego nauczyciel historii, pan Fenwick, nazywał dachem świata - i wypełnić ją sobą i zostać wypełnionym nią i czuć takie całkowite szczęście i wyczerpanie, że żadne z nich nie musiałyby już nigdy niczego mówić.

W ostatnim tygodniu przed swoimi osiemnastymi urodzinami James przeżył tragedię. Pewnego popołudnia Anamaria oznajmiła, że przeprowadza się z powrotem do Wenezueli. Jej chłopak Ramon, który od dawna się nie odzywał, wyłonił się z jej przeszłości i poprosił ją o rękę, i Anamaria dla niego jechała do ojczystego kraju. Kochała tego Ramona. W przypiływie szczęścia powiedziała Jamesowi, jak jest podniecona tym, że zostanie panną młodą. Opowiedziała mu o miłości, namiętnej, płynącej z głębi duszy, i o tym, że kiedy wybucha ona gwałtownie między tobą a inną osobą, trzeba za nią podążać i okazywać jej posłuszeństwo. Czerpiąc natchnienie z jej słów i rozpaczliwie pragnąc zatrzymać ją w Morris, James wyznał Anamarii swoją miłość do niej. Oddychając prawidłowo i przewyciężając jąkanie, opowiedział jej o Himalajach i o rzeczach, które wybuchały w jego wnętrzu. Twarz Anamarii posmutniała. Położyła dłoń na policzku Jamesa, poklepała go i pocałowała mocno w czoło.

- Och, señor James - odezwała się - pewnego dnia i panu się to przydarzy.

Po tym dniu James Branch chował się w swoim umyśle przez siedem lat. Uczył się w Pratt School of Business na Manhattanie, skończył tam rachunkowość i ekonomię międzynarodową z najwyższym wyróżnieniem. Firma Harrow East zwerbowała go prosto z Pratt i po królewsku płaciła mu za zabezpieczanie jej pieniędzy przed Wujkiem Samem. W wieku dwudziestu pięciu lat James był już odludkiem tego rodzaju, który tylko Nowy Jork może wytrzymać. Na śniadanie każdego ranka kupował kawę i słodkie kukurydziane bułki w winiarni przed budynkiem Harrow East. Każdego dnia pracował sam w boksie, z opuszczoną

głową, nie wykorzystując przerwy na lunch. Co wieczór jechał taksówką do Fiat Michael's, spartańskiej restauracji w East Yillage.

Aby dotrzeć do swojego mieszkania w Preemption, James wsiadał do metra. Przez okno pociągu oglądał pędzące tajemnicze miejsca, ponure betonowe rudery i portale prowadzące donikąd. Co do innych pasażerów, to jeśli ich ramiona się o niego ocierały, James starał się odgadnąć, jak są mocni i wysportowani. Najbardziej podobała mu się jednak obojętność tych ludzi wobec niego, ignorowanie przez nich jego istnienia. Mężczyźni z pociągu wracali do domu po rządzeniu światem: byli ubrani w oliwkowe garnitury i mieli ponury wyraz twarzy. Wyróżniał się pośród nich i ich milczącej zadumy jedynie uliczny muzyk o pseudonimie Morality John, wychudzony czarnooki upiór, który jeździł tymi samymi liniami co James i śpiewał dla pieniędzy. Przynajmniej raz w tygodniu James dawał Morality Johnowi pięciodolarowy banknot.

Kobiety z metra natomiast nosiły przez cały rok czarne ubrania, barwne szale i wysokie buty. Były redaktorkami książek, uznał James, kobietami, które nadzorowały postacie. James lubił się uważnie przyglądać tym kobietom i wyobrażać sobie przy płatkach ich uszu śliczne kolczyki z opalami, które nosił w kieszeni, tak jak niektórzy noszą różaniec. Te kolczyki dał kiedyś Jamesowi dziwny jubiler i kiedy teraz trzymał je w dłoni, przypominał sobie pantofelki Kopciuszka albo wyciągnięcie Ekskalibura ze skały przez króla Artura. Innymi słowy, James wiedział, że istnieje tylko jedna kobieta, dla której przeznaczone są te opale, i wypatrywał jej ze swojego nieśmiałego, łagodnego serca.

W domu, w Preemption, James zajmował mieszkanie wspólnie z Patrickiem Riggim, przebojowym maklerem giełdowym pracującym w Harrow East. Poznali się na koktajlu, którym przywitano ich obu w firmie, i przypadkiem obaj szukali wtedy dachu nad głową. James zgodził się zamieszkać wspólnie, żeby płacić mniejszy czynsz - Preemption był stary, sławny i drogi - i dlatego że Patrick, który miał obsesję na punkcie kobiet, w ogóle nie wtrącał się do jego życia. A jednak to z powodu Patricka Rigga James zaczął mówić do windy firmy Otis.

Doszło do tego w następujący sposób. Pod koniec studiów w Pratt, kiedy miał jednoosobowy pokój w akademiku, powrócił do swojego dawnego nocnego zwyczaju wstawania ze snu, siadania na podłodze i kołysania się w przód i w tył. Może chodziło o stres związany z egzaminami albo o wiszącą nad nim groźbę konieczności podjęcia pracy zarobkowej na Manhattanie, w każdym razie James stwierdził, że potrzebuje pociechy, którą znajdował w starym rytuale, w jego stałej niezawodności. Teraz jednak, chociaż James wciąż chciał wypowiadać sekrety swojego serca, nie ukazywała się przed nim żadna widmowa Anamaria - czy raczej to on nie pozwalał jej się ukazywać - której mógłby się zwierzać. Nie było też windy towarowej, która przewiozłaby go do ciepłej, mrocznej samotni, która zawiesiłaby go poza granicami codziennego życia. James próbował mówić do Boga, ale

uważał, że nie wychodzi poza puste frazesy, i czuł się skrępowany. W końcu, poważnie rozczarowany publicznością, zaczął mamrotać bez przekonania sam do siebie.

Wszystko to się zmieniło, kiedy James wynajął mieszkanie na spółkę z Patrickiem Riggim. Patrick bowiem kładł się spać o dziwacznej porze i miał jeszcze osobliwsze nocne zwyczaje niż James. O jedenastej wsuwał się ukradkiem do mieszkania z pierwszorzędnie ubraną kobietą przy boku, zapędzał ją do swojej sypialni i zamykał drzwi. James czasami podsłuchiwał, czekając na miłosne jęki albo rozmowy, ale nie docierały do niego żadne odgłosy, a drzwi zawsze pozostawały zamknięte. Mniej więcej po godzinie ta sama kobieta wyłaniała się z pokoju Patricka w spodniach dresowych i T-shircie, z wyrazem albo wielkiego zmieszania, albo spokoju na twarzy. Wychodziła, a potem, koło północy, mieszkanie wypełniały podejrzane postacie: bramkarze w pakerskich koszulkach, chudzi, szczerzący zęby mężczyźni z haszyszem w plastikowych torebkach i wysokie, fantastycznie odstrzelone kobiety. Byli znajomymi Patricka, a może jego świtą. Spędzali z nim za każdym razem wiele godzin, pili dżin i whisky, szeptali po kątach. James nigdy nie mógł zrozumieć, co to za ludzie. Mężczyźni byli ekscentrykami, brali narkotyki i mówili w różnych językach. Kobiety były piękne, bez wyjątku, ale w niesamowity sposób. Miały dołeczki, pieprzyki albo piegi jak normalne ludzkie istoty, ale przypatrywały się Patrickowi tak uważnie albo tak bardzo się doń zbliżały, że James się zastanawiał, czy jego współlo-kator nie jest alfonsem albo - bohaterem. Pewnego ranka zamierzał wypytać Patricka o jego sprawy osobiste, ale akurat wtedy drzwi tamtego pokoju były lekko uchylone i przez szparę James dostrzegł, że Patrick, nagi, przykucnięty przed mansardowym oknem, czyści pistolet i wkłada do niego naboje. To wystarczyło, żeby James rozważył możliwość wyprowadzki. Jakoś jednak nigdy się na nią nie zdecydował, może dlatego, że Patrick był dla niego nieskazitelnie serdeczny. Wiele razy zachęcał nawet Jamesa do wyjścia z pokoju i dołączenia do tajemniczego, rozbawionego grona jego gości.

James zostawał jednak u siebie i spał. Kiedy ogarniała go nagła chęć wstania z łóżka, kołysania się na podłodze i mówienia do siebie, często stwierdzał, że nie może tego zrobić. Ludzie zza ściany rzadko zachowywali się głośno, ale James czuł ich obecność. Docierały do niego ciche, złośliwe chichoty mężczyzn i zapach kobiet, burząc jego spokój. James nabrał więc przyzwyczajenia, które w końcu stało się wyróżnikiem jego nocy.

Zaczęło się to bardzo zwyczajnie, w pewną środę. James obudził się w swoim łóżku koło północy, pragnąc kołysać się i przemawiać do ciemności. Słyszał jednak przez ścianę brzęk szklanek i śmiech, postanowił więc wyjść z Preemption i pospacerować. Ubrał się, wymknął się ze swojego pokoju, minął gości Patricka i znalazł się na korytarzu. Wsiadł do windy, chcąc zjechać nią do holu i wyruszyć na miasto. Położył dłoń na dźwigni i miał już opuścić ją do litery H, kiedy się zawahał. Może dlatego, że było późno i cicho, a może dlatego, że był sam, stał nieruchomo i przypatrywał się wnętrzu windy. Mieszkał w Preemption zaledwie od

miesiąca i nigdy przedtem nie miał dość miejsca ani spokoju, żeby zawracać sobie głowę dokładnym obejrzeniem windy.

Była to wspaniała winda, blado, poważnie oświetlona. Wyściełał ją kwadratowy kasztanowaty dywan z odpowiednią ilością meszku pod stopami. Miała mosiężny osprzęt i piękne mahoniowe ściany, a dźwignia do wybierania pięter wyglądała jak przepustnica eleganckiego szkunera. Kiedy się pociągnęło za tę dźwignię i wybrało punkt docelowy, winda wzdychała lekko i sunęła płynnie w stronę dachu albo w dół, ku ziemi. Obok dźwigni w ścianę windy wmontowany był mosiężny klucz. Nie mogły go oderwać nawet najbardziej uparte dziecięce rączki, ale dawał się przekręcić w prawo albo w lewo. Jeśli był przekręcony w prawo, a tak zwykle się działo, winda gładko jeździła. Ale jeśli ktoś przekręcił klucz w lewo, szum towarzyszący jeździe cichł i winda z łatwością, natychmiast się zatrzymywała, bez żadnego zgrzytania ani sygnałów ostrzegawczych.

W windzie wszystko przywodziło na myśl starodawną mistrzowską precyzję i wdzięk, cechy innej epoki. Teraz, gdy się nad tym zastanowił, James przypomniał sobie, że inni lokatorzy nigdy nie rozmawiali ze sobą w windzie. Wydawało się, że milczą nie z powodu skrepowania czy nieporozumień - James wiedział, że w kilku wypadkach byli to przyjaciele albo rodzeństwo - ale ze względu na jakiś nieświadomiony szacunek okazywany Preemption albo samej windzie.

I rzeczywiście, winda w Preemption zasługiwała na to. Była to najstarsza działająca na Manhattanie winda firmy Otis. Zainstalowano ją w 1890 roku i nigdy nie wymagała wymiany. Urządzenia i siły, które ją napędzały, zostały zaprojektowane tak, by działały wiecznie, i jedyną osobą w budynku, która w ogóle wiedziała, jak dostać się do wewnętrznych mechanizmów windy, był Sender, portier z Preemption. Możliwe, że Johann Rook, właściciel kamienicy, także znał tajemnice windy, ale był on nieobecny. Sądzone, że ten dobroduszny niemiecki lekarz spędza czas głównie w Paryżu, w Ghanie i w deszczowych lasach Brazylii. Mieszkaniec Preemption mógł się uważać za szczęściarza, jeśli choć raz w życiu zobaczył doktora Rooka na własne oczy, a James Branch całą wiedzę o swoim gospodarzu czerpał z portretu, „177

który wisiał w holu Preemption. Portret przedstawiał dżentelmena o surowym wyglądzie, z rozwichrzonymi białymi włosami, który miał na sobie czarny smoking i stał częściowo w cieniu.

W każdym razie to Elias Rook - przodek Johanna i pierwszy właściciel Preemption - nadzorował instalację windy i James, przypatrując się kabinie, w której był zawieszony, kiwał głową w uznaniu dla jego znakomitych decyzji. W środku nie było żadnych lusterek ani ławek. W powietrzu unosiła się niewyraźna woń drewna, ale był to ciepły, twórczy zapach, jak we wnętrzu zakładu stolarskiego. Nie było też żadnych plam ani czarnej skamieniałej gumy do żucia na dywanie. Zdobila go jedynie mosiężna tabliczka, umieszczona na środku przed drzwiami, na której widniała nazwa Otis.

Wpatrując się w nią, James myślał o popołudniach i wieczorach w dzieciństwie, kiedy w swojej windzie towarowej izolował się od świata. Gdy tak stał tam o północy, przyglądając się napisowi na podłodze i przypominając sobie pokryte sękami drewniane ściany swojej dawnej kryjówki, ujrzał nagle dziwną wizję. Wyobraził sobie robotnika, który zbudował tę windę. Mężczyzna był wysoki, silny i milczący. Należał do innego stulecia, ale miał cierpliwą twarz, ciemnobrązowe oczy i brązowe włosy i był ubrany w niebieskajcoszulę roboczą oraz granatowe spodnie. Rękawy jego koszuli były podwinięte, tak że widać było jego umięśnione ręce. Nie mając żadnego dowodu, że jest inaczej, i kierując się kaprysem, który był w jakiś sposób pocieszający, James uznał, że mężczyzna ma na imię Otis.

To, co następnie zrobił James, było jeszcze bardziej kapryśne, a może, gdyby zastosować obiektywne kryteria, po prostu szalone. Pociągnął za rączkę i opuścił windę, aż znalazła się w połowie drogi między jego piętrem - szóstym - i niższą kondygnacją. Przekręcił mosiężny klucz w lewo i winda stanęła. Natchniony swoim odosobnieniem James usiadł ze skrzyżowanymi nogami pośrodku dywanu, zamknął oczy i zaczął się kołysać i mówić.

- Cześć, Otis - przywitał się cicho. - Nazywam się James Branch. Jestem z Morris w Minnesocie, i zjadłem na obiad Jajka we Fiat MichaeFs.

James czekał. Nie był aż tak obłąkany, żeby oczekiwać odpowiedzi z ciemności. Po prostu czekał z ciekawością na swoje dalsze słowa.

- Prowadzę księgi w Harrow East - wyjaśnił. - Pracuję tam z facetem, który nazywa się Patrick Rigg. Jest też moim współlokatorem. Czasami muszę od niego uciec. To dlatego tutaj jestem, Otis. - James kołysał się i szeptał. - Jest taki facet w moim pociągu, Otis. To uliczny muzyk. Wiesz, wólczega z gitarą. Nazywa siebie Morality John. Zawsze wpatruje się we mnie, kiedy gra i śpiewa. Są to jednak całkiem dobre piosenki, i myślę, że sam pisze ich teksty. - James kołysał się i myślał. - Morality John jest dziwaczny, ale daję mu pieniądze.

Przemawiał w takim stylu przez godzinę. Gdyby to był środek dnia albo wczesny wieczór, inni ludzie przywoływaliby windę i mogliby zakłócić jego prywatność. Ale albo późna pora, albo szósty zmysł kazały mieszkańcom Preemption trzymać się z dala od jego zacisza. Co prawda o dwunastej trzydzieści młoda kobieta, Hannah Glorybrook, wpadła do holu z gorliwym zalotnikiem, który miał nadzieję, że trafi do jej łóżka, ale portier Sender, który zdawał się zawsze wiedzieć, co się dzieje w Preemption, gestem ręki zabronił tej parze wchodzić do windy i powiedział, żeby użyli schodów.

- Otis - powiedział James. - Cieszę się, że cię poznałem. Mieszkam po prawej na szóstym piętrze. Na pewno przyjdę jeszcze kiedyś z tobą porozmawiać.

James otworzył oczy, mrugnął. Zobaczył drewno i mosiądz, i ciepły ślad pozostawiony przez jego ciało na dywanie. Zarumienił się, wstał i obrócił mosiężny klucz w prawo. Wrócił na szóste piętro, do swojego mieszkania. W salonie na stoliku do kawy stała kobieta o imieniu Donna. Miała na sobie aksamitną kamizelkę i spodnie i śpiewała dla Patricka i pozostałych mężczyzn piosenkę Billie Holiday. James przeszedł pospiesznie obok niej do sypialni,

położył się pod kocami: Uśmiechał się szeroko i dyszał trochę, jak chłopiec, który coś przeskrobał. Zapomniał zdjąć buty i dzinsy i zasnął w ubraniu.

Tak więc James Branch miał nowego powiernika: windę Otis. Codziennie o północy zakradał się do windy, zawieszał się między piątym a szóstym piętrem, otwierał usta i zeznawał. Mówił o swoim, 179

problemie z zatokami, o New York Knicksach, o tym, jak bardzo lubił chodzić do Cloisters, o nieznośnej samotności, którą czuł w sercu.

- Była dziś' taka kobieta w moim pociągu, Otis - powiedział James pewnego wieczoru. - Miała przynajmniej czterdzieści lat i sukienkę w kropki. Ta sukienka była jak z komiksu. Jaskrawoczerwona z ogromnymi białymi kręgami, jak sukienka dziewczynki, takiej Małej Sierotki Annie. - James miał zamknięte oczy, przypominał sobie ten widok. - Ta kobieta była piękna, Otis. To znaczy, wszystko inne oprócz sukienki było w niej bardzo dorosłe, jej płaszcz i buty, i miała zmarszczki na twarzy, i wydawała się bardzo smutna. Miała takie ciemne, jakby wypalone oczy, ale nie była dziwką czy narkomanką. Jestem tego pewien. Chodzi o to, że przypuszczalnie bym nie zauważył, jaka jest piękna, gdyby nie miała na sobie tej nedorzeczej sukienki. Tak naprawdę - James kołysał się „w przód i w tył - tak naprawdę, Otis, nie wiem nawet, czy byłaby taka piękna i smutna, gdyby nie miała na sobie tej sukienki. Wiesz? - Przerwał na chwilę. - Czy to nie jest niezwykle?

Tak to wyglądało. Czasami James był w windzie, przekręciwszy mosiężny klucz w lewo, tylko przez dziesięć minut. W inne wieczory spędzał tam pełną godzinę. James mówił Otisowi o swoich rodzicach, o swoich kłopotach z Harrow East, o „Never Love Another”; piosence, którą Morality John śpiewał w metrze, piosence, która wydawała się napisana dla niego i Anamarii. James mówił do Otisa szczerze i poważnie, tak jak kobiety mówią do swoich pamiętników. Często gdy siedział i mówił, wyjmował z kieszeni kolczyki z opalami, które zawsze miał przy sobie. Pocierał kamienie kciukiem i palcem wskazującym, jakby to były łapki królika albo jakiś inny talizman przynoszący szczęście. Jamesa nie interesowało, czy to wszystko mu pomaga czy nie. Po prostu wiedziony impulsem mówił co wieczór do Otisa, tak samo jak niektórzy piją alkohol, szukają czekolady albo tną sobie nadgarstki ostrym metalem.

Zwyczaj Jamesa ukształtował się w ciągu roku, od listopada do listopada. Strzegł tej swojej tajemnicy i miejsca cowieczornych spowiedzi w sposób, w jaki superbohater strzeże swojej jaskini. Portier Sender rzucał mu ciekawe spojrzenia, ale trzymał język za zębami i nie omówiwszy tego z Jamesem, oznajmił mieszkańcom Preemption, że codziennie winda jest niedostępna przez godzinę, między północą a pierwszą. Tymczasem szef Jamesa, Phillip, zauważył w oczach swojego i tak już ascetycznego księgowego wyraz zapamiętałego wycofania się w głąb siebie. Ale Phillip od dawna uważał Jamesa za dziwnego faceta i unikał rozmów z nim. Nawet Patrick Rigg tak niewiele wiedział o tym, gdzie James wymyka się każdego wieczoru, jak James o tym, co zachodzi między Patrickiem i kobietami, które

odwiedzają jego sypialnię. Ogólnie nic nie zagrażało rytuałowi Jamesa ani ustronnemu pomieszczeniu, w którym rozmyślał, do 21 grudnia 1999 roku.

Tego wieczoru Patrick Rigg rozpoczynał imprezę nazwaną przez siebie Rozpustną Hulanką Milenijnego Przesilenia. Miało to być dziesięć wieczorów bachicznego świętowania z kwaterą główną w mieszkaniu Patricka i Jamesa. Patrick, który był niezwykle zamożny, na niektóre wieczory Hulanki wynajmował też swoje ulubione miejsca w obrębie Manhattanu. Stu znajomych Patricka czekał dwudziestego trzeciego obiad podany w restauracji Duranigan's na Madison Avenue, dwudziestego szóstego wieczór koktajli i opowiadania historii w Cherrywood's Lounge, dwudziestego dziewiątego wieczór w teatrze Lucas i wreszcie sylwestrowe szaleństwo w klubie nocnym Minotaur. Każdego wieczoru, kiedy nie odbywało się jedno z tych oficjalnych przyjęć, drzwi Preemption miały być otwarte dla wszystkich femmes fatales oraz zbirowatych kumpli Patricka, którzy mieli ochotę się spotkać w mieszkaniu Patricka i Jamesa. Szeptem, a może telepatycznie Patrick obiecał im wszystkim dziesięć dni najwspanialszego towarzystwa, szampanów i zmysłowych uciech, jakie miasto miało do zaproponowania.

O jedenastej wieczorem dwudziestego pierwszego Patrick wynurzył się ze swojej sypialni i poprosił Jamesa, żeby usiadł w kuchni.

- Chcesz piwo? - zapytał.

- Raczej nie - powiedział James.

- I tak dostaniesz.

Patrick wyciągnął zimną butelkę z lodówki i podał ją wspólnie-katorowi. Sam pił to, co zawsze: drinka z whisky Old Grand-dad i gorzkich ziół z plasterkiem cytryny, wisienką i dwiema łyżeczkami cukru. Miał też na sobie świetnie skrojony czarny garnitur i uśmiechał się szeroko, tak jak według Jamesa mogłaby się uśmiechać hiena.

- Już mówię, o co chodzi, Branch - zaczął Patrick. - Zaczyna się tutaj dziś wieczorem dłuższa świąteczna impreza.

- W porządku.

Patrick nachmurzył się. Nie lubił, kiedy mu przerywano. - Chcę, żebyś wziął w niej udział. James skinął głową wymijająco.

- Chcę, żebyś przestał dumać. Żebyś porozmawiał z jakimiś laskami i wypił trochę alkoholu.

James pociągnął łyk piwa.

Patrick podał mu cztery bilety, trochę większe niż wizytówki - identyczne, zupełnie czarne, tylko po jednej stronie srebrną lśniąca kursywą napisane było: Hulanka.

- Do Duranigan's, Cherrywood's, Lucas i do Minotaura - powiedział Patrick.

- Hm. - James włożył bilety do kieszeni.

- To poszukiwany towar, przyjacielu.

- W porządku. Ehm, dziękuję.

Patrick poklepał Jamesa po ramieniu jak zawodowy doradca.

- Przez następne dwie niedziele jesteś w mojej ekipie. Zgoda? Wiesz, ile to czasu, Branchman?

- Dwie niedziele to dwa tygodnie - westchnął James. Patrick zaśmiał się, jak zawsze metalicznie, niesamowicie.

- Słusznie - powiedział.

James usłyszał głucho uderzenie i skrzypnięcie w sypialni Patri-cka. Źródłem tego drugiego odgłosu mogły być sprężyny łóżka.

- Co to takiego? - zapytał James.

- Nic - odparł Patrick.

Goście przybyli o północy. Był to zwykły wtorek i nie minęło jeszcze nawet Boże Narodzenie, ale panował wyśmienity nastrój. Tak jak Patrick, mężczyźni w większości zapakowali się w garnitury i wkraczali dostojnie do mieszkania, niosąc butelki whisky dla gospodarzą. James siedział na kanapie, tuląc to samo piwo, które trzymał od godziny, i patrząc, jak kształtuje się oblicze dwóch nadchodzących tygodni. Był tam Henry Shaker, który pracował w FAO Schwarz i miał jedną ogromną, połączoną brew. Był też Tony DiPreschet-to, zaskakująco praktyczny wiolonczelista, owinięty w biały szal, którego nie zgadzał się zdjąć, a z nim Jeremy Jax, skwaszony aktor. Obok Jamesa na kanapie usiadło dwóch irańskich dżentelmenów. Jedli czekoladę Toblerone i nie chcieli zdradzić, jak się nazywają.

James zauważył, że żaden z mężczyzn zaprzyjaźnionych z Patri-ckiem nie miał nigdy towarzyszkę, z wyjątkiem faceta o imieniu Che-ckers, który był częścią znanej ze swoich wybryków pary Checkers i Donna. Przyszło jednak mnóstwo niezamężnych kobiet. Zjawiła się młoda niania z Monachium o imieniu Eva, a także Crispin, barmanka ze spiczastym, haczykowatym nosem. Marcy Conner, niezwykle wysoka mieszkanka Preemption ze smolistymi oczami, piła szampana prosto z butelki. Pogodna żydowska dziewczyna, Sarah Wolf, ustawiła się przy akwarium. Wpadła też śliczna Hannah' Glorybrook. Nawet nieruchomo stojąc, Hannah budziła zazdrość we wszystkich innych kobietach - oprócz Lizy McMannus, która miała wspaniałą czarną skórę i choć skończyła dopiero dwadzieścia osiem lat, sprzedała już Paramount Pictures trzy scenariusze.

Jedyną poza Checkersem i Donną parę stanowili młoda Ni-cole Bonner - nastolatka mieszkająca w apartamencie na szczycie Preemption - i o wiele od niej starszy mężczyzna, który opierał głowę na jej ramieniu. Pokazała się znana lokalnie piosenkarka rockowa Freida, paląca goździkowego papierosa. Miała na sobie obcisły kostium w ukośne czerwone i białe pasy, tak że wyglądała jak bożonarodzeniowy cukierek, a do tego wysokie czarne buty, i powiedziała irańskim dżentelmenom, kiedy ją zagadnęli, żeby się łaskawie odpieprzyli. Prawdziwą sensacją wieczoru był jednak Walter Glorybrook. Ten krzepki sprzedawca hot dogów, który mieszkał na piątym piętrze, przyniósł na przyjęcie swoją tresowaną fretkę,

Eisenhowera. Zarówno Walter, jak i Eisenhower byli nieuleczalnymi zgrywusami i Walter z wielką przyjemnością pozwalał zwierzakowi chleptać poncz ze szklanki i ganiać wokół kostek piosenkarki.

- Zawołaj swoje zwierzę! - wrzasnęła Freida, ale Walter nie chciał tego zrobić i wszyscy się zaśmiali.

Ze stereo dochodziło zawodzenie Sinatry.

- Zagrajmy w coś - zaproponowała Nicole. - W szarady.

- Albo w Pierdolca - dodała Hannah.

- Scrabble? - rzuciła Marcy Conner.

Marcy pisała do czasopisma „Powergirl” i gorąco kochała słowa.

- Schlajmy się - powiedział Henry.

- Nabuzujmy się - zgodził się z nim Tony. Eva zmarszczyła czoło.

- Zróbmy co? Nicole strzeliła palcami.

- Łamańce - zaproponowała.

Irańczycy unieśli szklanki, mrugnęli do Freidy.

James Branch siedział pośród rozgadanych, błyskotliwych gości. Nie chciał zlekceważyć prośby Patricka i wyjść, ale czuł wyraźnie, że nie pasuje do tego towarzystwa, zwłaszcza kiedy barmanka Cri-spln i Walter Glorybrook zaczęli siłować się na rękę na stoliku do kawy. James popadł w jeszcze większe zakłopotanie, kiedy Sarah Wolf, która wydawała się nieśmiała i sympatyczna, połknęła trzy złote rybki Patricka, żeby dowieść swojej odwagi. Wkrótce Crispin i Walter przeszli od siłowej rywalizacji do ożywionej dyskusji na temat kriogeniki. James wstał i zaczął się przeciskać między ciałami w swojej kuchni. Pijana dziewczyna chwyciła go za rękę.

- Gdzie jest jacuzzi? - przekrzyczyła muzykę.

James wskazał nieokreślony punkt i minął ją. Ruszył zatłoczonym korytarzem w stronę przedpokoju i Otisa. Na drodze stanęły mu jednak Hannah Glorybrook, Freida i niemiecka au pair, zebrane wokół drzwi do sypialni Patricka. Uśmiechały się i chichotały, a Hannah trzymała w rękach wijącego się Eisenhowera, Kiedy Freida uchyliła lekko drzwi pokoju Patricka, Hannah wepchnęła zwierzę do środka.

- Hej - powiedział James.

Kobiety odwróciły się szybko. Freida domknęła drzwi.

- Go robicie? - zapytał James.

Hannah pokazała mu zęby w uśmiechu.

- Nic - odparła słodko.

Za drzwiami Patricka coś zapiszczało.

- Patrick nie lubi, kiedy ludzie zaglądną do jego pokoju - oznajmił James.

Freida założyła ręce na piersiach. Była wysoka, włosy opadały jej półkoliście na jedno oko jak sierp.

- A kim ty jesteś? - chciała wiedzieć.
- Współlokatorom Patryka - wyjaśnił James.
- Kobiety wycofały się i mieszały z innymi gośćmi, wciąż chichocząc.. ‘

James przygryzł wargę i popatrzył badawczo na zamknięte drzwi. Słyszał daleki śmiech Patryka, a z tego, co wiedział, fretki potrafią poszarpać sypialnię na strzępy w ciągu sześćdziesięciu sekund. Tak więc James wsunął się po raz pierwszy do pokoju Patryka i zamknął za sobą drzwi.

- Eisenhower? - szepnął. Światło nie było włączone, nie znalazł żadnego kontaktu na ścianie. - Eisenhower?

Usłyszał szczebiot fretki.

- Chodź, Eisenhower. - Klepnął się po udzie. - Chodź tutaj.
- Patrick? - doszedł go czyjś głos. - Patrick, czy to ty? James zamarł. Głos był ludzki, kobiecy. Był z nim w pokoju.

- Halo? - W tajemniczym głosie słychać było zdenerwowanie.

- To nie Patrick - odpowiedział ciemności James. - To James Branch. Współlokator Patryka.

- Och. - Właścicielka głosu odchrząknęła. - A więc, współloka-torze Patryka, czy mogłabym cię prosić, żebyś wziął tego gryzonia z mojego brzucha?

James zrobił trzy kroki do przodu. Jego oczy przystosowały się do ciemności, a lekka poświata księżycy pozwoliła mu dojrzeć, kto zajmuje łóżko Patryka. Była to naga młoda kobieta. Leżała na wznak z rozpostartymi rękami i nogami, a jej kostki i nadgarstki były przywiązane mocno czarnymi krawatami do czterech słupków łóżka. Miała włosy w kolorze miodu, obcięte przy skórze, jak u kadeta. Okrągłości jej ciała musiały sprawiać przyjemność mężczyznom i złość kobiety. Po jej obnażonym tułowiu biegała tam i z powrotem fretka Eisenhower.

- O rany. - James popatrzył na podłogę. Jego twarz zapłonęła. - Cześć... przepraszam, że... ehm. Powiniennem wyjść.

- Proszę, nie rób tego - powiedziała młoda kobieta. - Tak mi się nudzi.

James spojrział w górę, nie potrafiąc się powstrzymać..

- W porządku. Możesz na mnie patrzeć, nie dbam o to, leżę tak od wielu godzin. Po prostu zdejmij ze mnie tę cholerną fretkę.

James zaczerpnął powietrza. Nie miał właściwie żadnego doświadczenia z nagimi kobietami. Miał dotąd tylko jedną prawdziwą dziewczynę, Eleanor - studentkę z Pratt, z którą spał kilka razy. Eleanor jednak nigdy nie stała ani nie leżała nago przed Jamesem. Podczas nieśmiałych zbliżeń zawsze miała na sobie wymyślną, fał-dzistą koszulę nocną. Koszula była purpurowa i obszerna, jak szata najwyższej kapłanki, i nie wiadomo dlaczego James wbił sobie do głowy, że kobietom wydawano takie koszule w szkole średniej, by używały ich w przyszłości, kiedy będą się kochać.

- Chodź, Eisenhower. - James przełknął głośno, podszedł do brzegu łóżka Patricka, wyciągnął ostrożnie rękę. - No dalej, Eisenhower, idziemy. - Fretka zaskrzeczała, próbowała czmychnąć, ale James ją złapał. Jego palce musnęły nagą skórę na żebrach młodej kobiety, ale poza tym jej nie dotknął. Podniósł zwierzątko do góry, żeby je obejrzała, jakby je właśnie urodziła. Kobieta wywróciła oczami.

- Mały sukinsyn. Właściwie, kto nazywa fretkę Eisenhower?

- Walter Glorybrook - powiedział James. - Mieszkanie sześć F.

- To było pytanie retoryczne.

- Och. - James, wciąż zawstydzony, starał się nie wlepiac oczu we wspaniałe uda, które miał przed sobą.

Młoda kobieta westchnęła.

- Wyrzuć go za drzwi. Ale wróć i porozmawiaj ze mną.

- W... w porządku.

James pozbył się Eisenhowera. Zamknął dobrze drzwi i wrócił do nieznajomej. Podniósł niebieski flanelowy koc z podłogi i rozciągnął go na nagim ciele. Koc przykrył ją od palców u nóg do szyi.

- Nie musisz tego robić - powiedziała. - Nie jestem już skromna. James zaczął rozluźniać krawat, który unieruchamiał lewy nadgarstek dziewczyny.

- Lepiej mnie nie odwiązuj. To mogłoby go wkurzyć... Nazywam się Raiły.

James opuścił ręce. Stał prosto i popatrzył zaskoczony na młodą kobietę.

- To znaczy, to mogłoby wkurzyć Patricka? Raiły znów westchnęła.

- Może przysuniesz sobie krzesło?

James obrzucił wzrokiem otaczającą go ciemność. Spojrzał na blask księżyca na Hudson za oknem, popatrzył przez ramię na drzwi. W końcu przywołał całą swoją zuchwałość i zrobił to, co zaproponowała Raiły. Przysunął sobie krzesło i usiadł.

- To, ehm - powiedział James - to jest bardzo dziwne.

- Opowiedz mi o tym.

- Czy jesteś dziewczyną Patricka?

- Nie wiem, czym jestem.

Wzrok Jamesa przesunął się po nadgarstkach i kostkach Raiły.

- Czy jesteś pewna, że nie powinienem cię odwiązywać?

- Tak.

- Czy to... kara?

Raiły wzruszyła ramionami. Przez chwilę milczeli.

- Nie za bardzo umiem rozmawiać z kobietami - wyjaśnił James.

- Nie martw się. Akurat teraz mógłbyś wyrecytować alfabet i byłabym zafascynowana.

James pokręcił głową. Obejrzał pokój Patricka - nic tam się nie rzucało w oczy oprócz tej rozebranej, przywiązanej kobiety. Na podłodze koło łóżka leżał czarny stanik i inne koronkowe ozdoby.

- To dziwaczne - powiedział znowu James.

- Mówisz tak śpiewnie, - Raiły po raz pierwszy uśmiechnęła się do Jamesa. - Jesteś Latynosem?

- Nie. Ja, ehm... - James potarł się po szyi. - W szkole średniej miałem prywatne lekcje z Wenezuelką. Pomogła mi poradzić sobie z jękaniami i jakby podłapałem jej akcent.

- Naprawdę? Jak kiedyś mówiłeś? Wiesz, kiedy się jąkałeś?

James zarumienił się. Przez cienki koc dostrzegł biodra i sutki Raiły.

- No, powiedz mi.

- W porządku. - James wymówił kilka zdań tak jak dawniej.

- O kurczę. Było kiepsko, zgadza się.

- Tak.

- Ale teraz jesteś całkowicie wyleczony, co?

- Tak mi się zdaje.

- A ja jestem całkowicie naga. - Raiły spojrzała na lewo i na prawo. - Myślałam, że pokój Patricka to zakazana strefa. Tak w ogóle to po co tu wszedłeś, Jamesie Branch?

- Po Eisenhowera. Parę dziewczyn go tu wpuściło. Ehm, pomyślałem, że może... pogryźć różne rzeczy.

- Co to za dziewczyny?

- Hannah i Eva. I dziewczyna ubrana jak cukierek.

- Idiotki - prychnęła Raiły.

Znów przez moment panowała cisza. James pomyślał o Eleanor, która zaraz po seksie zawsze chciała się ubrać i grać w remika.

- A więc, czym się zajmujesz, James?

James nie odpowiedział. Jego członek już raz nabrzmiał i zwiotczał. Popatrzył przez okno, skupił uwagę na rzece.

- Słuchaj - powiedział - myślę, że powinienem cię odwiązać. Czy nie jest ci... niewygodnie?

- Nie - rzuciła oschle Raiły. - A to, że jestem przywiązana, nie powinno cię obchodzić.

- Przepraszam.

Głowa Raiły była przekręcona na bok i leżała na materacu, twarzą do Jamesa.

- Nie ma sprawy. Najwyraźniej mnie też nie powinno to obchodzić. On nigdy mi nie mówi, dlaczego to robi.

- To nie jest pierwszy raz?

- Ciekawski, ciekawski.

James ku własnemu zdziwieniu prawie się zaśmiał. Powstrzymał śmiech wzbierający w jego gardle.

- Chcesz, żebym sobie poszedł? - zapytał.

- Chcę, żebyś ze mną porozmawiał. Powiedz mi, czym się zajmujesz.

James popatrzył na Raiły. Miała wystające, zaokrąglone kości policzkowe i subtelnie zarysowany podbródek. Nie mógł dojrzeć koloru jej oczu, ale wyczuwał w nich siłę, twardą koncentrację, która pasowała do kształtu jej policzków. James domyślał się także, chociaż nie wiedział dlaczego, że młoda kobieta nie jest przyzwyczajona do krótkich włosów. Jej ładna twarz wydawała się przestraszona, jakby była tak samo naga jak jej ciało i dopiero od niedawna zupełnie odsłonięta.

- Halo? Ziemia do Jamesa? James mrugnął.

- Tak. Przepraszam. Jestem księgowym w Harrow East.

- Facet od liczb. - Raiły skinęła głową. - A więc mieszkasz i do tego pracujesz z Patrickiem. Musisz o nim wszystko wiedzieć.

- Niczego o nim nie wiem.

- Ale bawisz się z nim. Dzisiaj jesteś na jego imprezie.

- Tak jakby. Właściwie chciałem... wyjść. - James miał na sobie rozciągniętą flanelową koszulę i dzinsy. Napiął pod ubraniem mięśnie przedramion i łydek, wyobrażając sobie, co by czuł, gdyby ktoś je uwięził, spętał sznurem, tak jak mięśnie Raiły. Znow wędrował oczami po całej okrytej kocem kobiecie.

Raiły śledziła jego spojrzenie.

- Mam ładne ciało, prawda? James schylił głowę.

- Przepraszam.

- Ale jednak to prawda?

James skinął głową, nie podnosząc wzroku.

- Patrick każe mi się w nie wpatrywać. Każe mi stać nago tam, przed swoim lustrem, i wpatrywać się w moje ciało.

James prawie się nie poruszał. Nigdy nie słyszał, żeby kobieta mówiła w ten sposób. Nie rozumiał, dlaczego go nie odprawiała.

- Chce chyba, żebym zrozumiała, jaka jestem seksowna. No więc świetnie, jestem seksowna. Zgadza się?

James obejrzał nasady swoich paznokci.

- Chyba powinienem już iść., - Czekaj chwilę. A więc jeśli jestem seksowna i trzyma mnie tutaj całkiem naga i bezradna, podczas gdy sam flirtuje za drzwiami, czy to jest jakiś pokręcony afrodyzjak?

- Nie...

- Czy to rusza facetów?

James popatrzył na wystające spod koca stopy młodej kobiety. Były szczupłe, drobne.

- Nie wiem. Nigdy... nikogo nie wiązałem.

- Czy mógłbyś to sobie jednak wyobrazić? - Raiły potrząsnęła ramionami, oparła głowę na poduszce. Przyglądała się uważnie Jamesowi, jakby się razem uczyli do klasówki. - Czy mógłbyś wyobrazić sobie, że robisz to na próbę i okazuje się to potężnym wstrząsem dla twojego libido? Wiesz, dla twojego popędu płciowego?

- To naprawdę bardzo dziwaczne - powiedział cicho James.

- Och, przestali.

- Ale... słuchaj, nawet cię nie znam. Raiły wywróciła oczami.

- Nazywam się Raiły McWilliams, mam trzydzieścijeden lat, piszę reportaże z podróży, przesiaduję w Minotaurze. W porządku?

- Piszesz o podróżach? - James wyprostował się trochę na krześle. - Naprawdę?

- O, ludzie - westchnęła Raiły.

- Przepraszam, ja tylko... - James nie dokończył. Pomyślał o Wenezueli, o potrawach, które według jego wyobrażeń Anamaria gotuje dla swojego męża. Popatrzył młodej kobiecie głęboko w oczy. - Po prostu wydaje się, że to dobre życie.

Raiły otworzyła usta, jakby chciała się poskarżyć, ale się rozmyśliła. Zwróciła w końcu uwagę na obecność szczupłego młodego mężczyzny obok siebie, na jego niedbałą fryzurę, na jego workowate dzinsy. Siedział bardzo spokojnie, prawie krzyżując ręce na kolanach, i w świetle księżyca jego twarz wyrażała rzadko spotykane, urocze zakłopotanie. Raiły przechyliła głowę, spojrzała uważniej na swojego towarzysza.

- Czy spotkaliśmy się już kiedyś? - zapytała.

- Nie sędzę.

- Masz ładne oczy. Wydajesz się jakby senny. Wiesz?

- Cóż - powiedział James. - Ehm. Dziękuję. Raiły zaśmiała się.

- Doprowadzam cię do szału, co?

- Po prostu... nie za bardzo umiem rozmawiać z kobietami.

- Już to mówiłeś.

- Przepraszam.

Popatrzyli na siebie intensywnie. Przez lekko uchylone okno pokoju dolatywały z daleka głosy kolędników albo pijaków śpiewających o Bożym Narodzeniu w mieście. Na okapie za oknem leżała warstewka śniegu.

- Hej - odezwała się Raiły - ile masz lat?

- Dwadzieścia sześć.

- Dlaczego tak cię zainteresowała moja praca? Dużo podróżujesz, Jamesie Branch?

Pod dzinsami James czułpot na kolanach. Nie wiedział, dlaczego się poci, chyba że chodziło o włosy młodej kobiety, które wyglądały surowo i ślicznie na tle poduszki.

- Kiedyś chciałem zwiedzić świat.

- Taak? Gdzie chciałeś pojechać? Może tam byłam.

- Prawdopodobnie nie.
- Może jednak.
- W Himalaje. Raiły uśmiechnęła się.
- Dach świata.

James prawie już oprzytomniał i miał zamiar odezwać się do uśmiechniętej Raiły, kiedy drzwi sypialni się otworzyły.

- O, kurczę. - James zerwał się z krzesła.

Jakieś ciało wtoczyło się przez drzwi. W prostokącie światła padającego z korytarza intruz wykreślił chwiejny piruet. Była to barmanka Crispin.

- Dzie toaleta? - dopytywała się. - Tottutaj?

Zaczęła rozpinać klamrę przy pasku. Raiły zachichotała, a James podszedł szybko do Crispin i wziął ją pod pachy. Odholował ją na korytarz, zamknął za sobą drzwi pokoju Patricka.

- Hej, kolego. - Crispin oparła się ciężko na Jamesie, wciąż mocując się z klamrą.
- Nie zdejmuj spodni - poradził James.
- Dzie toaleta, kolego?

James zaciągnął dziewczynę wzdłuż korytarza do drzwi łazienki.

- Co się dzieje? - Patrick nagle pojawił się obok Jamesa. Crispin stanęła prosto, z pełnym godności wyrazem twarzy, a spodnie zjechały jej do kolan.

- Muszę opróżnić pęcherz - powiedziała Patrickowi. Wpadła do łazienki. Patrick zachichotał.

- Zgubiła się - wydyszał James - błąkała się po mieszkaniu. Patrick uśmiechnął się blado.
- Dobrze się bawisz?

James zajrzał ponad ramieniem Patricka do kuchni: Henry Shaker śmiał się do telefonu komórkowego, a Checkers i Donna się obmacywali. Rzucił też okiem na marynarkę Patricka, pod którą, w lewej kieszeni na piersi - James był tego prawie pewien - gospodarz imprezy nosił swój pistolet.

- Ja... - odparł James. - Pewnie. Tak, dobrze. - Jego twarz była zaczerwieniona, pulsowała mu w skroniach krew.

Henry zarechotał do telefonu, przywołał Patricka machnięciem ręki.

- Rigg. Chodź tego posłuchać.

Patrick popatrzył dziwnie na Jamesa, potem poklepał go po policzku. 1 .

James Branch nigdy nie był kobieciarzem. Jego rodzice nie przekazali mu zbyt wielu wzorców w sferze miłosnej. Nigdy się nie całowali ani nie obejmowali na oczach swojego jedyne dziecko, nie wychodzili na obiad ani do kina, i James nigdy nie usłyszał z ich sypialni niczego, co by przypominało sapanie. James tylko raz miał opiekunkę, w pewną sobotę, kiedy jego rodzice zostali na noc w szpitalu w Minneapolis, żeby jego matce usunięto wyrostek. Ojciec nigdy nie podsunął Jamesowi pisma pornograficznego - ani nigdy by pewnie czegoś takiego nie posiadał - i nigdy nie odciągnął Jamesa na bok, żeby omówić z nim fizyczne walory Bo Derek, Kathleen Turner czy księżnej Dianę. Matka nigdy nie uświadamiała Jamesowi niebezpieczeństw seksu, jego siły przyciągania i jego dominacji w amerykańskiej kulturze. Nosła proste sukienki, przyrządzała duszoną wołowinę, była na bieżąco ze statystykami futbolowymi. Epicentrum wszystkich seksualnych wietrzyków i nawałnic w młodości Jamesa stanowił nieosiągalny ideał, Anamaria, z którą nigdy nie poznał niedoskonałości prawdziwego romansu, kiedy to oddech drugiej osoby może być nieświeży albo menu może być napisane po francusku.

James przeprowadził dotąd tylko dwa prawdziwe eksperymenty z płcią przeciwną. Pierwszym była studentka drugiego roku. Zrozpaczony przeciągającym się bólem po utracie Anamarii pewnego wieczoru wyszedł samotnie do baru, upił się trzema szklankami tarniówki i w końcu znalazł się w bocznej uliczce, gdzie przyparty do pojemnika na śmieci całował się z mocno zbudowaną dziewczyną z żeńskiego kółka, niejaką Clarice. Pocałunki trwały pięć minut, i w tym czasie Clarice mruczała, wpijała paznokcie w spodnie Jamesa i kazała mu wsadzić język do jej ucha. Kiedy James nie zgodził się wykonać tego polecenia, Clarice wezwała imię Jezusa Chrystusa, spoliczkowała Jamesa i uciekła.

Po Clarice była tylko Eleanor, która wypełniła Jamesowi dwa miesiące ostatniego roku studiów swoimi purpurowymi koszulami i grą w remika. Ani Clarice, ani Eleanor nie wzbudziły żadnej radości, nadziei czy strachu w sercu Jamesa. Nigdy nie kłócił się z nimi ani nie walczył o nie, nigdy z nimi nie tańczył, nie nauczył się tracić z nimi czasu, całować koniuszków ich rzęs i zachowywać pewnych rzeczy dla siebie.

Kiedy więc pojawiła się Railey McWilliams, James nie był na to przygotowany.

Zobaczył ją ponownie dwa dni później. Był to trzeci wieczór Hulanki i koteria Patricia miała się pojawić w restauracji Duranigan's 0 dziewiątej. James normalnie poszukałby jakiejś wymówki, ale chciał mieć okazję zobaczenia Railey w ubraniu, więc nie zdjął garnituru po pracy. Dla zabicia czasu poszedł do Centrum Rocke-fellera, gdzie oglądał turystów i tańce na lodzie. Na rogu Piątej Alei 1 Pięćdziesiątej Pierwszej Ulicy trafił na Morality Johna, który grał na gitarze dla tłumku przechodniów. Włóczęga śpiewał posępnym, miękkim głosem, patrząc prosto na Jamesa.

- Jakoś wszystko się układa - śpiewał Morality John - i czeka mnie jeszcze miłość.

James dotarł do Duranigan's kwadrans przed wyznaczoną godziną. Restauracja wyglądała bajkowo przed świętami. Hol na parterze przypominał arboretum z ostrokrzewem,

białymi i czerwonymi różami i skromnie przystrojoną, górującą nad wszystkim sosną. W marmurowej sadzawce stały dwie niebiańskie istoty, wysokie na sześć metrów i oskrobane z lodu. Ich skrzydła sięgały wyżej niż aureole. Na pierwsze piętro, które Patrick w całości zarezerwował na swoje przyjęcie, prowadziły spiralne schody wysłane dywanem koloru rubinu. Na szczycie schodów znajdowały się zamknięte dębowe drzwi, a przed nimi stała wysoka, koścista kobieta o oliwkowej skórze, której zadaniem było zbieranie czarno-srebrnych biletów na Hulankę. Kobieta odznaczała się wyniosłą śródziemnomorską postawą i miała na sobie sukienkę, która dokładnie kopiowała kolory biletów.

- Tak - powiedziała, kiedy James podał jej swój bilet, i bez uśmiechu otworzyła drzwi.

Kiedy James wszedł do środka, aż mu się zakręciło w głowie. Miał przed sobą najbardziej wspaniałomyślne i urocze nagromadzenie doskonałości, jakie kiedykolwiek widział w jednym pomieszczeniu. Podłogę wyściełał taki sam rubinowy dywan, którym przykryto schody biegnące z holu. W rogu, na najbardziej oddalonym od Jamesa końcu pokoju, w ogromnym kominku płonął wysoko żywy ogień. Piekło się tam obracane na różnie ogromne zwierzę. James nie mógł go rozpoznać na podstawie stopnia rozwarcia jego nóg czy złocistości jego skóry, ale domyślał się, że to stworzenie jest jakąś gigantyczną, importowaną świnią. Obracał ją na różnie mężczyzna w białym uniformie szefa kuchni. Miał wielką czarną rękawicę na dłoni, która obracała rożen, i wydawało się, że szeptem grozi zwierzęciu, zakazuje mięsu przypalić się albo zeschnąć. Sam uchwyt różna-mosiężne koło, które wystawało z ogniodpornych kamieni - miał ponad metr obwodu i wyglądał jak mechanizm do nakręcania jakiegoś fantastycznego zegara odmierzającego czas pozostały do dnia Sądu Ostatecznego.

W innym rogu siedział Tony DiPreschetto i grał na wiolonczeli. Miał na sobie czarny smoking i był owinięty w swój nieodłączny biały szal. Na końcach sali ustawiono po dwa wózki z winem, przy których nie brakowało kelnerów, wypełnione najlepszymi rocznikami wszystkich wspaniałych win. Pięć stołów z dwudziestoma nakryciami na każdym - dziesięć nakryć po jednej stronie - tworzyło długie, zgrabne linie. Zastawa wydawała się albo srebrna, albo kryształowa; oprócz niej niejadalne były tylko zapalone świece w kolorze wanilii, choć oszołomiony umysł Jamesa skłaniał się ku uznaniu ich za skręcone, łatwopalne laseczki toffi albo marcepana.

Wreszcie, rzecz jasna, byli tam goście. Mężczyźni, oprócz Che-ckersa i samego Jamesa, mieli na sobie czarne smokingi. James nie przypominał sobie, żeby Patrick napomknął o obowiązkowym stroju wieczorowym, a na bilecie w ogóle nic nie napisano, ale dzięki jakiemuś zbiorowemu wielkowiejskiemu instynktowi te tuziny mężczyzn wiedziały, że należy się zdecydować na ubiór dżentelmenów. Zauważył, że zażywny i kulturalny tym razem Walter Glorybrook, bez fretki, pije przy barze kolejki dżinu zaprawionego limą z Henrym Shakerem, który najwyraźniej przysrzygł swoją brew. Przy barze tkwiła też samotnie Marcy Conner o smolistych oczach, trzymając butelkę szampana za szyjkę i myśląc z niechęcią o tym, że w jej życiu dotkliwie brakuje mężczyzny. Irańczycy nie byli obecni, ale

przyszły jednakowe bliźniaczki z Juneau - eskimoskie dziewczęta o imionach Kettle i Fife - których ojciec był muzycznym obrazoburcą. Stały blisko wiolonczelisty, słuchając, jak gra.

- Hej tam.

James odwrócił się. Była to Nicole Boñner w towarzystwie swojego dużo starszego faceta i Liza McMannus.

- To Douglas Kerchek - powiedziała Nicole.

James uściskał jego dłoń. Douglas włożył zwykły, wymięty smoking i miał zdezorientowany wyraz twarzy, jakby nie wiedział, skąd się wzięła dziewczyna oparta na jego ramieniu. Jego widok poprawił Jamesowi humor.

- Czy to nie jest piękne? - Liza z uśmiechem rozejrzała się po sali.

- To Rivendell - powiedział spokojny Douglas.

- Nie - stwierdziła Nicole - to tylko Patrick.

Przy barze James wypił whisky z lodem w wysokiej szklance. Przypatrywał się uważnie gościom i damskie kreacje przeraziły go tak samo jak armia smokingów. Tego wieczoru kobiety zaproszone przez Patricka wykroczyły poza podstawowe wymogi elegancji. Ich suknie, prawie wszystkie w odcieniach czerni i srebra, idealnie opadały z ich ramion albo rozszerzały się na biodrach. Eva Baumgarten była w futrze, Hannah Glorybrook wybrała atlas, a Sarah Wolf ciągle kładła dłoń w białej rękawiczce na policzku w nadziei, że ktoś to zauważy. W pobliżu były grupki innych kobiet. Niektóre wydawały się podłe, inne zdenerwowane i miłe, ale wszystkie znakomicie się ubrały. James odniósł wrażenie, że strój każdej z kobiet, po poważnym namyśle i poważnych wydatkach, został dopasowany dokładnie do jej ciała i jej temperamentu. Pomyślał, że jest coś zbyt wypracowanego, zbyt skrupulatnie wspaniałego w tych dziewczynach, w całej sali, i zastanawiał się, czy nie jest w jakiś sposób zagrożony.

Wtedy James zobaczył Raiły. Stała przy kominku i gawędziła z szefem kuchni. Miała na sobie sukienkę w kolorze ciemnoczerwonego wina, która sięgała jej ledwie do kolan. Jej kolczyki były pięknymi, skromnymi kroplami srebra, ale krótko obcięte włosy, na tle blasku bijącego z kominka, jeszcze bardziej przypominały Jamesowi język kadeta albo szeregowca. Fantazjował przez chwilę na jej temat, wyobrażał sobie, że naprawdę jest kobietą obeznaną z żołnierskim rzemiosłem, że całymi dniami przechodzi jakiś ściśle tajny, najwyższej wagi, bardzo siłowy trening i że na ten wieczór szczęśliwym trafem dostała rzadko wydawaną przepustkę. Wiolonczela grała basową nutę i wpatrując się w Raiły, James przypomniał sobie łuki jej ciała - wyjątkowy widok, który stał się wcześniej jego udziałem. Pomyślał, nie po raz pierwszy, o opalach, które nosił w kieszeni marynarki, o świetle, którego mogłyby nabrać przy skórze Raiły. Dopił drinka i już się rumieniając, podszedł do ognia.

- Ehm - odezwał się. - Cześć. Raiły odwróciła się od szefa kuchni.

- A któż to, jeśli nie James Branch! - przywitała go, dotykając dłonią jego ramienia.

James skinął milcząco głową. Raiły patrzyła na niego z uśmiechem, a on modlił się o coś, co mógłby powiedzieć. W końcu wskazał wyprostowanym kciukiem kominek.

- Co to za zwierzę? - rzucił pytanie. Szef kuchni spojrzał ponuro spode łba.

- To dzik.

- Cóż - powiedział James. - Racja. Tak też myślałem.

- To dzik - powtórzył z naciskiem szef kuchni - i ty też jesteś „dzikiem, jeśli musisz o to pytać.

- Och. Słusznie. - James zakołysał się na piętach. Było mu przykro. - Ha, ha - dodał.

Raiły zachichotała, zmarszczyła, nos.

Mógłbym teraz umrzeć, pomyślał. Ale Raiły złapała go za łokieć i oddaliła się z nim od kominka.

- Bez smokingu, Jamesie Branch? Rumieniec Jamesa nie zniknął.

- Chyba tak - odpowiedział.

- Czyż nie jesteś dzielny?

Raiły przyprowadziła Jamesa w pobliże wózka z winem, gdzie nikogo nie było.

- Widzę, że przydałby ci się drink.

James przyjął szklanekę frascati. Obejrzał nadgarstki Raiły, szukając śladów po więzach.

- A więc - odezwała się Raiły - nie byleś' na zbyt wielu imprezach Patricka.

James wyprostował się.

- Tak bardzo zwracam na siebie uwagę?

- Wyróżnianie się spośród chłopców Patricka to dobra rzecz. - Raiły ziewnęła, przekształciła to w uśmiech. - Ty jesteś inny - stwierdziła.

James nie odpowiedział. Wchodziły właśnie Freida i Crispin, trzymając się pod rękę. Walter i Henry Shaker odeszli od baru i wzięli kurs na nie.

- Czy... czy właściwie byłaś w Himalajach? - zapytał James. Raiły pstryknęła palcami.

- Cloisters. To tam widziałam cię wcześniej. Widziałam cię raz w Cloisters.

James potrząsnął głową.

- Zapamiętałbym cię.

- Miałam długie włosy. Patrzyliśmy na gobelin. Z jednorożcem. James nie mógł myśleć o Cloisters. Zastanawiał się, co by się stało, gdyby chwycił ramię Raiły i zatopił w nim zęby albo obcałował je od nadgarstka do barku.

Raiły wypila łyk wina. Zalśniły jej od niego wargi.

- Myślisz o tamtym wieczorze, prawda, Jamesie Branch? Myślisz o tym, jak wyglądałam.

- Myślę o tym, jak wyglądasz w tej chwili - przyznał się James. Raiły uniosła brwi. Zamierzała mówić dalej, powiedzieć coś dowcipnego i zalotnego. Zamiast tego przyjrzała się ramionom Jamesa, które były szersze, niż jej się wydawało w ciemnej sypialni Patricka. Jej spojrzenie zatrzymało się na oczach Jamesa, na ich przyjemnej niebieskiej barwie, na widocznym w nich zamyśleniu. Zaczerpnęła powietrza.

- Jak smakuje wino?

Railey i James jednocześnie drgnęli. To ich uśmiechnięty gospodarz stanął obok, kładąc dłonie na ich ramionach.

- Patrick - szepnęła Railey. - Hej.

Patrick wyglądał dumnie i dostojnie w smokingu. Pocałował Railey w policzek. Potem pocałował w policzek także Jamesa i stał, szczerząc zęby to do swojego współlokatora, to do młodej kobiety.

- Wyglądasz promiennie - powiedział do Railey. - Iskrząco. Smakowicie.

Railey odsunęła się.

- Patrick.

- Czy tak jednak nie jest, Branch? Czy nie wygląda tak dobrze, że można by ją zjeść?

- Patrick - skarciła go Railey.

- No, czy tak nie jest? - dopytywał się Patrick. James był teraz oparty o wózek z winem.

- Ja... - zaczął - ja... wydaje mi się, że tak. Patrick walnął go w ramię.

- Branch jest trochę wstydlivy wobec niewieściego rodu. Railey dopiła wino.

- Niektóre niewiasty uważają, że to bardzo sympatyczne.

- Nie wątpię. Nie wątpię. - Patrick skończył się już śmiać. Wciąż szczerzył zęby jak hiena. - Railey pisze o podróżach, Branchman.

James odchrząknął. - Ja...

- On wie, co robię - wtrąciła się Railey. - James pytał mnie właśnie o Himalaje. Mówiłam mu, że nigdy tam nie byłam, ale że z wielką chęcią bym się tam wybrała.

- Tak. - Patrick skinął głową. - Wygląda na to, że James i Railey prowadzili szczerą rozmowę. Czy to tym się zajmowaliście, Branch?

- Tak mi się zdaje - powiedział James.

- Słyszysz, Rallygirl? Jemu się zdaje.

- Słyszę go świetnie - potwierdziła półgłosem Railey.

- Tak. - Patrick wyciągnął dłoń i kciukiem i palcem wskazującym ujął łokieć Railey.

Jamesowi wydawało się, że Railey się wzdrygnęła.

- Pani McWilliams - zwrócił się do niej Patrick - wypila pani swoje wino. Czy mogę towarzyszyć pani w drodze do baru?

Railey westchnęła.

- Patrick...

- Chciałbym zamienić z panią parę słów na osobności, pani McWilliams.

- Aua... w porządku, Patrick. W porządku. Patrick obrócił głowę w stronę Jamesa.

- Bardzo się cieszę, że przyszedłeś - powiedział spokojnie. Potem pokierował Railey do baru, zostawiając go samego.

- Nie wiem, Otis - szeptał James. - To dziwaczne. Patrick zbiera w jednym miejscu wszystkich tych mężczyzn i kobiety. Mężczyźni są przystojni, a kobiety piękne, ale jeśli jeden

facet rozmawia za długo z jedną dziewczyną, Patrick ich rozdziela, jak przyzwoitka. Tyle że on nie jest przyzwoitką, on jest...

James zamilkł. Nie wiedział, kim jest jego współlokator, nie znał na to odpowiedniego określenia. Wiedział tylko, że moc czy cecha Patricka budzi w nim niepokój. Zmienił temat.

- Wyglądała wspaniale, Otis. Miała na sobie sukienkę w kolorze burgunda i założyła srebrne kolczyki, a jej włosy wydawały się złote i sterczące. Miałem ochotę przesunąć po nich dłonią. - James kołysał się, oczy miał przez cały czas zamknięte. - Nie posadzono nas przy tym samym stole. Ona miała miejsce koło Patricka, a ja utknąłem między Liżą McMannus i jakimś facetem z Harrow East.

Na czole Jamesa pojawiła się bruzda.

- Nie wydaje mi się, żeby Patrick był w niej zakochany, Otis. O to ceotzi nie

James wstrzymał oddech. On wie, pomyślał.

- Musimy porozmawiać o tej lasce Freidzie.

- O Freidzie? O cukierkowej Freidzie? Tej z dziwacznymi włosami? - James przykrył palcami oko, pokazując, o czym mówi.

Patrick zarżał radośnie i kiwnął głową. - Co to za sprawa z nią?

- Zupełnie się w tobie zadurzyła. - Patrick założył ręce na piersi. Jego oczy, wąskie zielone szparki, patrzyły uważnie.

odszukała Jamesa, gdy tylko wszedł na salę. Stała teraz obok niego, bardzo blisko, opierając się plecami o bar i wypinając piersi. Połowę jej twarzy ukrywał sierp z włosów, ale jej widoczne oko, które pogardzało większością mężczyzn, wpatrywało się wyłącznie w Jamesa.

- A więc - zagadywała go - czy wiesz, że słońce zapewne dostarcza ludziom witaminy E?

- Ehm - powiedział James - nie.

- Poważnie. Podobno, zdaniem naukowców i kogo tam jeszcze, kiedy zwyczajnie stoisz na powietrzu w słońcu, napełniasz sobie skórę witaminą E. To wzmacnia ludzki naskórek.

James obrzucił wzrokiem salę. Starał się nie patrzeć na Freidę, bo jej wzrok był przenikliwy, a do tego jej koszulka ukazywała kremowy pasek jej brzucha.

- Och - powiedział.

- Słuchaj, kolego. Jestem bardzo inteligentna. 'Dużo czytam.

- W porządku. - James próbował skupić uwagę na scenie, gdzie dwaj Irańczycy spirali się przy mikrofonie.

Freida złapała dłonią podbródek Jamesa i obróciła jego twarz w swoją stronę.

- Chcę powiedzieć, że to nie wydaje się zbyt sensowne. Słońce może nas napełnić witaminami? To znaczy, zgoda, witaminy mogą pochodzić z jedzenia. Jesz stek, masz witaminy. Bierzesz tabletkę, dostajesz witaminy.

- Rozumiem - zapewnił z rozpaczą James.

- Witaminy wydzielają się z tego, co masz w żołądku, i dostają się do twojego krwiobiegu. Nie ma problemu. Ale światło słoneczne? Przykro mi, ale nie mogę w to uwierzyć. - Freida odrzuciła do tyłu swój sierp. - Chyba że jakaś, na przykład, fotosynteza, zachodzi w naszej skórze. A to byłoby pokręcone. Czy masz ochotę na drinka?

- Tak, poproszę - powiedział James. Nigdzie nie widział Raify. Freida zamówiła dwie whisky. Patrick Rigg wszedł na scenę, chwycił mikrofon.

- Moi rodzice poznali się na randce w ciemno - zaczął Patrick. - Umówił ich kolega mojego ojca z bractwa studenckiego, Emilio Snodgrass. ' - 204 '

Głos Patricka był grzmiący. Goście obrócili się ku niemu i w sali zapadła cisza.

- Moja mama twierdzi, że mój tata był nerwowym dupkiem, kiedy pierwszy raz się spotkali. - Patrick uśmiechnął się szeroko. - Prawie się do niej nie odzywał i zabrał ją na Noc żywych trupów, która ją kompletnie przeraziła. Poza tym mój tata był zakochany w innej

kobiecie, pięknej blondynce, która była związana z innym mężczyzną. - Patrick spojrzał na Jamesa. - Mój tata nawet rozmawiał o tej blondynce z moją mamą, zaraz na pierwszej randce. Ale moja mama, która, nawiasem mówiąc, ma ciemne włosy, wytrzymała to wszystko. Patrzyła na zombi i słuchała jęczenia mojego taty, a na koniec wieczoru, kiedy tata odwiózł ją do domu, pocałowała go tak, że całkiem zapomniał o tej blondynce.

Ciemnowłose kobiety obecne w Cherrywood's krzyknęły radośnie.

- Moi rodzice wzięli ślub trzy miesiące później. - Patrick podniósł swoją szklankę. - A więc: za zdrowie Emilia Snodgrassa!

Wszyscy się zaśmiali i 'trącili szklankami, oprócz Jamesa, który wpatrywał się w swojego drinka. Był pewien, że właśnie usłyszał bajkę. Był pewien, że żadne małżeństwo o nazwisku Snodgrass nie dałoby swojemu synowi na imię Emilio.

Freida szturchnęła Jamesa biodrem.

- Fajna historia.

James patrzył na kobiety, które zjawiły się w Cherrywood's. Widział, że bez względu na to, gdzie stoją i z jakimi mężczyznami flirtują, ich oczy co chwila sprawdzają, gdzie jest Patrick. Były to sprytnie krótkie spojrzenia, ale niewątpliwie to robiły.

- Hej - powiedziała Freida - wyjdźmy stąd. James skrzywił się.

- Co takiego?

Freida nachyliła się do niego.

- Wyglądasz na przestraszonego - szepnęła - jakbyś może nie chciał mówić przed tymi wszystkimi ludźmi.!

James zaczerpnął powietrza i wypuścił je z płuc. To była prawda, czuł strach. Nie miał niczego do powiedzenia zebranym, a Freida roztaczała woń seksownych perfum i Jamesowi wydawało się, że czuł ten sam zapach, kiedy stał obok Raiły w Duranigans. Ale dziś' wieczorem Raiły nie było koło niego, James miał niewiele doświadczenia w odmawianiu kobietom, a Freida naciskała natarczywie swoim biodrem jego udo.

- Jeśli teraz się zwiniemy - szepnęła - ominie nas nasza kolejka na scenie.

James po raz ostatni ogarnął wzrokiem gości.

Bądź tutaj, błagał. Ale Raiły tam nie było i Freida wyciągnęła Jamesa za drzwi. Wepchnęła go do taksówki, zawiozła do Yillage i napiła piwem w Chumley's. Dwie godziny później James był już w jej mieszkaniu, norze z włochatymi różowymi dywanami, czarnymi ścianami i stroboskopami. Dała mu jeszcze trochę piwa, potem posadziła go na swoim łóżku, chwyciła gitarę i zaśpiewała dla niego piosenkę pod tytułem „Pieprzyć bawołu”. Kiedy skończyła, pocałowała Jamesa dziko w usta.

- Czekaj chwilę - zaprotestował James. Kręciło mu się w głowie po piwie, ale odsunął się od Freidy na łóżku.

- O co chodzi? - szepnęła, przesuwając palce wzdłuż jego ramienia.

- Ja... - James oddychał starannie, walczył z jękami, które powracało czasami, kiedy pił. - Chcę wiedzieć, co jest grane - powiedział.

Freida skubnęła ucho Jamesa.

- Ja i ty, to jest grane.

James znów się wyrwał. Powietrze pulsowało od światła stroboskopowej lampy.

- Ja... naprawdę chcę wiedzieć. Dlaczego mnie nagle polubiłaś? - Czy potrzebuję powodu?

- Dlaczego? - James wstał.

Freida podwinęła nogi na łóżku. Wzruszyła ramionami.

- To milenium. Jesteś miły.

Nogi Jamesa drżały. Czuł, że dał się złapać w pułapkę.

- Czy znasz Raiły McWilliams? - rzucił. Freida klepnęła łóżko.

- No, chodź - powiedziała. - Wsuń się pod koc. Wzmocnię twój naskórek.

James przełknął ślinę. Wpatrywał się w piersi Freidy, w jej czarne spodnie ze streczu, w zapraszający uśmiezek na jej twarzy. To miało być łatwe. Był napalony, a Freida była śliczna, ale znalazł się tam w wyniku ukartowanej intrygi. Nie chciał pochopnie uznawać Freidy za dziwkę, ale choć wydawało się to szalone, Patrick jakoś przekonał tę dziewczynę, żeby go uwiodła. James był o tym przekonany.

- Muszę iść - wyjąkał.

Freida przesunęła rękę po swoim ciele.

- Oszalałeś? Popatrz na mnie.

James chwycił swój płaszcz. Potrzebował Otisa.

- Przykro mi - powiedział.

- Chyba nie mówisz poważnie. Hej, kolego? Hej! James zniknął za drzwiami.

Tego wieczoru James nie mówił w windzie zbyt wiele. Kołysał się i kołysał z zamkniętymi oczami i o niczym nie myślał. Siedział, oddychał i czuł, w jaki sposób jego kończyny i mięśnie łączą się i tworzą człowieka. Po chwili do jego umysłu napłynęły trzy spokojne obrazy. Najpierw jego matka leżała na kanapie w salonie i czytała dział sportowy. Potem Kettle i Fife siedziały wspólnie na krześle w Cherrywoods i śpiewały swoją eskimoską piosenkę. Kiedy skończyły, wyjaśniły, że jest to pieśń o stworzeniu, plemienny mit o powstaniu świata. Jamesowi wydawało się, że widział, jak oczy Kettle zwilgotniały, kiedy o tym mówiła.

Ostatnią spokojną rzeczą, o jakiej pomyślał James, był kształt czaszki Raiły. Pamiętał, że był tam zabawny, pochyły guz zaraz za jej uchem, dodatkowa warstwa kości, która nie byłaby widoczna, gdyby Raiły miała długie włosy. Guz występował symetrycznie po obu bokach jej głowy, więc James wiedział, że nie jest to nic rakowatego ani szkodliwego. To była po prostu ona.

James szukał Raiły na pozostałych imprezach wchodzących w skład Hulanki. W te wieczory, kiedy mieszkanie jego i Patricka wypełniało się gośćmi, James dokonywał w głównym pokoju przeglądu fryzur, mając nadzieję, że dojrzy jej krótko ostrzyżoną głowę w kolorze miodu. Rozmawiał o zabawkach z Henrym Shakerem, poznał lepiej Douglasa Kercheka, nawet cierpliwie znosił napastliwe zaloty Freidy. Podczas wypadu grupy na Fizzle, milenijną rewię w teatrze Lucas, James śmiał się i klaskał razem z przyjaciółmi Patricka. Co wieczór informował Otisa o braku śladów Raiły.

- Może wyjechała, Otis - domyślał się James. - Może ma jakieś zadanie z okazji końca wieku w Europie albo w Azji.

Nie chciał jednak wyjawiać Otisowi, ani nawet sobie, swojego głębiej tkwiącego podejrzenia, swojej obawy, że Patrick zakazał Raiły uczestnictwa w Hulance tylko dlatego, że dotrzymywała mu towarzystwa. James wiedział, że jego współlokator zniewolił swoim urokiem kilkadziesiąt kobiet, ale niepokoiło go, że Patrick może wywierać na nie aż tak wielki wpływ, traktować je jak marionetki, blokować jednej całkowicie dostęp do Jamesa i zmuszać drugą, żeby mu się narzucała. Zastanawiał się, co właściwie Patrick dawał tym kobietom, skoro uzyskiwał nad nimi taką władzę? I jaką przyjemność dostawał w zamian? James wyobraził sobie nagą Freidę przywiązaną do słupków łóżka Patricka tak jak Raiły, kiedy ją znalazł. Wyobraził sobie w takim samym położeniu Lizę McMannus i Evę, i Crispin, i Sarah Wolf, i Hannah Glorybrook, bo widział, jak wszystkie one wymykały się z sypialni Patricka w różne wieczory w ciągu poprzedniego roku. James z początku uznawał cały ten ruch za najzwyczajniejszy hedonizm, ale teraz, podczas Hulanki, myślał inaczej. Patrzył, w jaki sposób Patrick rozmawia intymnie w kącie z Crispin, w jaki sposób trzyma za rękę Evę na przedstawieniu Fizzle. Było jasne, że Patrick przestrzega jakiegoś pomyłonego rycerskiego kodeksu moralnego, który opracował dla własnych potrzeb, że przywiązuje się mocno do każdej kobiety, z którą się zaprzyjaźnia, i każdą z nich chce chronić.

Ale James nie chciał myśleć o wszystkich kobietach Patricka ani ich poznawać. Chciał tylko Raiły, po raz pierwszy jego dorosłe serce skłaniało się tak mocno ku jednej kobiecie. Pragnął na nią patrzeć, rozmawiać z nią, sprawdzić, czy ucisk w żołądku zelżeje mu kiedyś, podczas gdy ona będzie obok. Przerazała go myśl, diabelska możliwość, że Patrick to wszystko wywahał, że popchnął na niego pierwszą lepszą seksowną kobietę, Freidę, dla odwrócenia jego uwagi, po to tylko, żeby nie pozwolić mu przeżyć czegoś cudownego, może nawet szlachetnego z Raiły.

- Czy jest zazdrosny, Otis? - spytał James. Ciemność nie odpowiedziała:

- Na pewno jest zazdrosny - wyszeptał James.

W krwi Jamesa zapanował nowy ład. Kołysał się w windzie i przyłapywał się na tym, że wstrzymuje oddech. Zrozumiał, że raczej da się nabić na iglicę Chrysler Building, niż pomyśli o tym, że Raiły kiedykolwiek mogłaby wrócić na swoje miejsce w sypialni Patricka, gdzie byłaby naga, przywiązana.

Jezu, pomyślał. Czy jestem zakochany?

Sylwester przyniósł odpowiedź na to pytanie. James z czarnym biletem w ręku zjawił się w klubie Minotaur w dzielnicy rzeźni. Nigdy wcześniej nie był na rave party i nigdy nie był w Minotaurze, ale pamiętał, jak Railey powiedziała, że tam przesiaduje, więc zaryzykował. Nie był przygotowany na mroczną swobodę klubu, na jego labirynt zakamarków, bary ze stalowymi ladami i jaskrawonie-bieskim oświetleniem za butelkami. W jednym z pomieszczeń stała autentyczna żelazna dziewica, narzędzie tortur, z szeroko otwartymi drzwiami, a w innym zestaw mebli kuchennych z lat pięćdziesiątych, typowy dla ówczesnej Ameryki - kuchenka gazowa, lodówka, stół i krzesła - został przybity gwoździami na suficie, do góry nogami. W Forum, rozległej jaskini, głównej sali Minotaura, Freida Wheeler i jej zespół, Motłoch, brykali po scenie, uderzając w swoje instrumenty i śpiewając jękliwie teksty. Kettle, Fife i Hannah Glorybrook wykonywały barbarzyński taniec na parkiecie. Wszystkie trzy miały na sobie zapinane z przodu czarne sukienki z głębokimi dekolcami i popisywały się grubą warstwą czarnego cienia na powiekach, a także srebrnymi krzyżykami wpiętymi w języki.

Sytuację w Forum kontrolował Half Stack, sławny didżej i bramkarz z Minotaura, który raz zamknął na klucz w żelaznej dziewicy pijanego, awanturującego się menedżera New York Mets na godzinę. Half Stacka złościło, że tego wieczoru zastąpił go zespół i że właściciel klubu pozwolił Patrickowi urządzić prywatną imprezę w piątek, w dodatku w milenijnego sylwestra. Piątek był normalnie wieczorem ska w Minotaurze, wieczorem, w który klub wypełniali najwierniejsi obszarpani zwolennicy Haifa Stacka, i jedyną rzeczą, która łagodziła gniew didżeja, był widok Lizy McMannus w elektryzującej różowej mini.

James z trudem znajdował drogę z jednego pomieszczenia do drugiego. Klub znajdował się w podziemiach, zajmował obszar całego miejskiego kwartału i James ani razu nie wszedł dwukrotnie do tego samego zakątka. W pewnym zacisznym miejscu zobaczył, jak klęczący na jednym kolanie Tony DiPreschetto oświadcza się kobiecie, której James nigdy wcześniej nie widział. Niedaleko nich Marcy Conner, oparta o żelazną dziewicę, głaskała swoje samotne przedramiona. W innym pokoju Jeremy Jax i właściciel teatru Lucas, Michael Hye, wznosili toasty kieliszkami w kształcie kwiatowych płatków z fluoryzującym żółtym likierem.

- W nowym milenium - powiedział Jeremy - pójdę do łóżka z dziewiczą prostytutką.;
- Ja - zachichotał Michael - oszukam chińską mafię.
- Ja zostanę współprezesem Mensy. Michael beknął.
- Ja sprawię, że ludzie zapomną o słodyczach.

W jeszcze innej niszy siedzieli mężczyzna z twarzą mopsa i kobieta z włosami do pasa. Trzymali się za ręce i kiedy zobaczyli Jamesa, mężczyzna zaproponował:

- Weź udział w naszym czuwaniu.

James wędrował dalej przez labirynt Minotaura, błądząc, ale niczego się nie obawiając. Było tam wiele pomieszczeń, które miały ściany, ale sufitów już nie, więc światła i hałasy docierające z góry zawsze wskazywały, w którym kierunku znajduje się Forum, centrum labiryntu. James więc wałęsał się, słuchał rozmów, patrzył na nieznajome w pantoflach na obcasie, aż wreszcie doszedł do pokoju, który byłby pusty, gdyby na podłodze w cieniu nie siedział mężczyzna grający na gitarze. Był to ten pokój z kuchnią na suficie.

- Lepiej coś z tym zrób - śpiewał gitarzysta - bo nie chcę bez tego żyć.

James spojrział badawczo w półmrok. Znał ten głos.

- Jesteś John - odezwał się. - Jesteś Morality John. Piosenkarz skończył śpiewać. James widział tylko jego zęby i podbródek. Nigdy wcześniej nie odezwał się do tego mężczyzny, ale teraz miał więcej odwagi.

- Jak się nazywa ta piosenka? - zapytał.

- „Nie mogę czekać ani dnia dłużej” - odparły zęby.

- Słyszałem już, jak ją grałeś. Słyszę cię w metrze.

- Wiem. - Mężczyzna siedział nieruchomo w cieniu. - Wiem, kim jesteś.

James rzucił okiem na sufit, na zastygłą kuchnię.

- Jak się tu dostałeś? Patrick cię zaprosił?

- Nie to chcesz wiedzieć - powiedziały zęby. James wstrzymał oddech.

- Chcesz wiedzieć, co zrobisz.-wyjaśnił Morality John. James rozejrzał się, sprawdzając, czy są sami.

- Co zrobię w jakiej sprawie? Morality John tylko się uśmiechnął.

James podszedł do niego. Nie odważył się zbliżyć na tyle, żeby zobaczyć twarz gitarzysty - wydawało się to tego wieczoru sprzeczne z zasadami - ale czuł się jak wieśniak przybyły do Delf.

- Czy to o niej? - szepnął James. - Czy to o niej i o mnie... śpiewasz piosenki?

W oddali gitary Motłochu ucichły w połowie akordu. Rozległ się łoskot i wrzask. James popatrzył na otwór wejściowy. Hałasy dobiegały od strony Forum. Słysząc było ryki i tupanie ciężkimi butami.

- Co się dzieje? - zastanawiał się głośno James.

- Idź zobaczyć - powiedział Morality John.

James poklepał się po kieszeniach. Ruszył w stronę drzwi, przystanął i obejrzał się za siebie. Morality John położył palec na wargach i pokazał mu, żeby wracał do Forum.

- Idź zobaczyć - powtórzył.

Do czasu, gdy James tam dotarł, fala skinheadów zalała parkiet.

Była to łącznie ponad setka umięśnionych dzieciaków z kolczykami w nosach, dziewczyn bez brwi, facetów w wieku Jamesa z tatuażami i ogolonymi czaszkami, w wysokich butach ze stalowymi czubkami. Nastąpił przewrót: szeroko uśmiechnięty Half Stack stał koło sceny, w drzwiach pożarowych klubu, które wcześniej otworzył na oścież, żeby wpuścić swoich

wygnanych ulicznych braci, którzy wciąż tłumnie wkraczali do środka. Kettle, Fife i Hannah przywitały przybyszów radosnymi okrzykami, ale Eva Baumgarten, cierpiąca na klaustrofobię, zmarszczyła brwi. Freida i Motłoch stali niepewnie na scenie, instrumenty wisiały luźno przy ich bokach, a Patrick Rigg w tym czasie nachylał się ze złością nad barem, klóćąc się z właścicielem Minotaura. Patrick pokazywał gestami, że nie zapraszał tych wyrzutków. Właściciel wzruszył ramionami, uniósł dłonie, i wtedy Patrick kopnął bar i rozbił szybę. Tymczasem Half Stack wskoczył do kabiny dyskdżo-keją i włączył BossTones. Przed sceną zaczęła się chaotyczna zabawa z użyciem tłukących w podłogę martensów i rozlatanych łokci. Sarah Wolf, która umiała tańczyć tylko tango, schroniła się w bezpiecznym miejscu. James stał na skraju zatłoczonej części parkietu i patrzył na przyjacielską bijatykę. Była jedenasta trzydzieści.

- Wzięli szturmem Bastyle - powiedział stojący obok Jamesa Douglas Kerchek.

James skinął głową i nagle zamarł. Kilka metrów od niego była Raiły w dżinsowej spódniczce, brązowych skórzanych buciorach i białej kowbojskiej bluzie z niebieskimi cekinami. Wirowała i śmiała się przed sceną, i po sposobie, w jaki popychała otaczających ją mężczyzn i była przez nich popychana, James widział jasno, że należy do tej grupy, że wpłynęła do klubu razem z falą wygolonych intruzów. Przygnęło go to, bo Raiły wydała mu się jeszcze bardziej obca i niedostępna. Ale parę sekund później, w połowie obrotu, Raiły go zobaczyła. Krzyknęła, przedarła się przez tłum i prawie przewróciła go swoim uściskiem. - Jesteś tutaj - zapiszczała.

James odsunął ją od siebie, ale nie puścił. W oddechu Raiły wyczuwał amaretto, ale nie sprawiała wrażenia pijanej. - Jestem... jestem tutaj - potwierdził James.

- Szczęśliwego Nowego Roku - wydyszała Raiły. - Zatańcz ze mną.

- Och. Ehm. Nie jestem tak naprawdę...

- Tańczysz ze mną. - Raiły wciągnęła Jamesa w ten szaleńczy zamęt. Odrzuciła go od siebie, śmiała się, kiedy obijał się pośród ciał, uderzyła go radośnie w ramiona, kiedy potykając się, wrócił do niej. James wyginał się najlepiej, jak potrafił, starał się dorównać zapalem dziewczętom i facetom, którzy go otaczali, i pozostawać w pobliżu Raiły. Muzyka pędziła naprzód w tempie mogącym wywołać atak serca, dopóki na chwilę przed północą nie zabrzmiała przyjemna melodia grana na pianinie. Jakby to był sygnał, skinheadzi uklonili się sobie i połączyli się w pary. Raiły odnalazła Jamesa, dygnęła przed nim, złapała go za ręce.

- Ale numer - powiedział James.

- To Doiły Parton - wyjaśniła Raiły. - To „Herę You Come Again”. Ja poprowadzę.

James poruszał niezdarnie stopami, rumieniąc się. Muzyka była rozkoszna, cekiny Raiły absurdalne. To szaleństwo, pomyślał.

- Half Stack puszcza to co piątek o północy - dodała Raiły. - To tradycja w Minotaurze.

James naśladował kroki Raiły. Obracała go w walcu. Wszędzie wokół nich pary - mężczyźni z mężczyznami, mężczyźni z kobietami, kobiety z kobietami - zataczały

eleganckie łuki. Gwałtowniejsze ruchy jak na razie zniknęły. Kilkoro z nich przy tym śpiewało. Byli ubrani w podarte skóry i mieli okropnie poprzekłuwane ciała, ale mrugali do Jamesa, jakby był nowym rekrutem.

- To szaleństwo - szepnął James.

Raiły opierała swój policzek o jego twarz. Przerzierał cały parkiet pod jej kierunkiem.

- To tradycja - powiedziała.

James tańczył dalej. Nie pytał Raiły, gdzie ostatnio była, nie pytał jej o Patricka. Tańczył i wdychał zapach jej włosów. Na jej policzku była kropelka potu. Bliźniacze guzy za jej uszami znajdowały się tylko parę centymetrów od niego.

- Ciągle o tobie myślę - szepnął James.

- Już prawie północ - zauważyła Raiły. - Szczęśliwego Nowego Roku.

- Czy mnie słyszałaś? Ja... ciągle o tobie myślę. Raiły odsunęła się od niego i spojrzała mu w oczy.

- Więc pocałuj mnie, głuptasie. Piosenka prawie się skończyła. James przechylony do tyłu pocałował Raiły, której twarz unosiła się nad jego głową. W czasie tego udanego - nie wspaniałego - pocałunku lekko zetknęły się ich języki i mocno stuknęły o siebie ich przednie zęby. Taniec dobiegł końca i James się zarumienił, czekając, aż się dowie, jak mu poszło.

- Czy... ty też o mnie myślałaś? - zapytał. Raiły wzięła go za rękę.

- Jestem głodna - powiedziała. - Chodźmy na pizzę. Pociągnęła Jamesa w stronę drzwi pożarowych. Oglądał jej strój kowbojki, patrzył, jak spódniczka przywiera do jej ud. Raz widział ją nago, ale to było bardziej seksowne.

- Czekaj - upierał się James. - Myślałaś?'

- Wyjść, wyjść, wyjść. - Raiły wypchnęła Jamesa przez drzwi. - Potrzebujemy pokrojonej pizzy. Dwuwarstwowej.

Byli w bocznej uliczce; na ziemi leżał śnieg, a w górze, na wycinku nieba, świeciły gwiazdy. James pomyślał o swoim płaszczu, który wciąż był w Minotaurze, w szatni. Drzwi pożarowe zamknęły się z lekkim trzaskiem, pozostawiając ich na zewnątrz.

- Jezu - powiedział - jest strasznie zimno.

- Umieram z głodu - oświadczyła Raiły.

Stali i patrzyli na siebie. Para unosiła się z ich ramion.

- Założę się, że jesteś facetem, który lubi pepperoni - stwierdziła Raiły.

- Szaleję za tobą - powiedział James.

Raiły zakołysała biodrami, skrzyżowała ramiona.

- Nawet mnie nie znasz.

Powiedziałem to, pomyślał. Stoję tutaj. Naprawdę to powiedziałem.

- Jestem facetem, który lubi pepperoni - potwierdził jej przypuszczenia.

Raiły rzuciła mu się na szyję i nastąpił pocałunek numer dwa. 214

Czasami może się coś takiego zdarzyć. Miasto może okazać wspaniałomyślność, pozwolić, by dwoje ludzi zupełnie się nawzajem zauroczyło. Tego wieczoru James i Raiły nie tylko poszli na pizzę, ale też odbyli przejażdżkę taksówką po wyspie. Kierowca proponował im tabliczki LSD, żeby uczcili Nowy Rok, ale odmówili. Siedzieli z tyłu i wystarczały im ich języki. Delikatnie się całowali, mało mówili.

O trzeciej w nocy byli już w mieszkaniu Raiły w SoHo, w jej łóżku, i powoli poznawali swoje ciała. Pieścili się, dokuczali sobie, uśmiechali się, odwlekali moment fizycznego zjednoczenia. Szepotali i doprowadzali się do orgazmu. Raiły zaśpiewała Jamesowi piosenkę, którą pamiętała z czasów, kiedy była dziewczynką. O wschodzie słońca stanęli w oknie, na schodach pożarowych, owinięci kocami i patrzyli na światło.

Nastał tydzień idyllicznego szczęścia, podczas którego prawie się nie rozstawali. James wziął pięć dni wolnego w pracy, a Raiły zadbała, żeby nic nie odwracało jej uwagi. Szamotali się w łóżku Raiły całymi popołudniami. Pojechali metrem na Coney Island i spacerowali po chrzęszczącym zimowym piasku. James ugościł Raiły we Fiat Michael's, gdzie nigdy nie była, a Raiły zaznajomiła Jamesa z niezrównanymi hamburgerami w Corner Bistro. Trzymali się za ręce w teatrze Angelika, obejrzeli dwie sztuki, eksperymentowali z bielizną, spali do dziesiątej. Byli zakochani i po północy w czwartek, gdy spędzali razem szósty wieczór, James usiadł na podłodze w łazience Raiły i zaczął szlochać ze szczęścia. Raiły spała, a James został w łazience przez pół godziny, nie zapalając światła. Tęsknił za Otisem, tęsknił za tą częścią samego siebie, która bez emocji obserwowała poszczególne wydarzenia w jego życiu, ale nowy nurt w jego wnętrzu był wszechogarniający, nieodparty. Zapach skóry Raiły utkwiał w jego płucach, a słuchanie jej głosu stało się dlań koniecznością. Morris w Minnesocie i Anamaria, i historia jego długoletniego milczenia zniknęły tak całkowicie, jakby zniszczył je atak nuklearny, i James widział tylko ramiona, uda i gardło Raiły. Kiedy szedł z nią przez SoHo, trzymając ją za rękę, sprawdzał, czy ludzie ich zauważają, żeby zobaczyć, czy on i Raiły nadal są fizycznymi bytami, czy też może szczęście uczyniło ich niewidzialnymi. James i Raiły nie zgadzali się tylko, kiedy chodziło o to, jakie filmy obejrzą, jakimi ulicami powinni spacerować, jakie miejsce na świecie powinni najpierw odwiedzić.

- Nowa Zelandia-powiedział James.

Raiły pocałowała jego łydki. Leżeli nago w łóżku.

- Wyspa Skye - zaproponowała.

- Serengeti.

Raiły uklękła między jego nogami. Przesunęła wargi w górę po jego udach.

- Wyspa Skye.

James położył się na plecach, zamknął oczy.

- Tokio - wyszeptał.

. - Hmm. Czy naprawdę możesz się spierać?

- Nie - wydyszał James.

Unikali mieszkania Jamesa przez cały tydzień. James wpadł tam parę razy po ubrania, ale zawsze robił to późnym rankiem w dni powszednie, kiedy Patrick był w pracy. James właściwie nie bał się spotkania ze swoim współlokatorem, ale ani on, ani Raïły nie chcieli jeszcze mieć do czynienia z Patrickiem. Nie wiedzieli, jak zareaguje na to, że są razem, i nie chcieli wyjaśniać Patrickowi ani nikomu innemu, czym są dla siebie. Dlatego nie wiedzieli, jak skończyła się wojna błyskawiczna w ostatnim dniu Hulanki, i nie obchodziło ich to. Wydawało im się, że Walter i Henry pozostaną kumplami, i mieli nadzieję, że Nicole Bonner wyjdzie za Douglasa Kercheka, ale poza tym nie wspominali o wcześniejszych dziesięciu dniach. Raïły ku swojej radości zdała sobie sprawę, że Patrick nie ma pojęcia, gdzie jej szukać. Zawsze to ona była w jego mieszkaniu w Preemption, nigdy on u niej. Nikt więc nie przeszkadzał jej i Jamesowi. Manhattan, świat, cały czas zdawały się rozpościerać przed nimi jak miesiąc miodowy.

Jeździli na łyżwach w Centrum Rockefellera. Poszli do Cloisters, stali w miejscu, w którym, jak teraz wiedzieli, spotkali się po raz pierwszy. Pili kawę, zajadali się ciastkami. Rozmawiali o śniegu, o karze śmierci, ale najwięcej o sobie. James stwierdził, że musi powiadomić Raïły o jej wyglądzie, jakby lustra, w których się przeglądała przez całe życie, nie oddawały prawdy.

- Jesteś piękna - powiedział jej.

- Nie - sprzeciwiła się Raïły.

James pocałował ją za uchem.

- Jesteś piękna.

Aby się zemścić, Raïły powiedziała Jamesowi, że jest jej tygrysem.

- Czym jestem?

Znów leżeli nago w łóżku. Był sobotni wieczór. Raïły usiadła prosto i sięgnawszy ręką na półkę, ściągnęła jakąś książkę.

- To mój ulubiony wiersz - wyjaśniła. - Rozczarowanie o dziesiątej. Napisał go Wallace Stevens. Posłuchaj. „Domy są nawiedzane przez białe koszule nocne...”

- Wracaj tutaj. - James pociągnął ją za łokieć.

- Nie, posłuchaj. „Domy są nawiedzane przez białe koszule nocne. Żadna z nich nie jest zielona ani purpurowa z zielonymi kręgami, ani zielona z żółtymi kręgami, ani żółta z niebieskimi kręgami”.

- Nawet nie masz na sobie koszuli nocnej - dokuczał jej James. Raïły dotknęła go palcem.

- Posłuchaj, skarbie. Proszę. Chcę, żebyś posłuchał.

- W porządku.

- „...ani żółta z niebieskimi kręgami. Żadna z nich nie jest dziwna, z koronkowymi skarpetami i paciorkami na pasku. Ludzie nie będą śnić o pawianach i barwinkach. Tylko tu i ówdzie stary marynarz, pijany i śpiący w wysokich butach, łapie tygrysy w czerwonej pagodzie”. Tutaj. O to mi chodzi.

Raiły odrzuciła książkę, przytuliła się do Jamesa. James wdychał jej zapach. Założył ręce za głowę.

- A więc jestem tygrysem - powiedział.

- A ja jestem tym pijakiem. Tym marynarzem. - Raiły posłała szyję Jamesa.

Leżeli z głowami na tej samej poduszce, patrząc na siebie.

- Myślałam kiedyś, że to Patrick jest moim tygrysem - szepnęła Raiły.

- Och. - James poczuł wzburzenie w żołądku.

- Nie wściekaj się, skarbie. Mówię ci to, bo właśnie dlatego pozwalałam mu robić z sobą dziwaczne rzeczy. Przywiązywać mnie i tak dalej. Myślałam, że jest kimś wyjątkowym.

- Och.

- Ale już tak nie myślę. - Położyła palec na jego piersi, mocno go przycisnęła. - To ty. Ty jesteś tym jedynym.

James zamknął oczy. Chciał walczyć na pięści z Patrickiem Riggem, przebiec sprintem most Yerrazano-Narrows, zostać tam, gdzie był, w tym łóżku, na zawsze. Pomyślał o Otisie.

- Czy chcesz, żebym taki właśnie był? - zapytał. - Dziwaczny? Raiły pocałowała go.

- Nie, skarbie.

James popatrzył na nią. Chciał jej opowiedzieć o Otisie, ale serce kazało mu poczekać. „Zachowaj to na kryzysową sytuację” - mówiło mu.

Był sobotni wieczór, drugi w nowym roku. Patrick Rigg chodził tam i z powrotem po swoim mieszkaniu. Kipiał ze złości od tygodnia, próbując ignorować nieobecność współlokatora. Wiedział, że James jest z Raiły. W Minotaurze tańczyli razem, chronieni przez morze włóczków, a potem zniknęli.

Patrick próbował się zająć pracą, wypełnić wieczory innymi kobietami. Pewnego wieczoru zwabił do swojego łóżka Crispin i Kettle, namówił je słodko do wyczynów, o jakie większość mężczyzn tylko się modli. Ale w jego sercu przez siedem dni rósł czarny chwast żywiący się prostym faktem: Raiły wybrała Jamesa. To zdanie wypełniało umysł Patricka jak monotonny śpiew. Raiły wybrała Jamesa. Raiły McWilliams, jego najseksowniejsza, najbardziej uparta i zwariowana na punkcie swojego ciała dziewczyna rzuciła się w ramiona cichego, nudnego Jamesa.

No i co z tego? - myślał Patrick, przechadzając się. Masz mnó - stwo kobiet. Niech ta suka idzie, gdzie chce.

Ale nie mógł na to pozwolić. Dusza Patricka była delikatnym domkiem z kart, a tymi kartami były kobiety jego życia, ustawione jedna na drugiej, każda na swoim miejscu. Wydawał wszystkie pieniądze na swoje kobiety, pieścił je, manipulował nimi. Nie miał nikogo poza nimi. Miał zmarłą matkę i zmarłego brata i wspomnienia o nich prześladowały Patricka codziennie. Znajomi z Manhattanu zbliżali się do niego tylko ze względu na jego przyjęcia i jego tajemniczą filantropię. Patrick liczył więc na swoje kobiety, na ich ciała i towarzystwo, jak James liczył na Otisa. Usunięcie pewnych peryferyjnych rozrywek, takich

jak Freida, nie wyprowadziłoby Patricka z równowagi, ale to, że inny mężczyzna rościł sobie prawo do pewnych jego kobiet, a szczególnie do Raiły, sprawiało, że oddychał z trudem. Czuł się przez to tak, jakby zapadał się w środku, tracił kręgosłup, rozlatywał się, jakby potworności i samotność wszechświata, z którymi Patrick zawarł kruchy rozejm, łamały wynegocjowane przez niego warunki i atakowały. Poza tym Raiły była jedyną z kobiet Patricka, która spełniła jego nieme, wygórowane żądania. Gdy stała przed jego lustrem, gdy leżała przywiązana do jego łóżka, zakochała się w sobie - poczuła miłość do własnego ciała i duszy - i z tego powodu stała się w oczach Patricka nieskończenie bardziej wspaniała i potrzebna.

To ja ją stworzyłem, pomyślał ponuro. Zrobiłem z niej kobietę, którą jest teraz. I żaden zaspany księgowy mi jej nie zabierze.

Chwył swój płaszcz i zgrzytając zębami, wypadł z Preemption, nie mógł się pozbyć kurczów w nogach, gniewu wzbierającego w piersi, wspomnienia o tym, jak jego dłonie leżały na nagim brzuchu Raiły.

To szaleństwo, pomyślał. Szedł Broadwayem, stapał ciężko po kratkach nad przejściem podziemnym na Siedemdziesiątej Drugiej Ulicy. Pod nim, za kratą, były kształty, głosy, dźwięki gitary.

To szaleństwo, pomyślał znów Patrick. Ale wściekłość była jak taśma telegrafu w jego umyśle i jedynym sposobem na wyciągnięcie wtyczki było użycie broni, którą miał w lewej kieszeni na piersi.

- Zawsze będę miał nadzieję, że pewnego dnia wszystko zmienię - śpiewał głos z dołu.

Patrick zatrzymał się, wpatrywał się pod ziemię. Za kratą wysoka, niewyraźna postać trzymała instrument.

- Czy to ja? - wrzasnął Patrick. Tupnął w metal.

- Myliłem się - śpiewał mężczyzna - a ty znajdziesz swoje miejsce.

Patrick nie przestawał tupać, patrząc z furią w dół. - Czy śpiewasz o mnie? Postać zniknęła w cieniu.

Patrick poszedł dalej. Kierował się na południe, w stronę Wall Street, w stronę kościoła Świętego Benedykta, do którego zakradał się w każdy dzień powszedni, żeby posłuchać słów księdza. Od kościoła dzieliło go pół długości wyspy, ale tego wieczoru był jak w delirium i krew się w nim burzyła. Stapał ciężko w złych zamiarach, w ściśle określonym celu, rzadko odwracając głowę. Wydechy wyrывały się z jego ust jak upiory i ludzie mijani na chodniku, widząc jego nienawistny wzrok, odsuwali się na bok.

Potrzebuję księdza, pomyślał Patrick. Raiły wybrała Jamesa, a ja potrzebuję tego księdza.

Nie był pobożny. Nie interesowały go tradycyjne sakramenty. Pragnął jedynej rzeczy poza kobietami, która potrafiła przykuć jego uwagę: głosu Thomasa Merchanta. Ojciec Merchant, proboszcz parafii Świętego Benedykta, wygłaszał kazania, które ożywiały jego serce, kazania, które - jak nagle wymierzony policzek - umiały wtłoczyć światło w

przestrzeń znajdującą się za jego oczami. Patrick czuł, że tym razem potrzebuje tego światła. Czuł, że jeśli go nie otrzyma, wyciągnie swojego SIG-a, naciśnie spust i ktoś upadnie.

Maszerował wzdłuż wyspy aż do Wall Street. Zajęło mu to dwie godziny, ale przyszedł do kościoła Świętego Benedykta na czas. Przepchnął się przez drzwi, znalazł księdza siedzącego w konfesjonale i wszedł do kabiny przeznaczonej dla grzeszników. Gdy został sam w ciemnościach, zaczął mówić.

W CZERNI

Thomas Merchant od urodzenia miał dobre, czyste serce, ale niewiele więcej. Nie był przystojny, wygadany ani dobrze umięśniony. Dzieciństwo spędził na zachodzie Irlandii, w nadmorskim miasteczku Spiddal. Jego ojciec budował łodzie, a matka prowadziła dom, ale oboje rodzice umarli na dziwną, złośliwą chorobę skóry, kiedy Thomas miał zaledwie siedem lat. Wtedy wysłano go do Nowego Jorku, do Harlemu, gdzie wychowywały go trzy ciotki, Mabel, Margaret i Mary Jude Merchant. Były one trojczkami, mierzyły ponad metr osiemdziesiąt, i dzieci z Harlemu uważały je za wróżki. Przez całe życie siostry Merchant miały kruczoczarne włosy, które opadały im do pasa, i identyczne, świdrujące zielone oczy. Ich głów nigdy nie okryła siwizna, nigdy nie powychodziły. Za mąż i nigdy nie pracowały zarobkowo. Mieszkały razem, na skraju pustej działki w budynku, który kiedyś był magazynem meblowym. Były bogate i krążyły plotki, że przyplłynęły z Galway w 1959 roku z dwoma workami pełnymi złotych monet. Worki były podobno ukryte w magazynie i przypuszczano, że to Mabel Merchant, najspokojniejsza z sióstr i najstarsza - za sprawą dwóch minut - wyciągała z nich monety. Magazyn stał przy Sto Dwudziestej Piątej Ulicy, głównej arterii Harlemu, ale nawet najbardziej bezwzględni złodzieje trzymali się z dala od tego miejsca i nie robili zakusów na przechowywane w nim złoto, ponieważ bali się wróżek Merchant.

Do tego zakątka Manhattanu trafił Thomas Merchant, prosty chłopiec z rybackiej wioski po drugiej stronie oceanu. Kiedy umarli jego rodzice, Thomas przez cały rok nie wypowiedział ani jednego słowa. Siedział w sklepionych pomieszczeniach magazynu, wpatrując się w porozbijane krosna, pianina i szafy, ogromne drewniane pamiątki po innej epoce, porzucone teraz pośród ciemności i pajęczyn. Z przyjemnością wdychał tam stęchłe powietrze. Na najwyższym z wyjątkiem spotykanych czasem niewolniczo przyjaznych psów, były płochliwe jak wiewiórki i gorąco pragnęły uniknąć kontaktu z Thomasem. Nie inaczej było z ludźmi. W szkole średniej ITomas nie miał nigdy nic przeciwko siedzeniu na ławce w czasie meczów koszykówki, ponieważ mógł podziwiać swoich kolegów z zespołu, ich ramiona i nogi gładkie jak tłoki, kiedy skakali albo pędzili przez boisko. Ku przerażeniu Thomasa jego zwyczaj przypatrywania się innym sprawił, że pewnego dnia trener Laverty odciągnął go na bok i zapytał, czy jest cholernym pedałkowatym homo-nie-wiadomo. Podobnie pierwszego wieczoru, kiedy Thomas zdjął stanik Jocelyn Rich, przypatrywał się jej nagim piersiom tak długo i w takim milczeniu, że Jocelyn naciągnęła na siebie koc.

- No dalej - powiedziała do Thomasa. - Zaczynajmy. Chwyć mnie.

Jej słowa zdumiały go. Miał przed sobą coś ślicznego, mianowicie Jocelyn, i chciał zostać tam z jej cudownością, a nie pospiesznie przechodzić do następnej chwili.

- Patrę na ciebie - szepnął. Jocelyn miała niezadowoloną minę.

- Więc przestań.

Thomas próbował ściągnąć z powrotem koc z koleżanki, ale Jocelyn przytrzymała go przy swojej szyi.

- Pozwól mi popatrzeć na ciebie - poprosił Thomas. Jocelyn wywróciła oczami.

- To piersi, Thomas. To tylko torby z tłuszczem i przewodami mlecznymi.

Thomas poczuł się tak, jakby został spoliczkowany. Nic nie było dla niego takie proste.

- Jestem zwykłą dziewczyną - powiedziała krótko Jocelyn. - Nie musisz mnie wielbić.

- Nie wielbiłem cię - wyjaśnił Thomas. - Patrzyłem na ciebie.

- No to przestań.

Thomas próbował się uśmiechnąć.

- Ładnie pachniesz - zauważył. - Jakoś tak... ciepło.

- Thomas - westchnęła Jocelyn - będziemy się pieprzyć czy co? Tak wyglądały spotkania Thomasa prawie z każdym. Nie znaczy to, że wszystkie kobiety prosiły go, żeby się z nimi pieprzył, ale Thomasowi wydawało się, szczególnie w college'u, że ludzie gnają wokół niego o wiele za szybko, jak szaleni, oczekując, że będą już wkrótce ocenieni, wykorzystani albo podsumowani. Studenci spierali się na temat Platona i Alfreda Hitchcocka, jakby po paru książkach albo filmach metafizycznie wniknęli w serca i umysły tych mężczyzn. Thomas nie miał za złe swoim rówieśnikom tego zwyczaju i nie uważał go za przejaw pretensjonalności. Po prostu go nie rozumiał. Wydawało mu się, że należy do jakiejś obcej rasy, z jakiejś innej planety, gdzie stworzenia siedzą tu i ówdzie, spoglądając sobie głęboko w oczy, czasami przez całe wieki, zanim ośmielą się do siebie odezwać.

Właściwie na przedostatnim roku Thomas uczestniczył w zajęciach z aktorstwa, na których wykładowca kazał raz studentom robić właśnie coś takiego. Musieli się dobrać w pary i usiąść ze skrzyżowanymi nogami naprzeciw siebie, a potem spokojnie patrzeć sobie w oczy przez pięć minut. Mówienie i odwracanie wzroku od partnera było zabronione. Thomasowi przypadła dziewczyna z ostatniego roku, Elvetta Yandemeer, w przedstawieniu studenckim obsadzona niedawno w roli szekspirowskiej Julii. Thomas zjadł 2, nią parę razy lunch w stołówce. Elvetta miała czarną grzywkę osłaniającą czoło i ciemnoniebieskie oczy, i pierwszą rzeczą, jaką Thomas zobaczył, kiedy w nie zajrzał, była duma Elvetty, przyjemność, jaką sprawiało jej przekonanie, że jest tragiczną, oszłamiającą Julią. Ale mniej więcej po minucie, kiedy inne pary obecne w sali zaczynały chichotać, wzrok Thomasa przebił się przez Julię widoczną w oczach Elvetty i dostrzegł to, co znajdowało się dalej. Elvetta gwałtownie zaczerpnęła powietrza.

- Co takiego? - szepnęła nerwowo. - Thomas, o co chodzi?

Thomas nic nie powiedział ani nie mrugnął. Pochłonęła go nagle młoda kobieta, którą miał przed sobą, błękitne galaktyki jej łęków, ogrom jej serca. Wszystko inne stało się czernią i Thomas wpatrywał się w głąb Elvetty, w głąb historii, które albo ona sobie wyobrażała, albo on: historii, w których Elvetta była przywiązana do skały, pożerana przez morskiego potwora,

historii, w których Thomas i Elvetta byli razem, nadzy, i ona leżała na jego kolanach, a on liczył każdy włos na jej głowie.

225

- Przestań - syknęła Elvetta. Nie chciała przegrać, odwrócić wzroku. - Przestań, Thomas.

Thomas wpatrywał się dalej, w inną historię za oczami Elvetty, w historię, w której trzymała jakiegoś mężczyznę za gardło. Elvetta spoliczkowała Thomasa.

- Przestań!

Thomas mrugnął, ocknął się ze swoich snów na jawie. Był znów na zajęciach, siedział na scenie z twardego drewna, piekł go policzek. Roztarł go, a Elvetta patrzyła na niego z wściekłością.

- Dlaczego to zrobiłaś? - zapytał Thomas. Wykładowca podszedł szybko. Nadzieja zapierała mu dech w piersiach.

- Tak, dlaczego? - chciał wiedzieć.

Elvetta zarumieniała się. Cała grupa zgromadziła się wokół nich.

- Thomas był... niegrzeczny - wyjaśniła. Wstała, wyszła z sali i nigdy więcej nie odezwała się do Thomasa.

Thomas był oszołomiony. Jego zdumienie wzrosło, kiedy dzień po tym ćwiczeniu aktorskim Elvetta zrezygnowała z gry w sztuce Szekspira.

- Dlaczego ludzie się mnie boją? - pytał Thomas swoje ciotki. Ciągle jeszcze mieszkał w magazynie, kiedy uczył się w collegeu.

Budynek znajdował się tylko dziesięć przecznic od szkoły.

- Bo ty się niczego nie boisz - powiedziała Mary Jude. Thomas zamyślił się. Pił kawę z ciotkami i grał z nimi w karty, w grę o nazwie Śluza, której zasady znali tylko oni sami. Był luty i gałęzie drzew za oknem pokrywały lodowe rękawy. Thomas miał dwadzieścia lat. Mabel paliła fajkę z korzenia wrzośca.

- Nie jestem bohaterem - powiedział cicho.

- Nie mówiłam wcale, że jesteś bohaterem. - Mary Jude podniosła szybko kartę. - Mówiłam, że niczego się nie boisz.

- I wspaniale grasz na pianinie - dodała Margaret.

Trzy siostry skinęły równocześnie głowami. W bardzo niewielu sprawach się zgadzały, ale były jednomyślne, kiedy chodziło o Thomasa i osobliwości jego charakteru. Co wieczór, gdy Thomas wracał do swojego mieszkania w magazynie i padał na kanapę, jego rozedrgany i wymęczony umysł próbował poradzić sobie z materiałem, który wrzucał weń Manhattan, z ciałami, ścianami, śmieciami, jedzeniem. Jeśli obiekt, w który się wpatrywał, zdawał się mieć spokojną albo jednolitą naturę, na przykład drzewo albo uważne niemowlę, Thomas czerpał siłę ze skupiania na nim uwagi. Ale częściej czuł - za sprawą wyczerpującej wzrokowej empatii - lęki, które dręczyły mieszkańców Manhattanu. Wyczytywał pośpiech i chciwość w graffiti i w podpartych belkami sufitach winiarni. W klubach przyglądał się kobietom w

eleganckich czarnych sukienkach, pragnął ulec ich magii, ale zamiast tego wyczuwał, że mają smutne, rozszczepione serca. Raz na przyjęciu, kiedy ścisnął dłoń pewnego młodego mężczyzny, Thomas poczuł w koniuszkach swoich palców przeświadczenie, że jeszcze tego samego wieczoru ten człowiek pobije swoją dziewczynę.

W końcu Thomas miał niewielu przyjaciół, bo nie potrafił żartować na temat kobiet, sportu albo tragedii. Dopiero kiedy ciotka Mabel - siostra z najsilniejszymi dłońmi - rozmasowała mu plecy, a potem wypił parę filiżanek jej kawy z brandy i rozegrał szereg partii Śluzy, mógł ubrać w słowa dziwne prawdy, które dotarły doń tego dnia.

- Widziałem dzisiaj w parku jedną kobietę - powiedział Thomas któregoś wieczoru.

Siostry Merchant wymieniły spojrzenia. Margaret dotknęła delikatnie jego nadgarstka.

- Co robiła, Thomas?

- Siedziała na ławce. - Thomas spojrzął w swoje karty, rzucił jedną na stół. - Zdzierała, skórki z paznokci swoich kciuków. Darła i darła.

Mary Jude chwyciła kartę, której Thomas się pozbył. Wyłożyła na stół to, co miała w ręku.

- Śluza - oznajmiła.

- No, mów - szepnęła Mabel.

- Ta kobieta krwawiła - dodał Thomas.

Margaret dołała mu kawy. W rogu pokoju tyknął wywietrznik.

- Jak długo na nią patrzyłeś? - zapytała Margaret.

- Długo.

Mary Jude odgarnęła do tyłu włosy, spięła je i obróciła twarz w stronę siostrzeńca. Trójkąt włosów na jej czole był jak czarne ostrze sztyletu.

227

- Ta kobieta to nie twoja sprawa, Thomas.

- Mary - ostrzegła Margaret - niech mówi. Thomas popatrzył na podłogę.

- Wywoływała u siebie krwawienie. Płakała.

Mary Jude zmarszczyła brwi. Chciała odzwyczaić siostrzeńca od jego obsesji na punkcie cudzych zmartwień, od jego skłonności do współczucia. Chciała, żeby pragnął whisky, dziewcząt i radości.

- Zapomnij o tamtej kobiecie, Thomas - burknęła.

Thomas uśmiechnął się smutno do swoich ciotek.

- Nie potrafię - powiedział.

Dwa lata później Thomas był już w seminarium w Pensylwanii. Ochrzczono go w wierze katolickiej i chociaż ciotki nigdy nie zabierały go do kościoła, magazyn rozbudził w Thomasie zdolność do kontemplacji. Wpatrywał się tak długo i tak usilnie w umeblowanie świata - w krzesła, ludzi i w niebo przez strop magazynu - że jego umysł prosił o coś więcej.

Thomas wyjaśnił to najlepiej jak potrafił swojemu spowiednikowi i mistrzowi nowicjatu, ojcu Reese, kiedy siedzieli w gabinecie duchownego.

- Chcesz powiedzieć, że odkryłeś Chrystusa u źródeł stworzenia? - spytał ojciec Reese.

Thomas pokręcił głową.

- Chcę powiedzieć, że tylko Bóg może znieść to, że myślę o Nim przez cały czas.

- To mi wygląda na pychę - stwierdził ksiądz.

Thomas wzruszył ramionami. Miał dwadzieścia trzy lata.

Ojciec Reese, korpulentny mężczyzna i zapalony golfista, odchylił się do tyłu na krześle. Kiedy uniósł brwi, jego czoło zrobiło się wklęsłe.

- A co z kobietami? - zapytał ojciec Reese. - Czy możesz znieść myślenie o nich?

Thomas popatrzył księdzu w oczy. Wydało mu się, że widzi tam łakomstwo, zamiłowanie do wołowego mięsa, pragnienie przyjemności.

- Byłem zakochany - westchnął Thomas. - Byłem z kobietami. Kapłan uśmiechnął się.

- I?

- Nie wiedzą dość o własnym pięknie, żebym mógł się nimi zachwycić. - Thomas podrapał pryszcz na karku. Gabinet księdza pachniał jak papierosy.

- Czyżby?

- Nikt z nas nie wie dość o swoim pięknie - dodał Thomas. Szczeniak, pomyślał ksiądz. Zasmarkany szczeniak.

- A kto nas nauczy doceniać nasze piękno, Thomas? Ty, kiedy zostaniesz księdzem?

Thomas zajrzał głębiej w siedzącego przed nim mężczyznę, zajrzał za długie golfowe uderzenia i befsztyki z rusztu, aż w końcu zobaczył zazdrość w jego oczach.

- Nie - odparł Thomas. - Nie jestem bohaterem. Po prostu widzę różne rzeczy.

- Widzisz różne rzeczy. - Ojciec Reese miał wielkie stopy. Kręcił wielkimi palcami w wielkich butach. - Czy słyszałeś ten werset z Pisma Świętego: „Nie będzie żyw człowiek, co ujrzy oblicze Boga”?

Thomas znów westchnął. Tak naprawdę w większość dni nie znosił mówienia, kropka.

- Nie próbuję zobaczyć twarzy Boga - powiedział cicho. - Próbuję zobaczyć Jego umysł.

Ojciec Reese parsknął. Powodzenia, dzieciaku, pomyślał.

Thomas skończył seminarium, kiedy miał dwadzieścia sześć lat. Uzyskał tytuł magistra teologii, potem odbył praktykę w jednej z parafii na Brooklynie. Kiedy miał trzydzieści dwa lata, po jego staraniach powierzono mu jedyne stanowisko duszpasterskie w parafii Świętego Benedykta na Wall Street. Kościół ten był ciemną, ponurą pieczarą z czerwonym dywanem wzdłuż centralnego przejścia między ławkami i mnóstwem białych świec z tyłu przy drzwiach. Księża niezmiennie jęczeli, kiedy przydzielano ich do parafii Świętego Benedykta, ale Thomasowi podobało się to miejsce ze względu na milczące kamienne ściany i niewielką liczbę praktykujących wiernych. Większość jego sąsiadów z Wall Street była zajęta zarabianiem pieniędzy albo kierowaniem światem, Thomasowi pozostawało więc 229

audytorium składające się ze starszych Irlandek, które ścisnęły w rękach różańce. To mu całkowicie odpowiadało. Był mistykiem, a nie misjonarzem, i wolał subtelne, mniszce posłuszeństwo Stwórcy i kontemplację Jego natury od bohaterskiego dzieła nawracania. Każdy ‘dzień w kościele Świętego Benedykta był jak ciche, uroczyste Boże Narodzenie i Thomas podczas codziennej mszy o piątej wygłaszał kazania na temat odróżniania dobra od zła i łaski Bożej, a nie aborcji czy polityki. Kiedy nauczał, patrzył ponad głowami swoich parafian w stronę doskonałych białych świec błyszczących na drugim końcu kościoła. Świece były niezawodnym punktem skupienia i jeśli paliło się ich dostatecznie dużo, wydzielały lekki, przyjemny aromat. Thomas odkrył, że jeśli wpatruje się w te świece wystarczająco uważnie i wdycha ich zapach, z jego ust płyną właściwe słowa.

Trzy ciotki Thomasa przyjeżdżały metrem z Harlemu raz albo dwa razy w tygodniu, żeby posłuchać kazania swojego siostrzeńca i mrugać do niego chytrze z ławek. Thomas jak dawniej w niedziele jadł z nimi na obiad jagnięce mięso w magazynie, a w dni powszednie wieczorami prowadził w piwnicy plebanii małą bezpłatną jadłodajnię Świętego Benedykta, obsługującą pierwsze pięćdziesiąt gęb, które przychodziły z ulicy. Ulubioną bezdomną osobą Thomasa była niema kobieta o imieniu Esther. Z wyglądu miała niecałe sześćdziesiąt lat i brakowało jej jednego przedniego zęba. Była chuda, drobna i chętnie się uśmiechała. Każdego dnia nosiła we włosach zaszarganą różową wstążkę, nigdy nie opuszczała mszy Thomasa i w każdy dzień powszedni między siódmą a dziewiątą wieczorem pogryzała obok niego spokojnie kanapki z szynką.

Tak wyglądało życie Thomasa. Przeżył półtorej dekady w zachwycającym spokoju w kościele Świętego Benedykta, gdzie czytał, modlił się, karmił głodnych, uśmiechał się do Esther. Od czasu do czasu chrzczył jakieś niemowlę i odprawiał swoją porcję mszy żałobnych, ale głównie wpatrywał się w świece, wygłaszał kazania i zaznawał spokojnego, pełnego szacunku dla Boga szczęścia.

Zmiana, nastąpiła, kiedy Thomas miał czterdzieści siedem lat. Zaczęło się to w pewien chłodny poniedziałkowy wieczór pod koniec września. Thomas miał kazanie - to o robotnikach w winnicy, których gospodarz najmuje u schyłku dnia - kiedy zauważył mężczyznę, który stał z tyłu, przy świecach. Przynajmniej wydawało się, że jest to mężczyzna. Za świecami była ciemność i Thomas dostrzegł tylko pochylone ramiona i opuszczony podbródek kogoś, kto wyglądał na wysokiego mężczyznę w czarnym płaszczu. Mężczyzna stał zupełnie nieruchomo, jak myśliwy albo ochroniarz, i wydawało się, że uważnie słucha. Thomas wyczuł też ostry smród czegoś oleistego w powietrzu, ale wtedy nie uznał tego za rzecz godną uwagi. Gdy skończył kazanie, drzwi kościoła skrzypnęły i mężczyzna zniknął.

Następnego dnia po lunchu Thomas siedział przy stole kuchennym na plebanii, wpatrując się w solniczkę i pieprzniczkę. Leżała przed nim otwarta Biblia. Tam Thomas codziennie siadywał i wpatrywał się w różne przedmioty, kiedy układał wieczorne kazanie. Tego dnia

koncentracja Thomasa była jednak zaburzona. Mężczyzna z poprzedniego wieczoru, w czerni, stał w przedpokoju umysłu Thomasa daleki, ale wyraźny. Thomas zastanawiał się, czego mógł chcieć ten mężczyzna, kiedy tak czał się w cieniu, a potem wyszedł, zanim odbył się prawdziwy obrzęd. Może był bezdomny i głodny. Może był graczem giełdowym z Wall Street, który stracił fortunę i potrzebował pokuty. A może, myślał Thomas, był to miłośnik architektury, który przyszedł, żeby podziwiać sklepienie w kościele Świętego Benedykta. W końcu wyrzucił mężczyznę ze swoich myśli, skupił się na Biblii.

Jeszcze tego samego dnia wieczorem mężczyzna znów się pojawił. Wsunął się do kościoła krótko przed Ewangelią i stanął w cieniu. Thomas przerwał na chwilę kazanie, zmierzył wzrokiem mężczyznę. Nieznajomy miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i znów był w czarnym płaszczu. Sądząc po sylwetce mężczyzny i jego szybkim wejściu do kościoła, Thomas domyślał się, że jest młody, może trochę po trzydziestce. Bardziej niepokoił go jednak gryzący zapach spalenizny, który najwyraźniej znalazł się w kościele wraz z mężczyzną, zapach, który wziął górę nad kadzidlaną wonią świec. Thomas przez całe życie zbierał doświadczenia w dziedzinie wpatrywania się w sedno spraw: potrafił przewidzieć pogodę z talentem, który nawet jego samego zatrząsał, a podczas odwiedzin w szpitalu wystarczał mu jeden rzut oka, żeby stwierdzić, ile godzin na ziemi pozostało temu czy innemu pacjentowi choremu na raka. Ale teraz, stojąc przed ołtarzem, Thomas był wstrząśnięty zapachem, aurą drugiej ludzkiej istoty, tak jak nigdy przedtem. Fetor bezsprzecznie wydobywał się z mężczyzny w czerni. - L., i Chrystus dotrze do ciebie tam, gdzie mieszkasz - wyjąkał Thomas, próbując powrócić do swojego kazania. - Będzie działał w każdych okolicznościach, w jakich możesz się znaleźć...

Thomas znów przerwał, próbował oddychać tylko ustami. Zapach był niezdrowy, nieubłagany. Był to ostry, ponury odór, który nie przywodził na myśl odpadków, łajna czy nie umytej osoby, tylko przesycone kwasem drewno, które zostało poddane działaniu ognia i zwęglone, a teraz zanieczyszczało powietrze. Thomas wpatrywał się w swoich parafian. Esther siedziała w pierwszej ławce i uśmiechała się do niego. Esther, pomyślał Thomas, Esther, która zatyka nos, kiedy dolatuje do niej zapach tuńczyka czy nawet przypalonego tost. Wydawało się, że tego wieczoru niczego nie czuje, i kiedy Thomas omiótł badawczym wzrokiem inne twarze w gromadce wiernych, one też okazały się spokojne.

Thomas był zdumiony. Z wysiłkiem przebrnął przez kazanie, a kiedy skończył, mężczyzna w czarnym płaszczu znów zniknął. Kiedy drzwi kościoła Świętego Benedykta zamknęły się z lekkim trzaskiem, Thomas zaczerpnął powietrza i kaszlnął.

Esther chrząknęła ze swojej ławki i marszcząc brwi, popatrzyła w górę na księdza. Wiedziała, że coś jest nie tak.

Thomas zrobił wdech i wydech. Przykry odór ustąpił. Zostały tylko świece.

- Czuję się świetnie. - Ksiądz otarł czoło, odkrztusił. - Czuję się świetnie.

Zaczął się to dziać co wieczór. Mężczyzna w czerni i jego straszny zapach przybywali przed Ewangelią i opuszczali kościół zaraz po kazaniu. Mężczyzna stał zawsze w półmroku i po paru wieczorach Thomas zdał sobie sprawę, że jego parafianie nie mają pojęcia o obecności nieznajomego. Mimo że powietrze cuchnęło, wierni z ławek ani przez chwilę nie kręcili nosami i nie próbowali wykryć źródła trucizny. Po pierwszych kilku mszach, w których uczestniczył mężczyzna w czerni, Thomas zapytał pozornie od niechcienia Esther i swoje ciotki, czy nie czuły czegoś nieprzyjemnego w powietrzu.

- Wiecie - zagadnął kobiety - jakby coś się przypaliło? Jakby może wywietrzniki się psuły?

Pokręciły przecząco głowami, ale Mabel Merchant przyjrzała się uważnie siostrzeńcowi. Była to siostra najbardziej wyczulona na intrygi i podejrzone wydarzenia. Co roku w okolicach Wielkanocy Thomas znajdował na tacy szczerozłotą monetę i wiedział, nie musząc pytać, że to jego ciotka Mabel wsunęła mu coś cennego. Wiedział teraz, kiedy zamienił z nią spojrzenie, że wyczuła narastającą tajemnicę, ale ponieważ milczał, Mabel skinęła łagodnie głową i odeszła. Thomas chciał się zwierzyć ciotce, ale był szczerze przestraszony. Jakim sposobem mężczyzna mógł promieniować plugawą, przykrą esencją, którą mógł wyczuć tylko ksiądz? Dlaczego się materializuje tylko na czas Ewangelii i kazania Thomasa, a później z powrotem się rozplywa?

Thomas rozważał to wszystko w swoim sercu, kiedy siedział w kuchni i wpatrywał się w solniczkę i pieprzniczkę. Zaczął się bardzo konkretnie zastanawiać, czy to nie demon zamieszkał w jego kościele. „A może to anioł” - myślał z nadzieją. Może to Gabriel albo Michał i tylko ich zapach jest paskudny dla śmiertelników, a nikt o tym nie wie. Jednak kimkolwiek byłby gość w czerni, Thomas wiedział, że nie jest to zwyczajny mężczyzna. Wiedział tylko - dzięki swojemu darowi empatii, który niemal stał się mięśniami - że nieznajomy jest mężczyzną, głęboko zmartwionym i zdolnym do ogromnej koncentracji umysłu. Gdy bowiem człowiek w czerni stał w cieniu, a Thomas wygłaszał swoje kazania, ksiądz czuł, jak energia wypływa z niego w kierunku tamtego. Zwykle Thomas żywił nadzieję, że jego słowa mogą stanowić duchowe paliwo dla parafian, poprawić im nastrój, wskazać im drogę łaski i dobroci. Ale stanie naprzeciw mężczyzny w czerni było dlań jak ekstaza albo pojedynek na śmierć i życie. Mężczyzna zdawał się słuchać Thomasa z namacalną zachłannością, z pochyloną do przodu głową, z nienasyconą żądzą usłyszenia wyłącznie prawdy. Thomas zaczął sobie fizycznie uświadamiać, jak słowa wychodzą z jego ust, jak stają się parą, którą mężczyzna w czerni wsysa do swoich płuc i zabiera z kościoła Świętego Benedykta. Co wieczór po wyjściu mężczyzny Thomas prawie padał na ołtarz. Zamykał oczy, czuł pot na czole. Palce mu się trzęsły, gdy trzymał kielich.

- Czy jesteś chory? - zapytała raz Margaret Merchant.

- Czy wymiotowałeś? - chciała wiedzieć Mary Jude. Esther zaczęła pomrukiwać, przylgnęła do ramienia Thomasa. Margaret dotknęła policzka siostrzeńca.

- Co w ciebie wstąpiło?

Thomas zacisnął zęby, nikomu nie odpowiedział. Rzeczywiście czuł się prawie chory i bliski mdłości. Zaczął przygotowywać kazania z myślą o mężczyźnie w czerni. Były to surowe, głośnie, apokaliptyczne kazania, których, jak mu się wydawało, nieznajomy od niego żądał, jakby dziesięciolecia czujności i łagodności Thomasa były jedynie długotrwałym zbieraniem sił przed bitwą, która teraz rozgorzała. - Bóg nikogo nie faworyzuje - nauczał Thomas. - Wszystkie chwile są równe w oczach Pana. - Ksiądz wpatrywał się w swój pojedynczy, niewyraźny cel za świecami. - Jeśli Bóg wypełnił twoje życie radością albo postanowił pokazać ci swoją ciemną stronę, nie ma to w żadnym wypadku znaczenia dla twoich działań. Święty Paweł poleca nam modlić się o to, żebyśmy nie nabyli biegłości w mówieniu o złych rzeczach. Ale jeśli jednak zaznajomimy się ze złem i je zrozumiemy, nie zmniejsza się nasz obowiązek występowania przeciw niemu. Życia ponad nim.

Kiedy Thomas przemawiał w ten sposób, jego parafianie wiercili się niespokojnie. Esther okręcała różową wstążkę wokół kciuka i kilka osób, które dotąd regularnie uczestniczyły w mszy, przestało się pokazywać. Wydawało się, że nikt nie chce słuchać o złu, ale Thomas nie mógł się powstrzymać. Zapach mężczyzny w czerni był skrajnie odpychający, nie z tego świata, i sądząc po eleganckim kroju jego płaszcza, nie miał nic wspólnego z brakiem higieny osobistej. Miał za to coś wspólnego ze złem, myślał Thomas. Gdy stał przy ołtarzu i mówił do postaci kryjącej się za świecami, jego kolana drżały lekko pod ornatem. Wiedział, że przykry zapach tego mężczyzny jest wonią ohydnej i pokrytej pęcherzami duszy. Pod jego płaszczem i zadbanym wyglądem zalegała jakaś potworna gwałtowność, jakaś nienawiść, uraza albo dewiacyjne pragnienie seksualne. Może ten człowiek nie był nawet świadomy własnego smrodu. Ale z powodów, których nie potrafił zgłębić, Thomas gotów był się założyć, że mężczyzna nosi broń.

- Martwimy się o ciebie - mówiły trojaczki Merchaht. Thomas był u nich w niedzielę w magazynie na mięsie jagnięcym i Śluzie, ale jadł bez apetytu i źle grał w karty.

- Straciłeś na wadze, Thomas - stwierdziła Margaret.

- Taak - mruknęła Mary Jude - i twoje kazania robią się pomyłone.

Mabel uniosła dłoń. Jej siostry ucichły.

- Thomas - zwróciła się do niego Mabel. - O co chodzi? Thomas popatrzył przez okno na październikowy księżyc.

- Jest ktoś, komu musisz pomóc - wyjaśnił.

- Kto? - zapytały chóiem siostry. Thomas pokręcił głową.

- Muszę to zrobić sam. Tylko ja umiem... z nim rozmawiać. Mary Jude uderzyła dłonią w stół.

- Co to za „on”, do cholery? Thomas spojrzał ciotce Mabel w oczy.

- O n - szepnęła.

Konfrontacja nastąpiła wiele miesięcy później, w pewien sobotni wieczór w pełni zimy. Thomas spowiadał w dwudrzwiowym, zapewniającym odosobnienie pomieszczeniu w tylnej części kościoła Świętego Benedykta. Siedział na małym taborecie w odgradzonej części i słuchał przez kratkę klęczących parafian wyznających grzechy. Był początek stycznia, już w nowym mileniu, i niewidzialne głosy za kratką zastanawiały się, jak powinny okazać skruchę, jakie postanowienia mogłyby poczynić. Thomas najczęściej zamykał oczy, kiedy spowiadał. Lubił zapach dębowego drewna i ciemność, ale krępowała go fizyczna intymność tej dziupli. Często wydawało się Thomasowi, że osoba za ścianką, oddalona od niego tylko o kilka centymetrów, jest naga, w przebieralni jakiegoś znanego sklepu z odzieżą albo może w więziennej izolatce. Thomas słyszał każde westchnienie i każdy szloch z tak niewielkiej odległości, że mimo zajmowanego stanowiska czuł się nieswojo, jak podglądacz. Jego najsilniejszy naturalny dar, wzrok, na nic się nie przydawał i Thomas musiał przenikać ciemność za pomocą innych, bardziej zawodnych zmysłów. Tak więc nawet kiedy miał udany wieczór, nie lubił słuchać spowiedzi. Ale pewnego dnia poczuł czyste przerażenie, kiedy usłyszał skrzypnięcie drzwi w przeciwległej komorze. Wystraszył się tak, że przeszły go ciarki, wywołując gęsią skórkę, ponieważ zza kratki dolatywał do niego teraz znajomy zapach spalenizny.

- Wiesz, kim jestem? - odezwał się niski głos.

Thomáš wzdrygnął się, zrobił znak krzyża, zakrył nos chusteczką.

- Tak.

- Skąd wiesz?

Mózg Thomása pracował z zawrotną prędkością. Myślał dotąd, że między nim a postacią w czerni istnieje pakt, domyślna umowa, zgodnie z którą bez względu na to, czego ta istota od niego chce, może to dostać, kiedy trzyma się od niego z daleka, stoi cicho za świecami i słucha jego kazań.

- Po prostu wiem - powiedział Thomáš. Nieznajomy pociągnął dziko nosem.

- Zastanawiasz się, dlaczego teraz do ciebie przyszedłem. Po tak długim czasie.

Serce Thomása łomotało. Wyczuł, że ławki koło konfesjonału są puste. Była dziewiąta i spowiadanie teoretycznie dobiegło końca. Ale tego stworzenia nie można było odprawić. Thomáš zaczerpnął powietrza, otworzył oczy i popatrzył na ścianę ciemności dzielącą go od nieznajomego.

- Tak - przyznał Thomáš - zastanawiam się.

Usłyszał szelest, potem zapanowała cisza. Nieznajomy zajął miejsce.

- Przyszedłem, żeby ci powiedzieć - wyjaśnił głos - że życie ludzi jest absurdalne.

- Rozumiem - powiedział Thomáš. Ukryty nieznajomy zaśmiał się.

- Wątpię. Ale nawet jeśli to rozumiesz, życie ludzi nie przestaje być absurdalne i zamierzam jedno takie życie zakończyć.

Thomáš trzymał chusteczkę przy nosie.

- Chcesz zakończyć ludzkie życie?

- Tak.

- Własne?

- Nie. - Wydawało się, że nieznajomy ziewnął. - Mam zamiar zabić innego człowieka.

Thomáš oczyścił swój umysł jak sportowiec. Zignorował odór, który czuł wokół siebie, pomodlił się za siebie i nieznajomego. „Panie Jezu, pomóż nam” - taka była modlitwa Thomása.

- Mów dalej - poprosił.

- Ten mężczyzna nazywa się James Branch - powiedział nieznajomy. - Jest moim współlokatorem. Mam zamiar go zastrzelić.

- Dlaczego?

Pośród ciszy Thomáš prawie czuł smak szyderczego uśmiechu mężczyzny.

- Nie ma żadnych „dlaczego”, ojciec. Jest tylko absurd. Ludzie umierają. To wszystko.

- Obawiam się, że to strasznie wygodna wymówka dla kogoś, kto zastanawia się nad popełnieniem morderstwa.

- Idź do diabła, ojciec.

Thomáš siedział w milczeniu, czekał. Myślał o rzeczach, w które się wpatrywał i które podziwiał w swoim życiu. Pomyślał o brzuchu Jocelyn Rich, o zwiędłych kwiatach, o dłoniach żebraków.

- Co ty możesz wiedzieć o absurdzie, ojciec?

- Zdaje mi się, że trochę jednak wiem.

- Doprawdy. Cóż, ja wiem o nim bardzo dużo. Bardzo dużo. Thomáš starał się, by jego umysł pozostawał czystą kartą. Odsuwał myśli od podejrzeń, że bezimienny mężczyzna jest uzbrojony.

- Mój brat został zabity, kiedy był chłopcem, ojciec. Został zabity w wesołym miasteczku przez mężczyznę w kostiumie postaci z filmu rysunkowego. Przez ogromną rybę, Guppyego.

Thomáš czekał. Stęchły, gryzący smród nieznajomego przesączył się już zupełnie przez kratkę, wypełniając konfesjonał jak wygodkę.

- Możesz się pośmiać, ojciec. Wiem, że to jest zabawne.

- Nie mam ochoty się śmiać. Przykro mi z powodu twojego brata.

- Taak, na pewno.

Thomas zaczynał się wczuwać w głos nieznajomego. Był to jednak młody mężczyzna, potężny, cyniczny młody mężczyzna, który musiał się wygadać.

- Opowiedz mi o Jamesie Branchu - zaproponował Thomas.

- Opowiem ci, jak się czuję - rzucił oschle nieznajomy.

- W porządku.

Mijały chwile. Ciemność była otchłanią.

- Opowiem ci o moich kobietach.

- W porządku.

- Mam ich mnóstwo. Są jak harem. Jestem bogaty i zapraszam je na obiad, i przychodzą do mojego mieszkania co wieczór, i rozbierają się, i związuję je, i robią wszystko, co powiem.

- Wygląda to na niezwykły układ.

- Zamknij się, ojciec Merchant.

Thomas zdziwił się, kiedy usłyszał swoje nazwisko. Zabrzmiało to tak, jakby ktoś odczytywał ogłoszenie o poborze do wojska.

- Te kobiety - mamrotał młody mężczyzna. Wydawał się rozgoryczony, zmuszony do działania. - Te kobiety potrafią sprawić... potrafią sprawić, że mniej mnie boli w środku. Czasami.

Thomas pomyślał o mężczyznach i kobietach z Manhattanu. Myślał o tym, jak czekają na kawę w restauracjach albo w napięciu, bez słów jeżdżą wspólnie windami, albo całują się w Battery Park, albo kłócą się w łóżkach. Potem, w ułamku sekundy, Thomas zrozumiał, jak może trafić do umysłu młodego nieznajomego.

- Ten James - zgadywał Thomas. - Ten James Branch. Zabrał jedną z twoich kobiet. Zakochał się w niej.

Postać za kratką nic nie powiedziała.

- A ona zakochała się w nim - ciągnął Thomas. - I jest twoją ulubienicą.

Usłyszał kipiący oddech mężczyzny.

- Nie ma sensu mieć ulubionych ludzi, ojciec. Bóg ich tylko zabiera.

- Nie zawsze. A jeśli to robi, i tak tylko ci ich pożyczył.

- Cicho, kapłanie. - Nieznajomy poruszył się. - Nie mądrz się przy mnie. Za drzwiami jest absurd i ty o tym wiesz.

Thomas znów zamknął oczy.

- Więc dlaczego przyszedłeś? - zapytał łagodnie. Gość milczał przez dłuższą chwilę.

- Masz rację co do dziewczyny - powiedział w końcu. Umysł Thomasa był teraz czarnym atlasowym prześcieradłem. Rozciągnięta była na nim naga młoda kobieta z włosami o kolorze miodu.

- Więc czemu chcesz zabić swojego przyjaciela? - zapytał.

- Nie powiedziałem wcale, że jest moim przyjacielem. To mój współlokator.

- Mimo wszystko.

- Nie mogę pozwolić... On próbuje...

Odór nasilił się. Thomas zastanowił się po raz pierwszy, czy może istnieć podły, nadnaturalny zapach, wyziew, który pojawia się, kiedy jedna ludzka dusza próbuje zapanować nad drugą.

- Czy twój współlokator nie mógłby mieć tej jednej kobiety? - zapytał ksiądz. - Mówisz, że masz harem. Czy one ci nie wystarczają?

- W moim życiu - syknął tamten - nic nie wystarcza. Thomas oddychał tylko przez usta. Był teraz zgarbiony i trzymał twarz blisko kratki. Oczy miał wciąż zamknięte.

- Nosisz pistolet?

- Tak.

- Czy to dlatego nigdy nie przystępujesz do komunii?

- Tak.

- Uważasz, że twoje uczynki i myśli są tak okropne, że Bóg nigdy nie mógłby cię zaakceptować?

Zęby nieznajomego zetknęły się ze sobą.

- Tak - powiedział.

Thomas otarł czoło. Jego głowa pulsowała od ciężaru życia innego człowieka. Przeszłość Thomasa, jego wychowanie u ciotek, czystość jego serca - wszystko to znalazło się nagle na szali. Została tylko jedna rzecz, o której mogli porozmawiać.

- Posłuchaj - powiedział kapłan - nie możesz zabić innej ludzkiej istoty. Jest to sprzeczne z Bożym prawem, a ty o tym wiesz, bo inaczej byś nie przyszedł. Ale jest coś jeszcze, i tego nie wiesz.

- Co to takiego?

- Bóg cię akceptuje.

Nieznajomy wessał powietrze, wypuścił je z płuc.

- Skąd wiesz? Skąd, do diabła, miałbyś to wiedzieć?

- Bo Bóg dał ci szczególny dar. Zapach.

- Zapach?

- Nie śmieć się. Mówię poważnie. Co wieczór, kiedy przechodzisz przez drzwi, kościół wypełnia się takim zapachem, jakby coś się paliło. Jest gryzący i okropny, i nikt oprócz mnie go nie czuje. Ale to nie świece wydają ten zapach ani nic innego. To ty.

Thomas nie usłyszał żadnego ruchu w ciemności.

- Jesteś szalony - szepnął nieznajomy.

Thomas skinął głową, zgadzając się, że jego słowa są niedorzeczne. Ale lęk przed Panem jest początkiem mądrości, pomyślał, i przyszedł czas, żeby śmiertelnie przerazić tego faceta.

- Teraz też czuję twój zapach - powiedział cicho Thomas. - Jest obrzydliwy. Prawie nie można go znieść.

- Ty kapłanie. - Młody mężczyzna wstał. Po raz pierwszy w jego głosie słyhać było panikę. - Ty cholerny, szalony kapłanie.

Thomas również się podniósł. Zwrócił się twarzą ku temu, czego nie widział. Otworzył oczy.

- Powinieneś być wdzięczny. Ten twój zapach to dar, znak ostrzegawczy. Bóg dał ci go, bo cię kocha, ale wie, że kusi cię, by użyć pistoletu.

- Zamknij się - wybełkotał młody mężczyzna. Popchnął drzwi swojej przegrody.

- Teraz, gdy już wiesz o swoim zapachu - powiedział Thomas - nie pozwolisz sobie nikogo skrzywdzić.

Obaj mężczyźni wyszli z konfesjonału. Postać w czerni uciekła w kierunku drzwi kościoła.

- Myślisz, że jesteś dziwaczny i beznadziejny - krzyknął ksiądz - ale tak nie jest!

,- Odpieprz się! - wrzasnął młody nieznajomy. Po omacku wyszedł na Wall Street, zniknął.

Thomas Merchant wciągnął w płuca wielki haust czystego powietrza. Pospieszył na plebanie, bo potrzebował telefonu i kurtki. Nie było żadnej skruchy ani rozgrzeszenia, ale Thomas włożył zapinany na guziki skafander z kapturem. Po wszystkich tych latach był gotów do opuszczenia swojej pustelni, jaskini swojego umysłu, był gotów do działania, gotów podążać ulicami w ślad za straszliwą łaską, która została zesłana na Manhattan.

ZIELONY BALON

James Branch był zdenerwowany. W drugą sobotę stycznia wybrał się z Railey McWilliams, swoją nową ukochaną, na obiad do Fiat Michaels. Siedzieli przy narożnym stoliku i jedli Kurczaka przyrządzonego z dodatkiem czosnku, rozmarynu i jakiegoś nieznanego wina. Potem wypili kawę. Obsługiwał ich niski mężczyzna, o imieniu Juan, który zachwycony ich błogim szczęściem, kłaniał się im i przynosił błyskawicznie to, o co prosili.

James był tego wieczoru zdenerwowany, bo chciał zrobić dwie rzeczy: powiedzieć Railey o swoim dziwnym, ukrywanym zwyczaju mówienia do windy firmy Otis w kamienicy Preemption, gdzie mieszkał, i dać jej kolczyki z opalami, których właścicielem był od dawna i które nawet teraz miał w kieszeni.

- O co chodzi? - zapytała Railey.

Oboje mieli na sobie dzinsy i pod stołem Railey opierała kostkę na łydce Jamesa.

- Nic takiego - powiedział.

Trzy stoliki dalej siedziała grupa skinheadów, jedząc wspólnie talerz Kalmarów. James wiedział, że są stałymi bywalcami, a Railey знаła ich z Minotaura, ale kochankowie i obszarpańcy tylko skinęli sobie głowami. Ich wieczory przebiegały doskonale. Nie potrzebowali nikogo poza sobą.

- No, już - drażniła go Railey. - Myślisz o czymś pikantnym. Co to takiego?

James wypił łyk kawy.

- Nic - skłamał.

Tak naprawdę, przyglądając się Railey, James myślał o szczęściu. Jego umysł, pobudzony przez miłość albo kofeinę, zajmował się tego wieczoru subtelnymi i zakazanymi przyjemnościami planety, ich zaletami i różnorodnością. Niektórzy ludzie ścinają stokrotki, pomyślał James. Inni odwiedzają Walię albo wybierają kokainę, albo kopiał latryny dla ubogich i słabych. James przesuwiał w palcach opale, które miał w kieszeni. Zdobył je w mistycznym miejscu i teraz, gdy patrzył, jak tętnica pulsuje w szyi Railey, zrozumiał, że te klejnoty niosą go być może w stronę jakiegoś równie niezwykłego miejsca, do tego rodzaju krainy, do jakiej możesz dotrzeć tylko wtedy, kiedy leżysz w ciemnościach z kobietą i poddajesz się urokowi ożywczych kolorów za twoimi powiekami.

- Powiedz mi - błagała Railey.

- Powiem-obiecał James.

Powietrze przed restauracją było orzeźwiająjące. James wdychał je, trzymał Railey za rękę, upewnił się, że widać księżyc. Przeszli kilka przecznic, potem pojechali metrem do kamienicy Preemption. Jamesa rozsadzała chęć opowiedzenia Railey o Otisie i podarowania jej kolczyków, ale chciał najpierw wyjaśnić sytuację z Patrickiem, swoim współlokatorem i byłym chłopakiem Railey. James chciał położyć kres wszelkim zadrażnieniom między sobą a Patrickiem, oficjalnie ogłosić, że są z Railey parą. Mówiąc, że wyjaśni wszystko później,

poprosił Raiły, żeby weszła z nim na szóste piętro po schodach, zamiast jechać windą. James złapał Raiły za rękę i przeprowadził ją przez drzwi, a serce waliło mu jak młotem. Ale Patricka nie było w domu.

- Jest dopiero dziesiąta - zauważyła Raiły. - Prawdopodobnie jest w Duranigan's z jakąś kobietą.

- W Duranigan's?

- Tam nas zawsze zabiera. Je zabiera. - Raiły ścisnęła ramię Jamesa. - Chciałam powiedzieć „je”, skarbie.

James wlepił wzrok w podłogę.

- Kocham cię - szepnęła mu do ucha Raiły. - Pamiętasz? James skinął głową. Raiły pocałowała go w skroń.

- Więc - powiedziała - czy powinniśmy zaczekać?

James spojrzał w stronę sypialni Patricka. Wzruszył ramionami.

- Zwyczaj wraca przed jedenastą. To by była tylko godzina. Tak więc Raiły i James czekali. Siedzieli na kanapie i próbowali oglądać telewizję, ale James nie mógł się skupić. Nie chciał też zdjąć butów, co zdenerwowało Raiły, tak że ona również nie mogła się skoncentrować. W końcu James wyłączył odbiornik i po prostu siedzieli, trzymając się w milczeniu za ręce. Ponieważ James nie miał nic innego do roboty, nacisnął klawisz odsłuchu wiadomości w automatycznej sekretarce. Usłyszeli parę pogodnych pozdrowień od przyjaciół, a potem coś takiego:

- Halo. Nazywam się ojciec Thomas Merchant. Jestem księdzem. Jest sobotni wieczór, dziesiąta trzydzieści. Mam pilną wiadomość dla Jamesa Brancha.

James usiadł prosto.

- Ojciec jaki? - zapytała Raiły.

- Ciii...

- ...pana numer z centrali. Wiadomość jest taka: Proszę natychmiast opuścić swoje mieszkanie. Pana współlokator, mój parafianin, właśnie wyszedł ode mnie i jest bardzo... poruszony. Być może zmierza do domu i być może jest pan w niebezpieczeństwie. Wymienił konkretnie pana nazwisko. Jest uzbrojony.

- O, cholera - szepnęła Raiły.

- ...skontaktować w Parafii Świętego Benedykta na Wall Street, bez względu na godzinę. Proponuję, żebyśmy spotkali się od razu. Pana przyjaciół potrzebuje pomocy. Właściwie mógłbym...

Maszyna pisnęła. Głos księdza umilkł.

- Patrick jest katolikiem? - zdziwiła się Raiły. James wstał, chwycił ją za rękę.

- Spadajmy stąd.

Włożyli płaszcze i pospiesznie wyszli na korytarz. Ruszyli w stronę schodów, ale nagle Raiły krzyknęła ostro. Przed nimi, kilkanaście metrów dalej, zagradzając dostęp do schodów, stał Patrick Rigg.

- Hej, wy dwoje - powiedział.

Stał w czarnym garniturze twarzą do nich, z otwartymi dłońmi przy bokach. Wyglądał tak, jakby stał tam od pewnego czasu, i wydawał się niebezpiecznie zastygły, jak biegacz na linii startowej, który zaraz ma się rzucić naprzód. W połowie drogi między nim a kochankami były zamknięte drzwi Otisa, windy.

- H... hej - przywitał się James.

Raiły cofnęła się o pół kroku, za Jamesa.

- Nie widziałem was ostatnio, moi drodzy - powiedział Patrick. - Od Nowego Roku.

James słyszał głośny, wymęczony oddech swojego współlokatora. Patrick odchrząknął.

- Rozumiem, że wszystko się między wami dobrze układa.

- Jesteśmy w sobie zakochani - rzuciła nerwowo Raiły. - Przy... przyszliśmy ci o tym powiedzieć.

Patrick wyprostował się. - Słyszysz to, Branchman? Rallygirl mówi, że jesteś zakochany.

- Słyszę ją świetnie - wyszeptał James.

- Taak. - Patrick podrapał się po szczęce. - Ludzie zakochują się i odkochują przez cały czas, jak mi się zdaje.

- Mówię serio, Patrick. - Głos Raiły był teraz mocny. - Nie mogę się już z tobą spotykać. Jestem z Jamesem.

- Bez urazy - powiedział James. - My po prostu... wiesz. Ehm. Chcieliśmy ci powiedzieć. Żeby wszystko było jasne.

- Wychodzimy, Patrick - dodała Raiły.

Patrick westchnął. Sprawnie, jakby postępował według instrukcji, wyciągnął pistolet z kieszeni marynarki i wycelował w Jamesa.

- O Jezu - jęknęła Raiły.

Na korytarzu nie było nikogo oprócz ich trojga. James zasłonił Raiły.

- Może powinieneś stać bez ruchu, Branchman. - Patrick bez przerwy kierował spojrzenie i broń na Jamesa.

- O Boże - powiedziała Raiły.

James czuł głód i pustkę w brzuchu. Nigdy nie znajdował się w pobliżu wyciągniętego pistoletu - zwłaszcza wymierzonego w siebie - i wpatrywał się w niego z lękiem i pełnym respektem oszołomieniem. Palce Patricka były zaciśnięte na SIG-u tak kurczowo, że jego knykcie wyglądały jak ząbki. Przypomniało to Jamesowi, gdy łykał łąpczywie powietrze, o nauczycielu biologii w podstawówce, żyłastym mężczyźnie, który często powtarzał zdanie „Ciało ludzkie jest maszyną”.

- Patrick - odezwał się James - posłuchaj...

- Może powinieneś też być cicho - nalegał Patrick.

James roztarł dłonie. Pomyślał o opalach, które miał w kieszeni, o tym, co, jak miał nadzieję, znaczyły. Przypatrywał się pistoletowi Patricka.

- Patrick - powiedział spokojnie. - Ty... Ehm. Masz chyba ze sto dziewczyn. I wszystkie cię uwielbiają.

Patrick zamknął oczy, mocno, po czym je otworzył.

- Raiły. Czy mogłabyś podejść tu do mnie na minutę? Raiły płakała. Jej paznokcie, krótkie i ostre, wpijały się w ciało Jamesa.

- Nigdzie z tobą nie pójde, ty psycholu - rzuciła przez łzy. James cofnął się o dwa kroki, przesuając też Raiły.

- Przestań - powiedział Patrick. - Nie ruszaj się. James zatrzymał się.

- Ona jest zdenerwowana - wytłumaczył. - Ehm, nie jesteś' psycholem.

Jamesowi wydawało się, że podbródek Patricka drży..

- James - zwrócił się do niego Patrick - czy mówiłem ci kiedyś, że miałem starszego brata? m - Nie, Patrick.

- No tak, miałem. Nazywał się Francis. Został zabity w wesołym miasteczku.

- Jezu. Ja... Przykro mi, Patrick.

Patrick nachmurzył się. Wciąż nie zrobił ani jednego kroku do przodu czy do tyłu.

- Patrick, proszę - błagała Raiły.

- Czy to nie jest zabawne, Branchman? Czy to nie jest zabawne, że Francis zginął w wesołym miasteczku?

James przypomniał sobie coś. Przeczytał gdzieś, że ludzie trafieni z pistoletu robią w spodnie.

- To nie wydaje się zabawne, Patrick - zapewnił.

- Cóż, takie właśnie było. To długa historia, ale gdybyś przeczytał ją w gazecie, rozśmieszyłaby cię.

- W porządku - zgodził się James.

- Co to znaczy: „w porządku”? To wcale nie było w porządku. - Patrick odbezpieczył SIG-a.

- Pomocy! - krzyknęła Raiły. - Pomocy!

- Zamknij się - powiedział gwałtownie Patrick. - Zamknij się i podejdz do mnie w tej chwili.

Raiły zakwiliła. Wcisnęła twarz w ramię Jamesa.

- Każ jej tu podejść, do cholery. James przeszył Patrlcka wzrokiem.

- Nie - syknął.

Drzwi windy otworzyły się. Wszedł z nich ksiądz. Popatrzył w prawo, na Patricka, i w lewo, na Jamesa i Raiły.

- Ja cię kręcę - powiedział James. Patrick wytrzeszczył oczy. Zrobił krok w tył.

- Ojciec Merchant?

Ksiądz miał na sobie czerwony skafander z kapturem obszytym eskimoskim futerkiem. Był to tani skafander, jaki miałyby na sobie dziecko jeżdżące na sankach w latach siedemdziesiątych. Pod nim mężczyzna miał czarną koszulę i sztywną białą koloratkę.

- Odłóż ten pistolet - polecił ksiądz. Zsunął kaptur z głowy, stanął na linii ognia.

- Śledziłeś mnie? - zapytał Patrick.

- Znalazłem adres twojego współlokatora - wyjaśnił Thomas - a twój portier podał mi numer mieszkania. Odłóż pistolet.

- Jestem James - poinformował męski głos zza pleców księdza. - James Branch. To do mnie dzwoniłeś, ojczu.

- Ja jestem Raiły - przedstawiła się młoda kobieta.

Ksiądz nie odpowiedział im. Interesował go tylko stojący naprzeciwko Patrick, całą siłą swojego umysłu i swojego oblicza przenikał jednego zrozpaczonego parafianina. Gdyby James i Raiły mogli widzieć twarz duchownego, ujrzeliby parę pięknych niebieskich oczu, ale pod nimi wyraz odrazy, wskazujący na to, że mężczyzna czuje jakiś nieprzyjemny zapach.

- Daj mi ten pistolet - powiedział Thomas Merchant. - Zostaw tych ludzi w spokoju.

Ręka Patricka zatrzęsa się na kolbie pistoletu, ale SIG był wymierzony w księdza, który stał tylko parę metrów od Patricka.

- Ona musi być ze mną - oświadczył Patrick.

247

- Nonsens. Nikt nie musi być z nikim. - Ksiądz rozpiął zamek w skafandrze, odsłonił swoją koloratkę. - No już, daj mi ten pistolet. Nie powinienes celować z niego do ludzi, na których ci zależy.

Oczy Patricka zaszyły łzami.

- Nie zależy mi na nich.

- Aha. Daj mi ten pistolet. - Ksiądz wyciągnął dłoń.

- Nie... nie możesz tak do mnie mówić. - Palce Patricka zaciskały się kurczowo na broni. - Nikt do mnie nie mówi w ten sposób.

- Ojczu...-zacząłJames.

- Daj mi pistolet - powtórzył ksiądz. Lewą dłonią Patrick głaskał lufę broni. - Jest mój - wyjąkał.

Ksiądz tupnął nogą.

- Daj mi go, powiedziałem. Niech ten nonsens się skończy.

- Nie mogę. - Patrick zaszlochał głośno.

- Puść go - rozkazał ksiądz. Zrobił krok w stronę Patricka.

- Nie rób tego. Nie mogę. Nie mogę. - Pistolet chwiał się do przodu i do tyłu.

Krew odpłynęła z twarzy Thomasa Merchanta. Patrzył uważnie na godnego współczucia człowieka, którego miał przed sobą, na jego ciemne, drogie ubranie, jego trzęsące się

ramiona, na zagubiony, płaczący, rozkojarzony wyraz jego twarzy. Palec wskazujący Patricka drżał na spuście i ksiądz czuł w straszny sposób to samo, co tkwiło w łkaniu spowiadających się głosów, w pompatyczności wojennych nagłówków, w najgłębszym rdzeniu Pisma Świętego: czas słów się skończył. Wyciągnięto pistolet, działała podła ludzka wola i obecni byli młodzi ludzie. Przez wzgląd na nich, przez wzgląd na miłosierdzie Thomas zrobił jedyną rzecz, jaka przychodziła mu do głowy, by skupić całą gwałtowność Patricka na sobie. Zaatakował uzbrojonego młodego mężczyznę drwiącym uśmiechem.

- Ty kompletny głupcze - szydził ksiądz.

- Przestań - błagał Patrick.

- Ojciec - ostrzegł James.

Mężczyzna w niepoważnym czerwonym skafandrze zaśmiał się. Zmusił się do tego.

- Dobry Boże, chłopcze - kpił - czy masz choć trochę pojęcia, jak śmiesznie wyglądasz?

Pistolet wystrzelił prawie sam z siebie. Raiły krzyknęła, zdziwiony Patrick odskoczył do tyłu, a ze skroni księdza pociekła strużka krwi. Thomas Merchant padł jak kłoda.

- O Boże! - wrzasnęła Raiły. - O Boże, strzeliłeś do niego!

- Patrick - wyszeptał James.

Patrzyli na leżącego, krwawiącego mężczyznę. Patrick ruszył chwiejnie do przodu. Oczy wychodziły mu z orbit pod wpływem przerażenia.

- O Jezu.

- Strzeliłeś do niego - wołała Raiły. - Zabiłeś go!

Patrick opadł w zwolnionym tempie na kolana. Wyciągnął lewą dłoń, przycisnął kciuk do obcasa wysokiego buta księdza, cofnął palec jak oparzony. Głowa Thomasa Merchanta leżała na podłodze, krew zlepiła jego włosy.

- O Jezu. - Patrick z trudem łapał hausty powietrza. Całe jego ciało się trzęsło. Prawą dłonią przystawił SIG-a do własnej skroni.

- Nie! - wrzasnęła James. Skoczył głową naprzód ponad ciałem księdza ku swojemu współlokatorowi, ale Patrick już wystrzelił.

Pielęgniarki w Szpitalu Świętego Łukasza szybko przyzwyczyły się do Jamesa. Może widziały albo nawet czuły u niego ślady namiętności, romansu, który czekał na niego za ścianami szpitala. James bowiem zawsze przychodził do Świętego Łukasza sam. W każdym razie z jakiegoś powodu pielęgniarki uśmiechały się do młodego mężczyzny o sennych oczach, który siedział codziennie przy łóżku Patricka Rigga.

Ksiądz przeżył. Kula przeszła przez krawędź jego skroni. Wniknęła wprawdzie do czaszki, ale tylko skubnęła mózg. Gdyby nie było tam Jamesa i Raiły, którzy obandażowali mu głowę i wezwali karetkę, Thomas Merchant mógłby się wykrwawić na śmierć na korytarzu w Preemption. A tak już dwa dni po tym zajściu ksiądz wstał z łóżka i ostrożnie stanął na nogach. Nie wolno mu było jeszcze opuścić szpitala, ale dreptał tam i z powrotem po korytarzach, odwiedzając chorych i umierających. Czaszkę miał owiniętą grubym

niebieskim siedziała czwórka łysych dzieci, a obok kranu tkwił wykręcony, śliniący się mężczyzna na wózku inwalidzkim. Poza tym osobny stolik zajmował porzucony przez ludzkie towarzystwo zielony balon. W balonie zostało akurat tyle chemii albo magii, że mógł unosić się nad blatem.

- Wszyscy umierają - powiedział James. Raiły dotknęła jego kolana.
- James. Kochanie, o co chodzi? Nagle wszystkie obawy Jamesa zniknęły.
- Muszę powiedzieć ci coś o sobie - zaczął. - To bardzo ważne.
- W porządku.
- To jest coś, co robię. - W porządku.

James przyglądał się dzieciom chorym na raka. Wiedział, że w ich ciałach, w ich krwi działają drapieżne, niezwykłe siły. Wiedział też, że Raiły prawdopodobnie spodziewa się wyznania przezeń czegoś zbrodniczego, perwersyjnego albo trudnego do zaakceptowania. Ale dzieci grały w karty i z tego, co widział James, były rodzeństwem, zadowolonym ze swojego losu. Przy tym zielony balon, poruszony z powodu przeciągu albo własną wolą, unosił się teraz niespiesznie nad dziećmi i leciał dalej, jak wywiadowczy sterowiec. Na dodatek Raiły trzymała Jamesa za rękę.

- Mówię do mojej windy - powiedział James. - Słucham?

- Mówię do windy firmy Otis w moim budynku. Robię to co wieczór prawie godzinę. Zamykam się w windzie i zatrzymuję ją między piętrami. Siedzę ze skrzyżowanymi nogami, kołyszę się w przód i w tył i opowiadam windzie Otis o wszystkim, co mi przyjdzie do głowy.

- Ty... - Raiły nachyliła się do niego. - Co takiego robisz?

James popatrzył na nią. Widział w jej oczach lekki szok, oszołomienie i chęć wysłuchania reszty. Uśmiechnął się, wzruszył ramionami i pocałował ją w usta. Z nadzieją, że zawsze będzie wyglądać tak mocno i krucho, jak właśnie w tamtej chwili, wyciągnął z kieszeni kolczyki z opalami i włożył je Raiły w dłonie.

- Poza tym - stwierdził - one są dla ciebie.

Raiły popatrzyła na podarunek. Zaczerpnęła gwałtownie powietrza. Wszelkie niejasności, wszelkie pytania, które chciała zadać Jamesowi, mogły poczekać.

- Och, kochanie - powiedziała.

James jeszcze przez trzy dni i noce czuwał w szpitalnej sali Pa-tricka. We dnie czytał mu na głos niektóre swoje ulubione książki, ale unikał teraz rozmów z haitańskim lekarzem i próbował nie zauważać, że skóra na kościach Patricka się kurczy. Każdej nocy zasypiał na szpitalnym łóżku z przekonaniem, że jego współlokator nie dożyje ranka.

Trzeciej nocy jednak James podniósł w zamroczeniu głowę z poduszki. Była druga i leżał samotnie na ciemnym korytarzu. Obudził go nieustanny monotony śpiew, który uznał początkowo za część snu. Ale kiedy otworzył oczy i z zamętem w myślach zajrzał do sali Patricka, wydało mu się, że widzi, jak nad jego współlokatorem w ciemnościach pochylają się trzy ubrane na białą postacie. James miał wrażenie, że ich dłonie spoczywają na Patricku, na

jego głowie i prawej nodze, i zastanawiał się, czy to one śpiewały. Jedna z postaci wyglądała jak portier Sender; druga jak Thomas Merchant; trzecią był białowłosy mężczyzna, którego James nie rozpoznawał z całą pewnością, ale mógłby przysiąc, że to John Castle, nieznajomy z podziemi, który dał mu raz coś cennego. Gdy mężczyzna ten skierował spojrzenie na łóżko stojące na korytarzu, James, owładnięty przemożnym zmęczeniem, opadł z powrotem na poduszkę.

Rano po tej wizji zielonooka pielęgniarka potrząsnęła Jamesem, żeby go obudzić.

- Pana przyjaciel - powiedziała. - Jest przytomny. Oszołomiony James, ziewając, podszedł do łóżka Patricka. W sali był też Thomas Merchant. Ksiądz stał u stóp łóżka ze spokojnym wyrazem twarzy, a jego oczy płakały automatycznie. Pielęgniarka wyszła. Patrick miał oczy otwarte, ale zamglone. Jego policzki były mniej blade niż poprzedniego dnia.

- Hej, Patrick. - James usiadł obok łóżka.

Oczy Patricka przesunęły się, znalazły Jamesa.

- James - powiedział słabo.

- Twoje prawe oko - zauważył James - jest otwarte. Rusza się. Patrick skinął głową. Z olbrzymim wysiłkiem uniósł nieco prawe kolano.

James wpatrywał się w nie. Dotknął go delikatnie.

- Wyzdrowiałeś?

Patrick położył z powrotem nogę.

- Nie całkiem - zaskrzeczał. <

- Prawe ramię twojego przyjaciela jest nadal sparaliżowane - wyjaśnił Thomas Merchant.

- I cztery małe palce u jego prawej stopy.

- Ale to też można wyleczyć, Patrick - powiedział James.

- Nie, synu. - Głos księdza był stanowczy. - Te uszkodzenia są nieodwracalne.

James obrócił się w stronę duchownego. Przypatrzył się badawczo postawie mężczyzny, jego łzom wywołanym przez nieokreślone uczucie.

- Skąd ksiądz to wie? - zapytał James.

- Nieważne - usłyszał w odpowiedzi.,- Branchman. James.

James popatrzył na łóżko. Bandaże na głowie Patricka były dwa razy grubsze niż te na głowie księdza. James zastanawiał się, czy Patrick będzie musiał teraz chodzić do psychoanalityków. Zastanawiał się, czy Patrick będzie musiał się wyprowadzić.

- Tak, Patrick - odezwał się.

Patrick kaszlnął. W oczach miał czerwone cętki z powodu zakażenia albo smutku.

- Cieszę się, że tu jesteś - wyszeptał Patrick. James poklepał go po nodze.

- Tak mi przykro, James.

James nie wiedział, co robić. Siedział w milczeniu. Znów klepnął Patricka po nodze. Z korytarza dolatywały poranne odgłosy popychania wózków i wyciągania prześcieradeł, jakby Patrick nie był wcale w szpitalu, tylko we wspólnym hotelu ze znakomicie wyszkolonym

personalem. James pomyślał o oddechu Railey przy śniadaniu, o Doiły Parton, o ogolonych młodych szulerach, którzy się pewnie właśnie teraz budzili. Pokołysał się trochę w przód i w tył na krześle.

- Ja... mówię to wam obu - szepnął Patrick. - Przepraszam. James westchnął.

- A może zamiast teraz mówić, po prostu leżałbyś bez ruchu i zdrowiał?

Patrick spojrział na swoje ciało. Wpatrywał się w bezwładne prawe ramię. Zamknął oczy, zaczął się słabo śmiać.

- Naprawdę się załatwiłem, co, Branchman?

James popatrzył na księdza, żeby sprawdzić, czy przejmie inicjatywę. Wydawało mu się, że istnieją oficjalne słowa pociechy, których nie znał. Ale ojciec Merchant spodziewał się, że to James coś powie.

- Patrick - odezwał się James. - Ja... ehm. Może powinieneś teraz, ehm, po prostu leżeć spokojnie. Po prostu odpoczywać i wracać do zdrowia.

- Nie chcę leżeć spokojnie - wychrypiął Patrick. - Właśnie wyszedłem ze śpiączki.

- Wiem.

- Jak długo byłem... wiesz. Jak długo byłem w tym stanie?

- Przez dwa tygodnie - powiedział ksiądz.

- Przez dwie niedziele - dodał James.

Patrick wyciągnął lewą rękę, która teraz musiała mu wystarczyć. Otoczył palcami kciuk Jamesa. Zajęło mu to dużo czasu.

- Czy wiesz, jak to jest? - Twarz Patricka ściał strach. Wydawał się wstrząśnięty. - Czy wiesz, jak to jest, kiedy tak długo nie możesz mówić? Kiedy w środku czuwasz, ale nic nie mówisz?

James skinął głową ze zrozumieniem. Pozwolił, by Patrick dalej się go trzymał.

- Wiem-powiedział James.

PODZIĘKOWANIA

Słowa piosenek Morality Johna pochodzą z utworów nowojorskiego ulicznego muzyka i autora tekstów Chrisa Tengi; zostały wydrukowane za jego zgodą.

A oto nauczyciele i duchy opiekuńcze, którym jestem nieskończenie wdzięczny:

Larry Wroblewski, Bili O'Malley, Bob Bradley, Tom King, John Breslin, John Dolan, Mary Gordon, Susannah Meadows, Susan Kamil, moja redaktorka Carla Riccio, a zwłaszcza moja agentka Jennifer Carlson i mój przyjaciel CliffGreen.

AFRODYZJAKI Czyli przyprawy i potrawy, które wzmacniają nasze miłosne apetyty. Skąd ta nazwa? Od imienia Afrodyty, bogini miłości i piękna, która wypłynęła z muszli przypominającej kształtem kobiece łono. Dlatego wszelkie owoce morza, małże, krewetki, ostrygi i homary uważa się za afrodyzjaki. Czy faktycznie mają takie działanie? Znane jest ich bogactwo w tak cenne dla naszego organizmu witaminy i mikroelementy. Choć nie wszyscy wierzą w szczególne właściwości afrodyzjaków, nie ma powodów, by wątpić, że są po prostu zdrowe.

W spisie afrodyzjaków figurują jeszcze inne, bardziej niezwykle specyfiki: proszek z poroża jelenia, rogu nosorożca czy z muszki hiszpańskiej, a także johimbina, ekstrakt z kory afrykańskiego drzewa yohim-be. Współczesna medycyna raczej wyklucza skuteczność tego typu środków podniecających, może z wyjątkiem johimbiny, choć jej działanie też jest do końca niedowiedzione. Obecnie uważa się nawet, że proszek z muszki hiszpańskiej jest silnie toksyczny i przedawkowanie zamiast wywołać ekstazę, może spowodować ciężkie zatrucie.

Pierwszy przepis na miksturę służącą przedłużaniu aktu miłosnego, zapisany hieroglifami w Egipcie, pochodzi z 1700 roku p.n.e. Trzeba było ususzyć liście tarniny i akacji, rozdrobnić je i zmieszać z taką samą ilością miodu, odstawić na 4 dni, a potem dawkować regularnie. W starożytnej Grecji i Rzymie pomoc miał miód (dodawał słodczy) i czosnek (symbol miłosnego ognia). Co ciekawe, do dziś w potrawach tych kuchni używa się ich bardzo dużo. Średniowiecze także miało własne receptury na udaną miłość. Według słynnego ówczesnego lekarza, Mojżesza Majmonidesa, zapewnić ją miała mieszanka korzenna, którą należało posypywać każde danie. Skład: pieprz, korzeń galgantu (rośliny podobnej do imbiru), cynamon, anyż, gałka muszkatołowa i macis, czyli suszony, sproszkowany miąższ owocu muszkatołowca.

Sekrety kochanków wszech czasów Słynny kochanek Casanovą na śniadanie spożywał 50 ostryg.

Don Juan zjadał się omletem z 10 jaj z ogromną ilością bazylii, lubczyku i czosnku.

Madame Pompadour, faworyta króla Francji Ludwika XV uwielbiała pić sok z marchwi, a królowi serwowała marchewkowp-ziemniaczany przysmak pod beszamelem w towarzystwie wyszukanych białych win.

POTRAWY EROTYCZNE RISOTTO Z KARCZOCHAMI, SZYNKĄ I PAPRYKĄ 2 szklanki bulionu z kurczaka_____

1/2 malej czerwonej papryki pokrojonej w cienkie paseczki_____

1/2 szklanki mrożonych karczochów, przygotowanych zgodnie z instrukcją na opakowaniu, lub karczochów ze stoika_____

3 łyżki oliwy z oliwek cebula posiekana 1/4 szklanki szynki pokrojonej w centymetrową kostkę szklanka ryżu arborio (specjalny na risotto)_____

1/3 szklanki wytrawnego białego wina_____

1/4 szklanki świeżo tartego parmezanu_____

łyżka drobno posiekanej natki_____

biały pieprz do smaku_____

W niewielkim garnku rozpuszczamy kostkę bulionu z kurczaka w 2 szklankach wody, zagotowujemy i pozostawiamy na bardzo małym ogniu. Do garnka z grubym dnem wlewamy łyżkę oliwy i na niewielkim ogniu przez 2 minuty obgotowujemy paseczki papryki oraz serca karczochów, cały czas mieszając. Następnie przekładamy warzywa łyżką cedzakową do miseczki. W garnku z grubym dnem na 2 łyżkach oliwy obsmażamy cebulkę, aby zmiękła. Dodajemy szynkę i ryż. Składniki smażyemy przez minutę na średnim ogniu, mieszając drewnianą łyżką, aż cały ryż dokładnie pokryje się oliwą. Następnie, nie zaprzestając mieszania dodajemy wino (gotujemy całość przez kilka minut, aż ryż wchłonie wino), wlewamy pół szklanki wrzącego bulionu z kurczaka, gotujemy (3-5 minut), dopóki płyn nie zostanie wchłonięty. Powtarzamy tę czynność jeszcze dwa razy, aż zostanie nam ostatnie pół szklanki bulionu. Teraz dorzucamy przygotowane wcześniej warzywa (paprykę i karczochy), dolewamy 1/3 szklanki bulionu i jeszcze przez minutę podgotowujemy całość.

Risotto powinno być kremowo miękkie, ale ziarenka ryżu muszą pozostać al dente (w sam raz). Jeśli trzeba, dolewamy resztkę bulionu i jeszcze chwilę gotujemy, aż ryż będzie w sam raz. Do odstawionego z ognia naczynia wrzucamy starty parmezan. posiekaną natkę pietruszki i poprawiamy białym pieprzem.

KURCZAK Z WARZYWAMI, KOLENDRA I SZAFRANOWYM KUSKUSEM
MARYNATA:_____

35 dag piersi kurczaka_____

1/4 łyżeczki mielonego kminku_____

1/4 łyżeczki mielonego imbiru_____

1/4 łyżeczki soli ząbek zgniecionego czosnku_____

łyżka oliwy z oliwek_____

SOS:_____

posiekana cebula _____
2 ząbki czosnku _____
3 łyżki oliwy z oliwek _____
1/2 łyżeczki mielonego imbiru _____
1/4 łyżeczki szafranu _____
2 szklanki bulionu z kurczaka _____
3 łyżki świeżej posiekanej kolendry _____
3 łyżki posiekanej natki pietruszki _____
marchewka pocięta w centymetrowe krążki _____,
cukinia przepołowiona i pocięta na centymetrowe paski łyżka małych czarnych
oliwek _____

Składniki z truskawkami i składniki z bananem miksujemy oddzielnie. Robimy w szklance przegrodę, np. z tekturki owiniętej folią aluminiową, i wlewamy jednocześnie z obu stron zmiksowane składniki, uważając, by się nie zmieszały. Ostrożnie wyjmujemy przegrodkę i dekorujemy drinka truskawką.

DLA NIEGO: _____

20 ml koniaku _____

20 ml curacao blue _____

20 ml likieru mandarynkowego _____

20 ml soku z cytryny _____, _____ -.

Wszystkie składniki mieszamy w shakerze z dodatkiem lodu. Przelewamy do kieliszka koktajlowego. Dekorujemy plasterkiem cytryny.

KREM SZPARAGOWY 1 kg szparagów _____

1 duża, posiekana cebula 3 łyżki masła 5-6 szklanek rosołu z kurczaka (może być z kostki)

1/2 szklanki tłustej słodkiej śmietanki 1/4 łyżeczki soku z cytryny Wybieramy 12 dorodnych szparagów i odcinamy zdrewniałe końcówki. Resztę kroimy na centymetrowe kawałki. W garnku rozpuszczamy 2 łyżki masła i dusimy w nim cebulę; musi być miękka, ale niezrumieniona! Zajmie to około 5 minut. Dodajemy pokrojone szparagi, sól i pieprz do smaku i gotujemy pod przykryciem przez następne 5 minut. Dodajemy 5 szklanek rosołu, przykrywamy garnek i przez 15-20 minut oddajemy się marzeniom. Nie przestając marzyć, wrzucamy na 3 minuty do gotującej się, osolonej wody 12 szparagów, przygotowanych na samym początku. Odcedzamy i odkładamy na talerz. Ugotowaną zupę miksujemy partiami w blenderze lub malakserze i wlewamy z powrotem do garnka. Dodajemy śmietankę, a jeśli zupa zrobi się za gęsta, można ją rozrzedzić rosołem. Solimy, pieprzymy, zagotowujemy. Na koniec dodajemy ostatnią łyżkę masła i sok cytrynowy.

ZUPA CYTRYNOWA Na wyjątkowy obiad dla wyjątkowej osoby niecodzienne danie...

1 cytryna _____ -pęczek
włoszczyzny _____ -1 cebula _____ -
_____. -liść laurowy _____ -

2 żółtka _____

szklanka śmietany _____ -łyżka

masła _____ -_-Włoszczyznę starannie czyścimy, myjemy, kroimy, zalewamy 1,5 l wody. Dodajemy liść laurowy, gotujemy na małym ogniu, przecedzamy i doprawiamy do smaku świeżo zmielonym pieprzem i solą. Z dokładnie umytej cytryny wyciskamy sok, mieszamy z żółtkami i śmietaną, wlewamy do wywaru, podgrzewamy, nie dopuszczając do wrzenia. Podajemy z ugotowanym ryżem na talerzu stojącym obok tózka zastanego satynową pościelą...

GORĄCE KAKAO Zziębnięci po spacerze? Nic lepiej nie rozgrzewa niż kubek tego aromatycznego napoju.

1 łyżka kakao w proszku _____ -1 łyżka
cukru _____ -ćwierć kubka
wody _____ -2 kubki gorącego
mleka _____ -opcjonalnie: kilka kropel rumu lub whisky, bita śmietana
_____ -

W małym garnuszku mieszamy kakao z cukrem, dolewamy wodę, ucieramy na gładką masę. Zagotowujemy, zmniejszamy ogień, wlewamy gorące mleko, ubijamy na pianę. Według uznania można dodać rum lub whisky, udekorować bitą śmietaną, posypać resztą kakao.

SALATKA REGENERACYJNA Zdrowe danie, które doda siły po wyczerpującej nocy..
papryka żółta i czerwona _____

MIŁOSNE OWOCE I PRZYPRAWY biała rzodkiew garść kiełków ząbek czosnku sok z
potówki cytryny łyżka oliwy czarne oliwki Żółtą i czerwoną paprykę kroimy w paski,
dodajemy białą rzodkiew pokrojoną w słupki, posypujemy kilkoma garściami kiełków.
Przygotowujemy sos: ząbek czosnku rozcieramy z solą, dodajemy sok z cytryny i łyżkę
oliwy. Mieszamy składniki sałatki, polewamy sosem, dekorujemy czarnymi oliwkami.
Najlepiej smakuje schłodzona w lodówce, w towarzystwie świeżej bagietki.

KOLACJA WE WŁOSKIM STYLU Proste danie, które sprawi przyjemność nie tylko
podniebieniu..

mrożone owoce morza makaron, najlepiej wstążki stoik sosu
pomidorowego _____

czosnek, sól, pieprz, oregano, bazylia _____

kieliszek białego wytrawnego wina _____

Zagotowujemy osoloną wodę na makaron. Dusimy na patelni sparzone wcześniej owoce
morza. Dodajemy 2-3 rozgniecione ząbki czosnku, sos pomidorowy i przyprawy według
uznania. Dolewamy wino. Całość gotujemy na małym ogniu około 10 minut. Gotujemy 2
porcje makaronu al dente. Polewamy makaron sosem, posypujemy parmezanem i dekorujemy
natką pietruszki. Najlepszym dodatkiem do tego dania będzie wytrawne białe wino, świece i
miła, spokojna muzyka. Pamiętajmy, owoce morza są bardzo silnym afrodyzjakiem...

ANANAS Jedzony na surowo działa jak afrodyzjak. Od jego odkrycia przez Kolumba w
1493 roku w Gwatemali jest niezwykle ceniony w kuchni. Znane są też jego właściwości w
zwalczaniu chorób. Zawiera kwasy organiczne, sole mineralne, witaminy A, B i C i jest
bogatym źródłem węglowodanów. Można wzmocnić jego działanie, posypując miąższ
sproszkowaną papryczką chili. Miłosne moce potęguje też ananasowo-miodowa nalewka na
rumie.

AWOKADO Jego miąższ rozpala pożądanie seksualne i wzmacnia potencję. Wiedzieli to już Majowie. Ich szamani stosowali też liście i korę awokado, głównie w leczeniu gorączki, chorób kobiecych i innych dolegliwości. Pewne jest, że owoce zawierają bardzo ważne substancje odżywcze, między innymi aminokwasy, witaminy, tłuszcze i antybiotyczne substancje czynne. Są też lekkostrawne i przede wszystkim bardzo smaczne. Można serwować je przekrojone na połówki z solą, pieprzem i kroplą oliwy. Znakomicie smakują też w sałatkach lub podawane z krewetkami, innym świetnym afrodyzjakiem.

BAZYLIA To ziółko zna pewnie każdy, ale nie każdy od tej interesującej strony. Jeszcze kilkanaście lat temu bazylia była prawie nieznaną, dziś wiele osób uprawia ją w doniczkach i doprawia nią włoskie smakołyki. Najwięcej wartościowych substancji jest w liściach bazylii: kwasy, witaminy i olejki eteryczne (stąd intensywny zapach). Mają nie tylko właściwości przyprawowe, ale także lecznicze. Według starych rytuałów spożycie jednego dziennie gwarantuje zdrowie, płodność i satysfakcjonujące życie seksualne.

CHILI Historia chili ma 9 tysięcy lat! Do Europy dotarła z Meksyku. Znaki szczególne tej odmiany papryki to bardzo drobna budowa i pociągły kształt. Może być w kolorze zielonym, żółtym i czerwonym. Ma piekielnie ostry smak i podniecające działanie. Uwaga, stosować z umiarem! W żadnym wypadku nie jeść w całości. W niewielkich ilościach nadaje pikantny smak potrawom i wprawia zjadacza w ognisty nastrój, ale w zbyt dużej dawce może nawet przepalić żołądek i jelita! Chili jest bogatym źródłem witaminy C, obniża gorączkę, działa antybakteryjne. Zastosowana jako przyprawa wzmacnia siłę organizmu, wyzwala pokłady nowej energii i wzmacnia popęd płciowy. Mówi się również, że jest skutecznym środkiem przeciwko impotencji.

CYNAMON A właściwie suszona kora drzew cynamonowca.

Jest doskonałą przyprawą do deserów czy kawy i zaostrza apetyt na miłosne igraszki. Danie przyprawione startym cynamonem pobudza obieg krwi, przygotowując ciało i umysł na podniecie. Zdecydowany, korzenny i aromatyczny smak Chińczycy docenili już 4700 lat temu. Używali cynamonu nie tylko w kuchni. Aby osłodzić grę miłosną, wcierali go...

w genitalia. Europejska szlachta mogła doświadczyć tej kosztownej przyjemności dopiero w XVI w., kiedy to Portugalczycy podbili królestwo Cejlonu, zdobywając jednocześnie monopol na dostarczanie cynamonu. Olejek cynamonowy stymuluje krążenie, ma działanie antyseptyczne i antybakteryjne, co czyni go wprost idealnym do intymnego masażu. Trzeba tylko pamiętać, żeby nie używać stężonego olejku!

Najlepiej dodać kilka, kilkanaście kropli do oliwki.

LUBCZYK Kto nie słyszał o lubczyku? Od wieków uchodzi za symbol miłości, wywołuje fale namiętności, daje siłę do łóżkowych igraszek. Z lubczykiem wiąże się też wiele obyczajów i legend. Podobno dziewczęta wplatały go do wianków weselnych, ukrywały we włosach lub fałdach ślubnych sukni, wierząc, że zapewni im on szczęśliwe współżycie z przyszłym mężem. Do przyprawiania potraw najlepiej nadają się młode jasnozielone liście.

Można je dodać do sałatki. Dla zakochanych najważniejsze są jednak korzenie i nasiona. Sporządza się z nich napój miłosny, któremu podobno nikt się nie oprze. Sproszkowanym korzeniem można także posypać kanapkę. Ale ta roślina, obdarzona taką czarodziejską mocą, jest dziś też w składzie kostki bulionowej stosowanej do zup-i mięs.

DYNIA Jędrne i okrągłe owoce dyni mogą niektórym kojarzyć się z apetycznymi, kobiecymi kształtami, I słusznie. U Indian, gdy kobieta zajadała pestki dyni, dawała tym znak swojemu wodzowi, że czas odkopać topór miłosny. Naukowe znaczenie tego kulinarnego zwyczaju czerwonoskórych piękności poznaliśmy stosunkowo niedawno; okazało się, że nasiona dyni zawierają tokoferol, związek o działaniu afrodyzjaku, zwany potocznie witaminą płodności. A nasza swojska medycyna ludowa zaleca spożywanie nasion dyni panom mającym problemy z pęcherzem czy prostatą i dzieciom moczącym się w łózkach.

SELER Jeden z najtańszych i najpopularniejszych afrodyzjaków na świecie. Opiewany był już w starożytnych pieśniach. Trudno w to uwierzyć, ale uważano, że bulwa przynosi szczęście, i wieszano ją nad wejściem i w miejscach spotkań. W naszej kulturze seler, zarówno korzeniowy, jak i naciowy, to przede wszystkim cenne źródło składników mineralnych (m.in. potas, cynk, wapń, żelazo, fosfor, magnez) i witamin (C, z grupy B, PP, E i prowitamina A).